Cena numeru świątecznego 30 gr.

Ceny ogłoszeń za wys. 1 mm.
I strona — 5 szpalt . . . Zł. —.70
Tekst — 5 „ . . . . „ —.60
Reklamy — 5 „ . . . . „ —.40
Zwyczajne — („ . . . . „ —.20
Cyfrowe — 8 „ . . . . „ —.40
Nekrologi — 5 „ . . . . „ —.40
Drobne za wyraz 15 gr. Dla poszuk. pracy 8 gr.
Za terminowy druk ogłoszeń Admin. nie odpowiada
Konto czek. PKO. Nr. 8575
Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

DZIEŃ POLSKI

Cena egz. 20 gr.
WARUNKI PRENUMERATY MIESIĘCZNIE:
W Warszawie z odnoszeniem Zł. 5.—
Na prowincji z przesyłką pocztową „ 5.—
Zagranicą z przesyłką pocztową „ 10.—
Zmiana adresu . . . . —.50
Redakcja rękopisów nadesłanych nie zwraca
WARSZAWA, SZPITALNA 1
TELEFONY: REDAKCJI 880-84. ADMIN. 848-84

Nr. 88. Warszawa, Sobota 15 Kwietnia 1933 r. Rok X.

Treść numeru:

KS. KONSTANTY MICHALSKI.

Resurrectio et vita

Bullą Quod nuper ogłosił Ojciec święty rok jubileuszowy poza zwykłą kolejnością. Jeszcze też nigdy dotąd nie poświęcono roku świętego pamięci dzieła Odkupienia na krzyżu. Niezwykły ten fakt tłumaczy bulla nietylko tem, że mija 1900 lat od Męki Pańskiej na Golgocie, ale także tem, że trzeba nadzieją lepszego szczęścia pokrzepić tego człowieka, który już wytrzymał katastrofę wojenną, przeżył kilka rewolucyj, cierpi biedę i choć raz poraz doznaje bolesnej udręki sumienia, musi wytrwać na posterunku, gdyż żyje w wielkiej chwili przebudowy życia.

Mimowoli przypomina się pierwszy rok święty, ogłoszony przez papieża Bonifacego VIII na pograniczu dwóch epok. Był to czas, kiedy Dante pisał Boską Komedję. W sercu i poemacie tego genjusza odbiły się żywem echem wszystkie radości i bóle, które wypełniały duszę chrześcijańskiej Europy w chwili, gdy kończyło się średniowiecze i nadchodziły czasy inne. Dokonano wielkiego dzieła. Myśl chrześcijańska zbudowała nowy świat na gruzach dawnego, zbudowała ten świat, gdzie państwo i Kościół, szlachta i mieszczaństwo, wiara i wiedza, sztuka i literatura widziały symbol swych najistotniejszych dążeń do jedności w strzelającej w niebiosa katedrze gotyckiej. Zwrócony do tego świata tęsknił jeszcze Dante do dnia, kiedy cesarstwo i papiestwo, złączywszy się w harmonijnej współpracy, wprowadzą ostatecznie wieczny pokój boży do wielkiej rodziny chrześcijańskiej. Ale rzeczywistość dowodziła czego innego, dowodziła coraz głośniej i coraz boleśniej, że tamto mija, a wśród walki i trudu przynoszą nowe prądy nową także epokę w dziejach chrześcijańskiej Europy. Słaby duch mógł się wówczas załamać, sądząc, że na marne pójdzie praca długich wieków, że razem z dotychczasowemi formami życia zgaśnie sama myśl chrześcijańska, która była dla człowieka natchnieniem w jego pracy cywilizacyjnej. Nie załamał się jednaj genjusz Dantego, skoro w swej wizji ponad kręgami piekieł i poprzez otchłań czyśca umiał dojrzeć w raju, jak:

Majestat wszystkich rzeczy Wzruszyciela
W przestwory wnika i na światów skronie
Ustopniowaną jasnością odstrzela, —

umiał dojrzeć ponad zmienną rzeczywistością dziejową „Miłość co wprawia w ruch słońca i gwiazdy".

Bougl'é zarzuca myśli chrześcijańskiej, że jest w swych zasadniczych dążnościach zbyt oderwaną, zbyt transcendentną, że ilekroć idzie o rozwiązanie jakiegokolwiek zagadnienia aktualnego, ilekroć idzie o sprawę społeczną, o ideę solidarności czy miłości, prowadzi nas zawsze pod gwiazdy. A jednak raz po raz przychodzą takie chwile i w życiu jednostki i w życiu zbiorowem, że trzeba człowieka podprowadzić pod gwiazdy, jeżeli się chce, żeby się nie załamał; przychodzą chwile, kiedy ludzie razem z bohaterem z Braci Karamazowych wyczuwają całą głębią swej duszy, „że są istotami, które pragną nietyle miljonów, ile raczej odpowiedzi na swe pytania". Przeżywając dzisiaj chwilę przełomową, staje człowiek wobec tylu pytań, że mu sięgają aż w głąb jego światopoglądu i tylko w jego ramach może je uporządkować, by nie popaść w obłędny chaos własnych myśli. Toteż do chrześcijańskiego światopoglądu apeluje obecna bulla jubileuszowa, dowodząc, że z życia Chrystusowego nowe dla nas wyłania się życie i nowy porządek, novus nascitur ordo. Trzeba mieć wiarę w swoje gwiazdy, w swój światopogląd wówczas, kiedy się żyje w chwili przełomowej, by tworzyć nową przyszłość. Wierzył w swą gwiazdę Bonifacy VIII, gdy na granicy dwóch epok ogłaszał pierwszy jubileusz, mimo że wokoło piętrzyły się olbrzymie trudności, a raczej dlatego; wierzy w swoją gwiazdę Pius XI, wskazując na krzyż jako na źródło natchnienia na trud w tworzeniu dziejów. Stat Crux, dum volvitur orbis.

Stoi krzyż nie na to, by gnuśnieć w jego cieniu, lecz by pod jego ramionami z wiarą w Zmartwychwstałego iść ze stygmatami pracy na dłoniach i stopach i nieraz z męczeńskim wieńcem myśli w skroniach, budując bezustannie nowe życie: novus nascitur ordo. Niedawno temu wydał hiszpański historyk i filozof, Józef Ortega y Grasset dzieło p. t. „Powstanie mas", wskazując na horyzoncie dziejów współczesnych masę ludzką jako największe niebezpieczeństwo cywilizacji. Masą nie jest ani rzesza robotnicza ani żadna zosobna klasa społeczna, gdyż masę można znaleźć wszędzie. Ludzie dzielą się bowiem na takich, którzy wiele od siebie wymagają, podejmą się każdej pracy, nie uchylą się od żadnej odpowiedzialności i na takich, którzy żyją z dnia na dzień, z godziny na godzinę, kołysząc się jak boje na fali życia pod każdym podmuchem. Tych drugich wszędzie pełno, gdyż zawsze potrafią się przepchnąć do pierwszych szeregów, wołając, że wszyscy są równi. Ci tworzą masę, jak tamci elitę bez względu na warstwę społeczną. Podział ten przypomina distynkcję prawowiernych buddystów. W jej myśl jedni ludzie siadają do wielkiego wozu na szerokim torze, drudzy do szczupłego wózka na torze wąskim. Ortega wprowadza do wielkiego wozu masę, wprowadza tych, którzy znają wszystkie prawa, a żadnego obowiązku, tych, którzyby chcieli druzgotać tablice wszystkich przykazań za to, że coś zrobili dla państwa lub narodu, tych, którzy się zaliczają buńczucznie do młodych, ponieważ zasłyszeli, że od młodych mniej się wymaga i większy im daje się kredyt. — W groźnem tem zjawisku widzi Ortega owoc współczesnej cywilizacji, która zajaśniała wszystkiemi barwami tęczy, ale straciła swe korzenie. Skoro więc w wielkim wozie siedzi masa, człowiek przeciętny, silny swą liczbą i groźny przez to, że każdej chwili przetnie dyskusję przez akcję bezpośrednią, to jaka na to rada? Ortega żadnej nie znajduje, a jednak znaleźć ją muszą ci, którym się zdaje, że siedzą w małym wózku elity. Przeciętnego człowieka szarej masy nazwał Nitsche „człowiekiem ostatnim", buntując się przeciw myśli, że na nim miałby się skończyć cykl rozwojowy kultury ludzkiej. Otóż ten „ostatni człowiek" zwraca się dziś do elity w małym wózku, domagając się od niej hasła, idei, światopoglądu, domaga się, by go podprowadzono pod gwiazdy, gdyż inaczej zamknie dyskusje bardzo rychło przez akcję bezpośrednią. Z małego wózka zaczyna się więc rzucać raz po raz hasło „nowego człowieka".

Najpierw padło na wschodnią urodzajną glebę hasło Marxa powszechnego komunizmu. M. Berdjajew zauważył, że bolszewizm umiał wnijść na drogę najgłębszych tęsknot człowieka rosyjskiego. W duszy tego człowieka wiecznie odzywała się idea zmartwychwstanie i transfiguracji całego stworzenia. Rosjanin myślał nietylko o sobie, lecz o wszystkich, o całej ludzkości. W jego literaturze odzywa się ciągle i ciągle ta sama nuta współczucia z ludem i całą ludzkością. Drogi do zbawienia wszystkich szukali zarówno Gogol, Sołowiew, Czadajew, Dostojewski, Tołstoj, jak i cały obóz rewolucyjny, poczynając od Herczena i Bakunina. Z najsilniejszym patosem wyraził to nastawienie duszy rosyjskiej Dostojewski, ale też nikt jaśniej niż on nie wskazał na niebezpieczeństwo ducha apokaliptycznego, jaki się coraz bardziej szerzył. Oczekiwano w Rosji ostatecznej rozprawy między dobrem a złem w poczuciu własnej misji: mogło się to zakończyć odebraniem wolności ludowi rosyjskiemu przez Wielkiego Inkwizytora. Istotnie bolszewizm wyzyskał ideę transfiguracji, by wprowadzić komunizm na tory mesjańskie, na których miała ludzkość zdążyć do swego zbawienia. Co młodzież nęci do komunizmu, to myśl, że on poraz pierwszy zmobilizował masy dla wkroczenia planowego w życie gospodarcze, którego prawa teorji ciążyły jako niezmienne fatum na losach poszczególnego człowieka w kapitalistycznym ustroju. Odpycha młodzież od bolszewizmu myśl, że transfiguracja dokonała się tam tak, iż z człowieka wydobyto duszę, której strukturę budowały całe wieki. Rzucono więc z małego wózka na zoraną głęboko przez kryzys ziemię zachodnią hasło nacjonalizmu socjalnego w nadziei, że on wypełni swą treścią pojemność duszy nowego człowieka.

E. Krieck już rok 1930 uznał za moment zwrotny w dziejach Niemiec. Po ostatnich wyborach nikt nie może wątpić, że w Niemczech rządzący hitleryzm zaczyna wprowadzać w życie ideę mesjańską odrodzenia świata przez wprowadzenie weń niemieckiego centrum grawitacyjnego.

Zapowiadano już kilkakrotnie wyjazd von Papena do Rzymu dla nawiązania kroków na temat konkordatu dla całych Niemiec, bo odrodzenie narodowe ma się tam dokonać w związku z religją. Nie może się jednak von Papen uważać za mandatarjusza centrum, a tem mniej episkopatu niemieckiego, gdyż hasła religijne w obozie hitlerowskim wypowiadają się w nowym także języku bez względu na to czy je głoszą — A. Rosenberg, E. Krick lub G. Gründel. Języka tego nie zrozumie ani Rzym, ani nawet żadne wyznanie protestanckie. Rosenberg (Der Mythus des 20 Jahrhunderts) uznaje, że socjalizm nacjonalny ma swoją religję, przyjmując najwyższą wartość, która się łączy zawsze z pojęciem świętości. Na ziemiach niemieckich rodzi się nowy mit, czerpiąc swe życie z narodowej substancji tórej stronę zewnętrzną stanowi rasa, wewnętrzną zaś dusza. W duszy rasowej pracują już teraz pierwiastki, które tworzą siłę krwi germańskiej. Niema zgody i zgody być nie może między nowym mitem a kościołami chrześcijańskimi, bo nowy mit wyrasta z wolności, kultu krwi i idei obowiązku, zaklętych w germańskiej rasie, a kościoły wzięły na swe sztandary miłość jako hasło naczelne; niema zgody i zgody być nie może, gdyż miłość zatruwa krew przez współczucie dla tego, co słabsze, a naród niemiecki potrzebuje dla swego życia przestrzeni, więc mieczem i pługiem zdobędzie nowe ziemie, wypierając na dalszy wschód mniej wartościowego Czecha czy Polaka. Każda idea międzynarodowa osłabia rasę, więc w Niemczech liczne miljony tęsknią do narodowego kościoła. Wystarczy sięgnąć do przeszłości niemieckiej, ażeby tam znaleźć olbrzymią postać mistrza Eckehardta, który nauczy naród niemiecki jak ma w sobie samym znaleźć Boga i Jego królestwo. — Mistrz Eckehardt odkrył w swej duszy germańskiej tę siłę i miłość wolności, której się uląkł Rzym tak, iż odważył się dopiero po jego śmierci potępić go za wygłoszone przezeń idee. Nie kto inny tylko Eckehardt po raz pierwszy wskazał na wartość krwi, kiedy powiedział: Krew jest w człowieku tem co jest najszlachetniejsze, kiedy chce dobra, — i krew w człowieku jest tem, co najgorsze, kiedy pożąda zła. Odrzucił Eckehardt naukę Kościoła o dobrych uczynkach i łasce, odkrywszy w sobie szlachectwo germańskiej, niepodległej duszy; odrzucił to co przyjął nawet Luter, który mimo zewnętrznych protestów, był przez swą umysłowość sługą Rzymu. Jezusowi należy się cześć. Niemniej przeto dla narodu niemieckiego może On być wzorem tylko przez swe życie, przez porywające słowo i przepędzenie przekupniów ze świątyni, a nie przez cierpienie i ofiarną śmierć na krzyżu. Toteż krzyże należy usunąć ze wszystkich dróg i świątyń, by na ich miejsce wprowadzić surowe posągi dla pamięci wojennych triumfów. Może się tego wszystkiego nie da urzeczywistnić. Może trzeba będzie zostawić wierzących Niemców w ich kościołach, ale to pewna, że trzeba raz na zawsze skończyć ze Starym Testamentem i jego wyznawcami.

Jak idee hitlerowskie należy wprowadzać w dusze młodzieży dowodzi E. Krick, teoretyk nowej pedagogiki.

Cały światopogląd musi się według niego, stać narodowym, choć w rozwoju w górę może się rozgałęzić na rozmaite wyznania religijne, klasy społeczne i zawody. Jednak naród staje się panem swych losów dopiero przez państwo. I dlatego od dzisiaj na całą przyszłość nie może być wyższej wartości nad państwo. Kultura i duch istnieją nie dla siebie, lecz dla państwa, a jeżeli się filozofom wydaje inaczej, to należy ich przepędzić z katedr uniwersyteckich.

W wyższe tony uderza G. Gründel, w posłannictwie nowego pokolenia. Dla zmartwychwstania narodowego trzeba jego zdaniem, wrócić nietylko do krwi, lecz także do duszy i ducha — do duszy, by odnaleźć związki metafizyczne jako odżywcze źródła — do ducha, by stwierdzić na nowo swe boskie pochodzenie.

Nie ulega wątpliwości, że w Niemczech romantyzm uderzył jak mocne wino do wielu głów w tym stopniu, że zaczyna się tracić szacunek dla myśli i szacunek dla obcej krwi. Zapomina się o tem, że każda zniewaga obcej krwi woła o pomstę do tego, który ją nosi w swoich żyłach i sercu; zapomina się o tem, że odrodzenie nie może się dokonać zapomocą metod, wziętych z walki politycznej, bo znowu niszczą ducha i krew.

Zaledwie Chrystus rozpoczął pracę nauczycielską, przyszedł do Niego w noc paschalną uczony Nikodem ze swemi wątpliwościami. Zaczyna się toczyć dziwna rozmowa z człowiekiem, który w materjalistycznem nastawieniu myśli nie umie się podnieść do wyżyn idealizmu moralnego. Na słowa: Zaprawdę, jeśli się kto nie odrodzi znowu, nie może widzieć królestwa Bożego, reaguje pytaniem: Jakoż się może człowiek rodzić będąc starym; izali może powtóre wnijść do żywota matki swojej i odrodzić się? (św. Jan III, 3, 4). Są ludzie, którzy rozumieją odrodzenie tylko przez krew; są ludzie, którzy rozumieją odrodzenie także przez ducha, rozumieją, że pierwsze bez drugiego dokonać się nie może. Bulla jubileuszowa na granicy dwu światów przypomina znowu krzyż na znak nowego odrodzenia człowieka w dziejach. Stat crux, dum volvitur orbis. Ale bez stygmatu pracy w dłoniach i stopach, bez męczeńskiego wieńca myśli w skroniach dzieła się nie dokona. Przypomniałem gdzieindziej, że dzisiaj na nowo trzeba w świetle idei chrześcijańskiej przemyśleć aż do końca cztery przedewszystkiem zagadnienia: wychowania, własności, stosunku jednostki do państwa i filozofji dziejów.

JAN DĄBROWSKI.

Sytuacja polityczna katolicyzmu w Europie.

Sytuacja polityczna katolicyzmu w Europie powojennej ulega nieustannym zmianom i fluktuacjom; nie pozwalają one jeszcze ocenić ostatecznych wyników zachodzących zmian, ale niemniej pozwalają już na ustalenie pewnych faktów, ważnych dla oceny obecnego i przyszłego jej rozwoju. Kiedy nad powojenną Europą opadły opary walk i rewolucyj wewnętrznych i kiedy ustalił się nowy porządek zewnętrzno-polityczny stworzony przez traktaty pokojowe, świat katolicki mógł plusy i minusy jakie wynosił z wojny, określić mniej więcej jak następuje: upadły trzy wielkie mocarstwa o charakterze monarchiczno-konserwatywnym, każde jednakże z innym, jeśli idzie o interesa katolicyzmu rezultatem. Niewątpliwym minusem był dla katolicyzmu upadek monarchji austrjacko-węgierskiej, rządzonej przez dynastję katolicką i niezmiernie silnie przestrzegającą związku z katolicyzmem i Głową Kościoła, monarchji, która przy całej sile prądów liberalnych, w obu jej połowach była w istocie w pewnych momentach najsilniejszą ostoją katolicyzmu w Europie. Terytorja tej monarchji przypadły w znacznej mierze państwom niekatolickim, względnie zachowującym się wobec katolicyzmu indyferentnie, a nawet wrogo. Zaliczyć do nich wypada bowiem wszystkie terytorja dawnej monarchji, poza temi które przypadły Polsce oraz okrojonym silnie, ale bardziej katolickim niż poprzednio Węgrom; w powiększonej Rumunji katolicy obu obrządków znaleźli się jako słaba mniejszość wobec bardzo silnego nacisku ze strony Kościoła prawosławnego, dominującego jako Kościół narodowy i państwowy,

tak, że rola katolików ograniczyć się musiała do wytężonej obrony swego stanu posiadania, ogromnie skurczonego w stosunku do czasów przedwojennych i kurczącego się dalej. Nie o wiele lepszą, a chwilami nawet gorszą, stała się sytuacja katolicyzmu w Jugosławji; choć bowiem katolicy obejmują tam bardzo znaczny odłam ludności, bo wyznawcami jego są Chorwaci i Słoweńcy, a z mniejszości narodowych część Niemców i Węgrów, przecież jak uczą wypadki ostatnich miesięcy, katolicyzm został tam nietylko faktycznie odsunięty od wpływu na kształtowanie się życia publicznego, ale narażony jest chwilami na ciężkie i niebezpieczne przejścia uniemożliwiające mu swobodę spełniania swej misji i swej roli kulturalnej. Indyferentyzm religijny w najlepszym razie jest cechą charakterystyczną państwa czechosłowackiego w stosunku do katolicyzmu; mimo że oficjalnie stanowi on wyznanie ogromnej większości mieszkańców republiki, rola katolicyzmu i zaczenie jego w państwie czechosłowackiem jest bardzo niewielka i notuje wyraźne cofnięcie się w stosunku do tego co było przed wojną. To samo, choć może w mniejszej mierze cechuje republikę austrjacką, a raczej cechowało ją do czasów ostatnich, w których w tym kierunku zaznaczyła się wyraźna zmiana na korzyść katolicyzmu.

Wszystkich tych ujemnych dla katolicyzmu konsekwencyj wielkiej wojny nie mogło zrównoważyć wzmożenie się formalne i faktyczne wpływów katolicyzmu na Węgrzech, które na skutek wojny straciły donioSły głos jakim rozporządzały łącznie z Austrją w koncercie międzynarodowym.

O ile konsekwencje upadku Austro-Węgier występują jak widzimy dość jasno i wyraźnie, o tyle ocena konsekwencyj upadku Rosji carskiej nie da się już przeprowadzić tak jednolicie. Niewątpliwą i jasną korzyścią katolicyzmu jest tu powstanie wielkiego państwa polskiego, skupiającego na swych terytorjach wszystkich prawie katolików polskich (poza Opolskiem i Warmją oraz djasporą na dalekich kresach pozostałych przy Rosji) oraz wszystkich katolików ruskich greckiego obrządku.

Obok tego zasadniczego plusu jakim jest dla katolicyzmu odbudowanie wielkiego państwa katolickiego, posiadającego niezmiernie żywą i gorącą katolicką tradycję historyczną i otwierającego katolicyzmowi możliwość rozwoju na każdem polu życia politycznego, społecznego i kulturalnego oraz możności wywarcia wpływu na rozwój tych dziedzin, mniejsze już dla samych proporcyj znaczenie ma powstanie niezawisłej Litwy, gdzie katolicyzm przed niejedną staje trudnością, nie mówiąc już o innych państwach bałtyckich. Poza temi wszakże bezpośredniemi konsekwencjami zewnętrznemi są jeszcze konsekwencje wewnętrzne i konsekwencje pośrednie upadku dawnej Rosji. Zademonstrował on w tak dobitny sposób słabość nietylko organizacyjną, ale i moralną prawosławia, będącą w dużej mierze skutkiem „upaństwowienia" tegoż prawosławia, dał tak oczywiste nawet dla niekatolików dowody niższości prawosławia wobec katolicyzmu, że na dalszą metę musi ten obrót rzeczy wypaść na plus katolicyzmowi; narazie jednak te możliwe korzyści niwelowane są przez ogromny wstrząs i wytrwałe podkopywanie życia religijnego Europy wogóle przez komunizm i prowadzoną przezeń pod różnemi postaciami akcją antyreligijną. W samych Sowietach akcja ta odbić się musiała niezmiernie dotkliwie na losach katolicyzmu znajdującego się tam niewątpliwie w sytuacji trudniejszej niż przed wielką wojną.

Na tak przedstawiający się bilans upadku dwu wielkich monarchij padł jednak jeszcze jeden i to bardzo wielki plus katolicyzmu, wywołany upadkiem cesarstwa niemieckiego i supremacji Prus. Mówimy padł, gdyż jak dziś rzeczy stoją, należeć on się wydaje do przeszłości. Wbrew wszelkim pozorom, wbrew faktom, że Niemcy w traktacie wersalskim straciły prawie wyłącznie ziemie katolickie lub przeważnie katolickie, republika niemiecka otworzyła przed katolicyzmem horyzonty, jakie zamknięte tam były przed nim od czasu usunięcia Austrji ze Związku niemieckiego, jeśli nie od czasów dawnego cesarstwa. Na miejsce cesarstwa rządzonego przez protestancką dynastję Hohenzollernów i zostającego pod prymatem protestanckich Prus, cesarstwa, w którem katolicy zorganizować się musieli dla obrony swych praw i więcej prócz ich poszanowania wywalczyć sobie nie zdołali, przyszły Niemcy i Prusy republikańskie, w których centrum katolickie było języczkiem u wagi, bez którego rządzić nie było można, jeśli się chciało utrzymać republikę, w której socjaliści okazali się z konieczności o wiele na różnych punktach ustępliwsi dla katolicyzmu niż konserwatywni, ale protestanccy junkrzy Niemiec przedwojennych. W tych warunkach dwadzieścia kilka milj. katolików niem., oświeconych, kulturalnych i dobrze zorganizowanych, stało się potęgą, która nietylko wywierała wpływ na losy Niemiec, ale i na losy całego katolicyzmu, która w jego sferach kierowniczych znalazła wpływowy głos i miejsce dla siebie. Katolicy z Rzeszy zgłosili się po spadek Habsburgów, a kreowanie biskupstwa katolickiego w Berlinie stało się naoczną demonstracją zachodzących a doniosłych zmian.

Dodajmy do tego stanu rzeczy silną postawę katolicką Hiszpanji monarchicznej, wzmożoną zwiększonym wpływem katolickiej Ameryki łacińskiej, zjawiającej się w Lidze Narodów na arenie europejskiej, niewątpliwą poprawę stosunku pomiędzy Francją a Kurją rzymską w dobie powojennej, wzrost szans katolicyzmu w Anglji a zobaczymy, że mimo wszystko stan rzeczy w powojennej Europie był dla katolicyzmu korzystniejszy, niż w Europie przedwojennej, mimo że w porównaniu ze spokojem tamtych czasów narażony był na burze i walki, że był naprawdę „ecclesia militans". Apogeum tego kompletnego obrotu rzeczy stanowiły pakty lateraneńskie, których zawarcie zaznacza w przebiegu wypadków ostatnich lat piętnastu szczyt pomyślnego dla katolicyzmu obrotu rzeczy na gruncie europejskim. zaznacza go nietyle przez likwidację kwestji rzymskiej, ile przedewszystkiem przez zawarcie konkordatu z Włochami, z temi wszystkiemi korzyściami, które on zapewnia katolicyzmowi. Widzieliśmy wówczas wśród większych państw europejskich trzy dysponujące prawie 100 miljonami ludności, Włochy, Polska i Hiszpanja o charakterze zdeklarowanie katolickim, czwarte Niemcy rządzone przy udziale i wielkim wpływie najsilniejszego stronnictwa, jakie wytworzył katolicyzm europejski.

Od tego czasu zaszły jednak w tej sytuacji zmiany na niekorzyść i z tego sobie wyraźnie trzeba zdać sprawę. Zmiany te spowodowane zostały w mniejszym stopniu upadkiem monarchji w Hiszpanji i nastawieniem się niekorzystnem dla katolicyzmu, republiki hiszpańskiej, w większym znacznie stopniu przewrotem jaki się dokonał w Niemczech. Pierwsze miesiące 1933 r. przyniosły, trudno się łudzić, ruinę całej powojennej, a tak świetnej pozycji politycznej katolicyzmu niemieckiego. Nie okazał zdolności do oporu przeciw rosnącym falom nowego nacjonalizmu nawet tam, gdzie na to liczono najpewniej, na południu Niemiec, stracił swe decydujące stanowisko języczka u wagi między prawicą a lewicą, stał się dla zwycięskiej, nacjonalistycznej, głoszącej nową religję rasy, prawicy zbędny i niewygodny politycznie i z niedawnego stanowiska kierowniczego zepchnięty został na pozycje obrony swego bytu politycznego. Wypadki rozgrywające się w Niemczech dowodzą, że centrum przeżywa dziś chwile decydujące o tem, czy utrzyma się jako formacja polityczna, że natomiast przesądzoną zdaje się być na czas dłuższy utrata jego roli jako czynnika współrządzącego Niemcami. Polityczna pozycja katolicyzmu niemieckiego jest dziś gorsza niż w latach przedwojennych, snućby można bezmała wnioski idące dalej poza „Kulturkampf", jeśli hitleryzm zamierza istotnie realizować swoje kościelno-religijne teorje.

Obok skonstatowania faktu, że z czterech wielkich państw katolicyzm liczyć dziś może na dwa, obok pytania czy i kto zapełnić może powstałe luki, obok kwestji czy niepowodzenia w Berlinie nie podniosą znowu szans Wiednia, stwierdzić trzeba także, że dla tych dwu pozostałych wielkich państw, z których jednem jest Polska, dzisiejsza sytuacja katolicyzmu stwarza nie dające się nie spostrzec konsekwencje: udział w trudnościach, z jakimi walczy katolicyzm, ale i szanse wznowienia swego wpływu i znaczenia w świecie katolickim przed nową konstelacją, jaka w bliższej czy dalszej przyszłości może nastąpić.

TADEUSZ SINKO.

„O beata solitudo".

(Z „Listów" św. Grzegorza z Nazjanzu).

Przed trzydziestu latami przyjęła Polska Akademja Umiejętności do programu swych prac krytyczne wydanie greckich Ojców Kościoła IV wieku, przedewszystkiem św. Grzegorza z Nazjanzu, powierzając to zadanie specjalnej komisji. Ta użyła do prac przygotowawczych, głównie do badania rękopisów, młodych filozofów, którzy jako stypendyści Akademji, wyjeżdżali na studja zagraniczne. Trawili oni całe lata w bibljotekach włoskich, francuskich, angielskich, niemieckich, szwajcarskich (jeden zajechał aż na Patmos) na kollacjonowaniu rękopisów z mowami i listami wielkiego Teologa. Prócz nich prof. Sternbach zbadał rękopisy Pieśni, jako ich przyszły wydawca, a prof. Witkowski rozejrzał się po bibljotekach hiszpańskich za rękopisami mów i listów. Owocem prac młodszych są sprawozdania z zawartości i wartości setek rękopisów (najliczniejsze są do mów), ustalenie tradycji rękopiśmiennej mów przez Sinkę, listów przez Przychockiego, scholjastów przez Sajdaka, a oprócz tego szereg przyczynków nazjanzeńskich (notowanych pochlebnie w zagranicznych patrologjach, np. u Bardenhewera). Opóźnianie się samego wydania objaśnia się tem, że kto między 22 a 28 rokiem życia, pojechawszy zagranicę na studja filologiczne, musiał codzień od godziny 9 do 2-giej ślęczeć w ponurej bibljotece nad kodeksami, niezawsze bardzo czytelnemi, i po kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt razy porównywać drukowany tekst Migne'a tej samej mowy czy listu z tekstem pisanym, ten, prócz pewnej urazy do mocodawców, doznał urazu psychicznego do pism św. Grzegorza i puszczony potem na łąkę kwitnącej filologji, nią się wyłącznie zajął, a zużytkowanie zbiorów młodzieńczych zostawił sobie — na później. To „później" przesuwa się coraz dalej wobec bliższych, bardziej osobistych czy bardziej potrzebnych profesorom filologji prac, ale jest nadzieja, że gdy prof. Sternbach ruszy z bardzo już zaawansowanem wydaniem „Pieśni", to wnet za niemi pójdą i mowy i listy.

Tych kilku przypomnień potrzeba było dla wyjaśnienia, skąd w poznańskiem wydawnictwie (Jan Jachowski, Księgarnia Uniwersytecka) „Pism Ojców Kościoła w polskiem tłumaczeniu", wychodzącem pod naczelną redakcją prof. Jana Sajdaka (dotąd 14 tomów gotowych, a 2 w druku), pojawił się przekład (pierwszy wogóle na język nowożytny) „Listów" św. Grzegorza z Nazjanzu, pióra prof. Jana S t a h r a. Zachęcił go do tego prof. Sajdak, a do napisania naukowego Wstępu o stylu listów dopomógł prof. Przychocki swą magistralną pracą „De Gregorii Naz. epistulis" z r. 1912. Tak przekład, jak wyczerpujące objaśnienia dowodzą zupełnego wżycia się tłumacza w umiłowany przedmiot i użycia wszelkich środków pomocniczych, z wyjątkiem studjum „O Tradycji mów św. Grzegorza z Naz.", którego poznanie byłoby tłumaczowi oszczędziło przekładu traktatów teologicznych do Kledonjusza (tak zwanych listów 101 i 102), przekazanych wyłącznie wśród mów i tam należących.

Nie chcąc laików zaprzątać różnorodną, a nie zawsze interesującą treścią tych 244 listów, z których część wydał sam autor, jako Listownik czy sekretarz listowy (Modus epistulandi). dla męża swej siostrzenicy, Nikobula, zatrzymamy się tylko przy wysuniętej na czoło, a więc chyba przez samego autora szczególnie cenionej korespondencji z św. Bazylim w sprawie życia pustelniczego.

Około r. 357 wrócił jeszcze nie 30-letni Grzegorz z kilkuletnich studjów uniwersyteckich w Atenach do rodziców w kappadockim Nazjanzos. Planu „filozofowania w samotności", powziętego z towarzyszem studjów ateńskich, Bazylim, narazie nie wykonał, bo chciał być pomocą dla starych rodziców, ale życie praktyczne go nie zadowalało, jak widać z takiego wyznania (Carm. de rebus suis): „Liczne uciążliwe troski, które dzień i noc gryzą myśl i ciało, ściągają duszę z nieba na ziemię. Już samo rozkazywanie niewolnikom jakąż jest siecią zguby? Oni przecież surowych panów zawsze nienawidzą, a łagodnych bezwzględnie lekceważą. A potem zarządzać majątkiem, dźwigać wciąż na barkach ciężary cesarskie, słuchać twardego głosu komornika! A potem chodzić po hałaśliwym rynku koło wyniosłych trybunałów, dać się ogłuszać wrzawą procesujących się, być oplątywanym giętkiemi sidłami praw. Więcej tam osiągają źli niż dobrzy, sędziowie dają się przekupywać przez obie strony, a im przestępca jest bogatszy, tem większą ma rację". Skarżył się na te utrapienia przyjacielowi Bazylemu, a kiedy go ten zachęcał do porzucenia wszystkiego i wspólnego życia w pustelni, odpisał mu (List 1): „Nie dotrzymałem obietnicy, ale wbrew woli. Prawo przemogło prawo; to, które nakazuje czcić rodziców, przemogło prawo braterstwa i zażyłości. A jednak niecałkiem zawiodę, jeśli na taką rzecz się godzisz: Czasami ja u ciebie bawić będę, czasami zaś Ty u mnie, by wszystko było wspólne i równe w przyjaźni. W ten sposób i rodziców nie zasmucę i ciebie mieć będę". Chciał go zaś mieć w pustelni tyberyńskiej w pobliżu swojej rodzinnej wioski, dokąd często się chronił przed kłopotami administratora majątku ojcowskiego.

Bazyli bawił wtedy w Cezarei i nie miał ochoty porzucać życia wielkomiejskiego dla słotnej i błotnej Tyberyny. Na żartobliwą naganę tej dziury (Bazylego list 14) odpowiada Grzegorz: (list 2): Nie dam sobie ganić Tyberyny, jej błot i słot, druhu błotobojny, na palcach chodzący, po błotach stąpający... Cóż my wam winni, że bledniecie, dusicie się, słońca skąpo macie; a my błyszczymy, syci jesteśmy i niczem niezacieśnieni. Ale to nie dla was! Wy zbytkujecie, bogacicie się, kupujecie; ja do tego nie mam nabożeństwa! Zatem albo przestań wytykać nam błota, boś ani ty miasta swego nie stworzył ani my naszej słoty ,albo — wygarnę ci, że u was zamiast słoty przekupniów hołota i inne rzeczy szpetne, jakie miasta przynoszą".

Ale Bazyli i tak nie miał zamiaru długo popasać w mieście. Toteż rzuciwszy obowiązki nauczyciela wymowy, pojechał zwiedzać monastery w Palestynie i Egipcie, a wróciwszy stamtąd, wyszukał sobie zakątek w górach Pontu nad rzeką Iris naprzeciw monasteru, zbudowanego przez siostrę jego Makrynę, i osiadłszy tam, zaprosił do siebie Grzegorza, opisując mu (list 14) ową ustroń górską w słowach, świadczących o poczuciu natury już nie klasycznem (starożytni nie odczuwali uroku gór), ale — romantycznem: „Jest tam góra wysoka, głębokim lasem obszyta, chłodnemi i przejrzystemi wodami od północy oblana. — U jej podnóża rozpościera się płaska równina, którą użyźniają spływające z góry potoczki. Samorodny las różnobarwnych i różnorakich drzew tworzy jej — rzekłbyś — żywopłot, tak że schować się może wobec niej nawet wyspa nimfy Kalipso. Bo też i nie wiele różni się od wyspy, zamknięta zewsząd zaporami: z dwóch stron głębokie zieją jary, z boku rzeka, spływająca zwysoka, stanowi również nieprzerwaną i nieprzebytą przegrodę; stąd zaś ku przeciwnej stronie ciągnie się góra, która łączy się poprzez półksiężycowe wzgórza z jarami, zagradzając górskie podnóże. Jedno jest tylko wyjście na nią; tego my jesteśmy panami. Schronisko zaś nasze inny obejmuje wądół, mający wysoki na szczycie czub: stąd też przed oczyma twojemi rozciąga się równina; zwysoka też i rzekę przepływającą zobaczyć możesz, która, płynąc, ze wszystkich znanych mi rzek najbystrzej, koło sąsiedniej skały na krótko rozpienia się, potem się zlewa i skłębia w głęboki odmęt, przemiłego użyczając widoku i mnie, i każdemu widzowi, a tubylcom pożytku poddostatkiem, bo żywi w swych odmętach niezliczone mnóstwo ryb". O zapachu łąk, powiewach z nad rzeki, kwiatach i ptaszkach wspomina Bazyli tylko w formie pominięcia, a ze wszystkich owoców tej pustelni najbardziej chwali — spokój, „nie tylko dlatego, że oddala mnie od wrzasków miasta, ale że nawet przechodnia żadnego nie przepuszcza, oprócz tych co przychodzą polować (na jelenie, dzikie kozy i zające)".

Do tego raju byłby Grzegorz zaraz pospieszył, gdyby mu Bazyli pod koniec listu nie był znowu „obraził" jego — Tyberyny, „kałuży świata". Dotknięty przytykiem dworuje sobie Grzegorz (w liście IV) z pontyjskich gór i zarośli, identyfikując je z opisaną w Odyssei mroczną krainą Kimmerjów. O rzece pisze, że jest ona nietyle rybo- ile głazonośna i przygłusza hukiem swym psalmo-śpiewy snujących się nad nią braci: „Rwąca tak, że nie przejedziesz; mętna, że nie przełkniesz, a o tyle tylko miłosierna, że nie porywa waszego schroniska, kiedy ją rozwścieklą potoki i burze".

Z jakiejś wizyty w tej pontyjskiej pustelni wyniósł Grzegorz wspomnienie (list V) szałasu bez dachu i drzwi, ogniska bez płomieni i dymu i nędznej i jałowej biesiady: „Pamiętam owe chleby i zakąski, jak je nazywano. Nigdy nie zapomnę, jak zęby ślizgały się po ułomkach, jak się potem podnosiły i wynurzały niby z bagna". Po takiej biesiadzie gość musiał z gospodarzem napełniać „gnojem Augjasza, wymiecionym z domu" wóz i ciągnąć go do ogródka, by wyrównać jakiś urwisty dół...

Tak żartował sobie Grzegorz z pustelni swego przyjaciela. Gdy pisał poważnie (list VI) nie mógł się nachwalić podniosłego nastroju wspólnego życia kontemplatywnego, wspólnych modłów, czuwań i rozmyślań. Wzdychał nawet do wspólnych zajęć gospodarskich: „Kto mi da owe prace dzienne i mozoły, zbieranie drwa, łamanie kamieni, sadzenie drzew i nawadnianie? Kto ten jawor złoty... który ja zaszczepiłem, Apollo (wspomniany przez św. Pawła I Cor. III b) podlewał, to jest twoja zacność, ale Bóg ku czci naszej dał wzrost, by zachowała się pamiątka naszego mozołu.. Tęsknić, ach, do tego bardzo łatwo, osiągnąć trudno".

Ale Grzegorz osiągnął i dłuższy pobyt w pustelni Bazylego. Owocem tego pobytu były, prócz podniesienia na duchu, wspólne studja teologiczne, a także ułożenie reguły dla mnichów, zwanej później bazyljańską. Wśród dwóch kierunków: pustelniczego (anachoretycznego) i społecznego (cenobitycznego) obrał Grzegorz drogę pośrednią i z pustelnikami modlił się i rozmyślał, z cenobitami czytał i objaśniał Pismo św. i pracował. Dwa lata, spędzone takim trybem, wydawały mu się spełnieniem wszystkich pragnień, szczytem szczęścia. Toteż gdy posłuszny ojcu wrócił do Nazjanzu i dał się wyświęcić na presbytera, w krótkim czasie uciekł znowu do pustelni pontyjskiej i bawił tam od Trzech Króli do Wielkiej Nocy. Zastanawiał się tam wtedy nad obowiązkami kapłańskiemi, które wyłożył po powrocie w długiej mowie, zwanej „Apologetykiem", jako że

MARJA MORSTIN-GÓRSKA.

Wielkanoc w Rzymie*).

Słońce zalewało plac i schody bazyliki św. Piotra. Na błękicie południowego nieba, twardym i połyskliwym jak emalja, odcinały się ostro linje szerokiej fasady i olbrzymiej kopuły, również jak i potężne pnie rozpoczętego ramienia kolumnady. Uroczystość Wielkiej Soboty zgromadziła tłumy. Ściśnięty, bezkształtny jeszcze plac, zawalony gruzami rozburzonych budynków, wypełniony był ruchomą masą ludzką tysiąca kolorów i odcieni. Przeciskały się przez nią pojazdy kardynałów i panów rzymskich w otoczeniu przyjaciół i dworaków. Czekano na papieża, który miał przybyć z Kwirynału. Blask radości unosił się w przeźroczystem powietrzu. Bolesne misterjum Krzyża, opłakiwane jeszcze wczoraj w tej samej bazylice wśród mroków zapadającej nocy, ustępowało już w cień przed weselem dnia wielkanocnego, dnia „w którym śmierć została zwyciężoną na wieki"...

Z bocznej ulicy wychylili się strojni pachołcy, niosący na ramionach misterne pudło, niby ogromną bombonierkę. Rozsunięto jedwabne firanki i księżna Torlonia wyskoczyła lekko na ziemię. Korzystając z tego, że książę musiał piastować jakiś urząd przy dzisiejszej uroczystości, wybrała się z domu ulubioną lektyką, co zapewniało jej większą swobodę ruchów. Zbliżyła się do grupy znajomych, patrząc ciekawie dookoła.

Przed bazyliką ruch nie ustawał ani na chwilę. Oto właśnie zajeżdżała kareta szwedzkiej królowej, w orszaku kilku jeźdźców pięknej postawy. Chwiała się nad nią korona z złoconego bronzu — symbol władzy, którą północna władczyni porzuciła wprawdzie lekkiem sercem, lecz której wspomnienie miało dla niej wielką wagę. Krystyna wysiadła i wstępowała dumnie po ogromnych schodach — ona, nawrócona córka i według swego mniemania najcenniejsza perła Kościoła. W istocie przedstawiała niezbyt majestatyczny widok. Ufna w blask byłej godności nie dbała zupełnie o swój ubiór, toteż nosił on cechę pośpiechu i wrodzonej jej gwałtowności. Coś zawsze zwisało i niedopinało się na niej; męską twarz wieńczyły rozkudłane włosy, bo fryzjer naglony pogróżkami nie mógł nigdy ukończyć swego dzieła. Panie rzymskie uśmiechały się złośliwie poza jej plecami.

Towarzyszący królowej Heydenstjerna odprowadził ją z innymi do drzwi kościoła, poczem zawrócił, nie chcąc jako Luterjanin uczestniczyć w katolickiem nabożeństwie, i pośpieszył przywitać się z donną Marją.

Od kilku tygodni stosunki ich jeszcze się zacieśniły. Młody Szwed bywał prawie codziennym gościm w pałacu Torlonia. Korzystając z pobytu w Rzymie swego szwagra, Don Carla, księżna tłómaczyła pobożnemu małżonkowi, że stara się urządzać ich spotkania, aby zacnego cudzoziemca nawrócić na prawdziwą wiarę i że ma wszelką nadzieję — osiągnięcia pomyślnego skutku. Wybieg ten był po części prawdą. Heydenstjerna i Benedyktyn rzeczywiście się polubili i długie wiedli u niej z sobą rozmowy. Szwed uległ urokowi łagodnej świętości bijącej od wykształconego mnicha, który poznał znów z pewnem żdziwieniem, że i heretyk może mieć wzniosłą duszę. Byli więc dla siebie wzajemnie oknem otwartem na nieznane dotąd światy.

Marji miłą była przedewszystkiem atmosfera podziwu, którą otaczał ją Heydenstjerna: wdychała ją z lubością niby woń kwiatów ustawionych dyskretnie w rogu komnaty. Lecz nieznacznie obecność zakonnika, powaga dysput przy niej prowadzonych wpłynęła też na jej usposobienie. Naprawdę przejmowała się niemi, odnosząc się do swego przyjaciela serdeczniej, lecz z mniejszą kokieterją. Gorące uczucie Widama nabierało znów przez to odcienia głębokiej czci. Gdy siedziała przy nich w bogatym, fałdzistym stroju i bujnej krasie, wsłuchana w uczone wywody, wydawała mu się raczej personifikacją teologji, jaką malowali na freskach mistrze współcześni, niż żądzom ziemskim dostępną kobietą.

I teraz, wracając myślą do różnicy ich przekonań, donna Marja rzekła skwapliwie:

— Spójrzcie, panie Heydenstjerna, czyż nie piękna to chwila? Jakże wspaniałą jest ta świątynia, obraz potęgi naszego Kościoła. Nie mogą się jej napatrzeć oczy. I tyle ludzi zgromadzonych — pielgrzymi ze wszystkich stron ziemi!

— Zapewne pyszną jest budowa tych murów, przedziwny skład rzeźbionych głazów, odparł Szwed. Lecz gdy oko nasze raduje się tym widokiem, czyż i serce nim cieszyć się może, gdy się pomyśli, ile groszów wdowich z całego świata poszło na ich wykończenie i jak wiele nędzy możnaby uleczyć, gdyby te skarby użyć na wspieranie żywych ludzi a nie kamieni. A wszak ubogich jest tu więcej, niż w każdym innym kraju. Czy myślicie, księżno, że Zbawiciel nasz nie wolałby pierwej ich poratować, a potem dopiero przystrajać Swe mieszkanie w kosztowne marmury i posągi? Teraz podobniejszem jest przecież do waszych sal balowych niż do przybytku modlitwy!

Marję Angelikę zadziwiły te słowa — taka myśl nie przyszła jej nigdy do głowy. Istnienie nędznych i głodnych było w jej pojęciu rzeczą przykrą, lecz tak konieczną, jak nieuniknioną jest zima, której najjaśniejsze promienie słoneczne od początku świata zwalczyć nie mogły. Dlaczego miałoby to przeszkadzać wznoszeniu bogatych kościołów? Bez namysłu, z żywością, z jaką broni się rzeczy bardzo umiłowanej, odpowiedziała:

— Bóg przecież lubi, żeby było pięknie. Mógł nie stwarzać kwiatów, jeno same ziarna dające pożywienie, a jednak jest więcej kwiatów niż ziarn na ziemi. Splendor tej świątyni jest też jedynym dostępnym tym biedakom, których tak żałujecie. Myślicie, panie, że Colonnowie albo mój mąż wpuściliby tych ludzi na swoje pokoje? Tutaj mogą swobodnie przebywać wśród marmurów i złoceń i używać na ich przepychu, czując się jednocześnie w swoim domu i w swojem prawie. To, co jest piękne, jest własnością wszystkich, którzy patrzą na nie: jest wspólnem dobrem, jak słońce i niebo.

Jakby na potwierdzenie jej słów podniosły się w tłumie okrzyki na cześć wspaniałego pojazdu Berniniego, pierwszego artysty Stolicy Apostolskiej. Na pysznej karocy siedziały pozłacane maskarony o najdziwaczniejszych kształtach. Architekt, rzeźbiarz, malarz, autor komedji i dekorator teatralny, człowiek, którego fantazja stworzyła styl całej epoki a dzieło przerasta swym ogromem pracę kilku pokoleń, znajdował jeszcze czas, aby sam rysować wzory na swe karety ku uciesze ludu rzymskiego. I kochano go za tę rozrzutność twórczego trudu.

Stanąwszy u góry schodów, Bernini obrócił się i wpatrzył w swe rozpoczęte dzieło. W myśli widział je już ukończone, te kolumnady dorycKie, niby ramiona olbrzyma, pragnące ogarnąć świat cały. Gdy stał tak, mimo lat sześćdziesięciu, krzepki i pełen ognia wieśniak neapolitański, słuszna duma wezbrała jego sercem. Czyż Rzym taki, jakim go będą znać przyszłe pokolenia nie może być nazwanym Rzymem Berniniego? Nietylko bazylika św. Piotra, lecz prawie wszystkie kościoły przerobione są według jego planów i zdobne na wzór jego prac robionemi rzeźbami. Liczne place i fontanny miasta zaludnił tłum trytonów, nimf i delfinów, co wypłynął mu z piersi rozwichrzony, niepowstrzymany, radosny, jak ów żywioł wody, któremu służył za oprawę... Lecz nagle niby kościotrup unoszący fałdów kotary na pomniku papieża, w duszy pobożnego mistrza baroku wychyliła się groza grzechu pychy, mogącej ukrywać się pod poczuciem potęgi twórczej i prowadzić do potępienia. Przeżegnał się pośpiesznie i poszedł uklęknąć przy grobie Księcia Apostołów, straconego w hańbie i poniżeniu.

Od Borgo Nuovo rozszedł się skłębiony szmer — fala głów zakołysała się i przypadła ku ziemi. Sześć białych koni ciągnęło złotą karetę papieską. Szły majestatycznym stępem wśród klękającego tłumu. Aleksander VII. pontifex maximus, wyprostowany, w śnieżnych szatach, kreślił nad nim błogosławiące znaki. Pojazd posuwał się tak zwolna ku bramie wiodącej do wnętrza Watykanu.

Heydenstjerna patrzał zdumiony na swe otoczenie. Stał z donną Marją w gronie arystokratów rzymskich, których słyszał nieraz sarkających na papieża, iż czas swój i mienie Kościoła poświęca wzbogacaniu krewnych. Skarżono się powszechnie na rozpanoszenie nepotów. Cóż z tego, mówiono, że Ojciec Święty sam żyje ascetycznie i chcąc nie zapominać o śmierci nawet przy jedzeniu, kazał wyryć trupie główki na swoich talerzach, gdy ta sama myśl o jego możliwym zgonie pobudza całą rodzinę do jaknajszybszego rozgrabiania pieniędzy kościelnych póki nowe panowanie nie położy kresu tym zyskom. Takie rozmowy napełniały Szweda głębokiem zgorszeniem. Przywykły do poważania wszelkiej władzy, dziwił się jak ci ludzie mało szanują tego, w którego moc oddali nietylko swe państwo ale i dusze. Tymczasem teraz na tych samych twarzach ujrzał wyraz skupienia i zachwytu — głowy chyliły się w kornej czci. Donna Marja uklęknąwszy razem z innymi powtarzała jakby w uniesieniu:

— Eviva! Eviva il papa re!

Heydenstjerna poczuł, że spotyka tu coś nieoczekiwanego. A to wrażenie spotęgowało się jeszcze, gdy w godzinę potem, po skończonem nabożeństwie, Aleksander VII wyszedł na ganek świątyni, aby urbi et orbi, miastu i światu dać uroczyste błogosławieństwo. Na tle olbrzymiej fasady papież był tylko małym punktem świetlanym, bez widocznych zarysów i kształtów, lecz z tego punktu szła tajemnicza siła, ujarzmiająca zebrane tłumy, rozszerzająca swe niewidzialne kręgi aż w najdalsze strony ziemi. Osoba Fabiusza Chigi'ego była już tylko szatą, okrywającą wieczystą godność namiestnika Chrystusowego.

W tej samej chwili zabrzmiały jednocześnie dzwony wszystkich kościołów rzymskich. Spiżowe, srebrne i mosiężne dźwięki zlały się w jeden głucho brzęczący ton, napełniający swem potężnem drganiem całą wzdętą półkulę horyzontu. Zdawać się mogło, że to słońce samo rozhuśtało się tam w górze i bijąc o brzegi niebios wydzwania ponad światem tryumfalną wieść Zmartwychwstania...

*) Fragment z opowiadania z czasów baroku p. t.: „Gość z Północy".

w niej broni się także przed zarzutami, podnoszonemi z powodu jego ucieczki do pustelni. Sławi tu życie spokojne i odludne: „Byłem jego miłośnikiem od początku, większym, niż ktokolwiek z pośród literatów, i ślubowałem je Bogu wśród największych niebezpieczeństw (podczas burzy morskiej w drodze do Aten). I jużem je chwycił o tyle, że stanąłem na jego progu i przez samo zakosztowanie większem zapłonąłem pragnieniem. Dlatego nie zniosłem tyranji, wpychania mię w środek hałasów i wyciągania przemocą niby z świętego jakiegoś azylu. Bo nic nie wydawało mi się tak upragnionem, jak to, żeby niby zamknąć zmysły, wyjść poza ciało i świat, wejść w siebie samego, nie tykać się bez konieczności niczego z ludzkich spraw, rozmawiać z samym sobą i z Bogiem, żyć ponad światem widzialnym i nosić w sobie zawsze Boskie promienie (idee) czyste, niezmieszane z materjalnemi i błędnemi wrażeniami, jako bezplamne zwierciadło Boga i spraw Boskich... Kto tak żyje, zrywa już w nadziejach dobro przyszłego żywota, chadza z aniołami i chociaż jeszcze jest na ziemi, opuszcza ziemię i przez ducha do góry wzlata". Taki stan nazywamy mistyczną ekstazą. Doznawał go Grzegorz w pustelni i dlatego z późniejszych godności biskupich i arcybiskupich wyrywał się zawsze do samotności, która i jemu dawała szczęście i daje je tym, co do dziś dnia na swych eremach umieszczają napis: „O beata solitudo! O sola beatitudo!"

WACŁAW SIEROSZEWSKI.

„Polski nie można wygadać".

Nie pamiętam dokładnie daty, kiedy to było, ale było to napewno albo przed samym wybuchem wojny rosyjsko-japońskiej, albo w jej początkach.

Pani Marja Paszkowska, jedna z głównych działaczek „pepesowskich" od spraw konspiracyjnych, uwiadomiła mnie, że u p. Krakowowej o godzinie dziewiątej wieczorem odbędzie się „herbatka" polityczna o doniosłem znaczeniu i prosiła, żebym koniecznie na nią przybył, z tym jednak warunkiem, że nie przyprowadzę za sobą żadnego „ogona". Chociaż pozostawałem wciąż pod pilnym nadzorem policji, jednak po powrocie moim z Japonji nie tropiono mnie już tak zaciekle jak przedtem i udało mi się „ogon" zgubić po drodze i dotrzeć do wskazanego mieszkania bez eskorty.

Skromne, miłe pokoiki p. Krakowowej pełne były radykalnej inteligencji warszawskiej. Nie witano się i nie wymieniano nazwisk jak zwykle na takiego rodzaju zebraniach. Dużo obecnych osób znałem z widzenia pod pseudonimami, zapamiętałem jednak do dziś dobrze jedynie Dra Rafała Radziwiłłowicza i Edwarda Abramowskiego. Kiedy przechodziłem z jednego pokoju do drugiego, minąłem smukłego, opartego o framugę drzwi, młodego mężczyznę o gęstej ciemnej czuprynie, czarnych brwiach, ładnych wąsach i małej bródce, rozmawiającego z ożywieniem z nieznanym mi panem. Coś mnie w jego fizjognomji uderzyło, ale nie było przyjęte pilne przyglądanie się komukolwiek na konspiracyjnych „herbatkach". Poszedłem dalej, wtem ktoś dotknął mego ramienia i wesoły głos zapytał:

— Nie poznajesz mnie, Wac...?

Obróciłem się i odrazu spostrzegłem, że ten przystojny, smukły mężczyzna, to „Ziuk" Piłsudski.

Patrzył na mnie szaremi, przenikliwemi oczami, w których błyskały iskry szczerego humoru i zadowolenia.

— Istotnie. Jakże to tak: ile razy cię spotkam, tyle razy nie poznaję!... — śmiałem się, ściskając mu rękę.

— To największa moja zaleta, choć, jak widzisz, ani maluję się, ani żadnych fałszywych bród nie przyprawiam!... Co, nie?... Ha, ha!...— odparł śmiejąc się również.

Dokoła nas utworzyło się natychmiast małe skupienie. Zaczęliśmy wspominać rozmaite przygody. Ziuk pysznie opowiadał z wielkim humorem i żywością. Z Ziukiem znałem się dawno. Słyszałem o nim na Syberji, gdzie byliśmy „sąsiadami": on przebywał czas jakiś w Kiereńsku nad Leną, ja uprawiałem ziemię nad tą samą Leną półtora tysiąca kilometrów dalej na północ w Namskim Ułusie. Następnie spotykałem się z nim w Petersburgu w 1896 r., poczem w Warszawie... Zawsze i wszędzie ten człowiek wnosił tyle wdzięku, poezji i pomysłowości w swoje otoczenie, że nikt nie mógł się oprzeć jego czarowi.

Jednocześnie biła zawsze z jego słów i czynów wielka siła, przezorność i mądrość. Był urodzonym przywódcą, wszyscy go się słuchali, choć nigdy tej władzy swej nie zaznaczał i nigdy się z nią nikomu nie narzucał.

Tak samo było na tym pamiętnym wieczorze. Powoli przy herbacie szum poszczególnych rozmów przycichł i ktoś, zdaje się Abramowski, zaczął wygłaszać zasadnicze przemówienie. O ile sobie przypominam, mówił o rządzie dusz, o możliwości zorganizowania zbiorowej woli poza państwem, o bractwach sąsiedzkich i zawodowych...

Wszczęła się dyskusja, gdyż znalazło się dużo przeciwników, zwolenników materjalizmu dziejowego i klasowego poglądu. Ziuk milczał i słuchał. Siedziałem niedaleko od niego i jak dziś pamiętam wyrazistą twarz jego skupioną i uważną. Nagle w pewnej chwili, gdy zdawało się, że nużące spory ogólne rozbiją się oraz przetoczą na szczegóły i drobiazgi, Ziuk zadzwonił w swoją szklankę i powstał. Ucichło, wszystkie oczy zwróciły się ku niemu...

Była to pierwsza większa mowa Ziuka, jaką słyszałem. Mówił spokojnie, niezmiernie prosto, bez żadnych patetycznych zwrotów i krasomówczych metafor, ale cała mowa dyszała taką siłą przekonania, tyle w niej było szczerości i zatajonego uczucia, że wywarła na wszystkich szalone wrażenie. Mówił o zbliżających się międzynarodowych wypadkach, o przewrotach i terminach niezmiernie ważnych dla Polski.

— Wszyscy musimy się zjednoczyć i wysilić, żeby usłyszano i nasz głos tam, gdzie będą decydować o nas bez nas. Ale ten głos musi być poparty dowodami gotowości do ofiary i czynu... — dowodził.

W tej mowie padły z ust Piłsudskiego poraz pierwszy słowa, które stały się później mottem często powtarzanem przez Jego współpracowników.

Polski nie da się ani wymodlić, ani wygadać, ani wyszachrować!... Trzeba ją zdobyć!...

Naszkicował przed nami cały program postępowania, który napełnił wielu zapałem niezmiernym i grozą, gdyż otwierał męczeńską perspektywę dawnych walk powstańczych... Zakończył wezwaniem, aby wszyscy dotychczasowi sympatycy wstępowali do P. P. S. i poddali się surowej dyscyplinie i karności partyjnej.

— Potrzebujemy jedności działania i szerokiego rozmachu... Musimy wciągnąć do politycznej roboty bierne i lękliwe koła naszego społeczeństwa!...

Rozumie się, że nazajutrz zgłosiłem się na czynnego członka partji, do C. K. R. — P. P. S., gdzie przewodniczącym był Ziuk.

Po niejakim czasie już bezpośrednio od niego otrzymałem nakaz wzięcia udziału w organizowaniu Postępowej Demokracji. Bardzo mi się to niepodobało, lecz wytłomaczono mi, że zadaniem mojem oraz innych członków P. P. S. „wyżyczonych" Pedekom, jak np. Dr R. Radziwiłłowicz, jest wprowadzenie elementu zwykłej „fizycznej odwagi" do tego grona zacnych mężów, walczących z niezmierną odwagą z wszelkiemi autorytetami, nawet z Panem Bogiem, ale śmiertelnie obawiających się... „stójkowego".

Narazie polecono nam rozpowszechnienie i spopularyzowanie idei autonomji „wśród wystraszonej i apolitycznej inteligencji polskiej, aby ją przyuczyć do stawiania żądań politycznych".

Co to był za ruch z tego powodu w sferach epigonów warszawskiego pozytywizmu! Pamiętam jak wesoło śmiał się Ziuk, kiedyśmy mu o tem opowiadali. Pamiętam również, że na zebraniu w Jerozolimskich Alejach, na którem był obecny „sam ordynat Maurycy Zamoyski" i gdzie A. Świętochowski wprowadzał w świat „pannę Autonomję" — endecy wypierali się nawet myśli o autonomji, jak następnie wypierali się myśli o niepodległości.

Dużom się napracował wtedy, gdyż jako „autonomista" musiałem jeździć na zjazdy do Moskwy i Petersburga i tam organizować „Federację narodowości przez Rosję uciemiężonych": Gruzinów, Ukraińców, Ormian, Tatarów, Litwinów, Łotyszów i t. d., którzy wówczas jeszcze pisnąć się nie odważyli o cieniu politycznej niezależności i żądali jedynie równouprawnienia kulturalnego.

Były to zaiste „ciężkie roboty", od których zwolniono mnie dopiero wtedy, kiedy „autonomja" została uznana jako hasło nawet przez „endeków" i sprzeczano się jedynie o jej rozmiary. Wtedy powróciłem do rewolucyjnej roboty niepodległościowej i znowu zaczął się za mną pościg rosyjskiej policji...

MARJA PAWLIKOWSKA JASNORZEWSKA.

Róże i kobiety.

Kwitnąć chciałyby wszystkie!
Tłoczą się, łokciem bodą,
po miejsce na tym świecie,
po czar z urodą.

Lecz miejsca zawsze mało!
Więc jedne — kobietami.
a te co nie zdołały —
zakwitają różami.

I raz ręce dziewczyny
różę z płatków odarły,
a raz róża rozkwita
przy dziewczynie umarłej...

Wenus.

Fjołkowe gwiazdy balkonu
zapachem noc upajają — —
nieważny zegar wydzwania
nieczynną godzinę pierwszą...

Lecz już rozpryskana Wenus
czyha na niebie jak pająk,
by wysnuć nitkę marzenia
od ciebie — ku moim piersiom...

S. WINDAKIEWICZ.

Misterja Wielkanocne.

Święta wielkanocne budzą u ludzi wiele poważnych myśli, skłaniają pobożnych do odprawiania różnych nabożeństw, a ogół pociągają do odwiedzania Bożych grobów i w przyjemnem usposobieniu utrzymują nadzieję święconego. Boże groby w ostatnich czasach zmieniły się w popisy kwiatowe. Choćby się nie było bardzo pobożnym, miło oglądać wspaniałe kobierce różnobarwnych i bardzo starannie hodowanych kwiatów. W Niedzielę palmową powszechnie rozchwytywane są gałązki wierzbowe z baziami. Coraz wyraźniej święta wielkanocne przobrażają się w świecie katolickim w święto kwiatów i nadchodzącej wiosny.

Ale dawniej, dwa, trzy wieki temu było inaczej. Dla podniesienia uroczystego nastroju tych świąt, Kościół dopuszczał a nawet sam zapoczątkował przedstawienia teatralne. Przy Bożych grobach wygłaszano lamenty wielkopiątkowe, a w sobotę lub niedzielę przedstawiano małe djalogi rezurekcyjne, początkowo oczywiście łacińskie a potem polskie. Sięgają one w odległe czasy, omal nie Polski Książąt dzielnicowych. Lubujące się w nabożeństwach średniowiecze rozszerzyło niebawem ten sposób obchodzenia świąt wielkanocnych i wprowadziło odgrywanie drobnych djalogów na tle innych wypadków historji pasyjnej. Szczególnie upowszechniły się przedstawienia: Pan Jezus na Górze oliwnej, odczytywanie wyroku, a jak dawniej mówiono, urtału Piłata, który dziś jeszcze sprzedają na odpustach, procesja Kalwaryjska z noszeniem Krzyża i bardzo ludowa scena wieszania Judasza i włóczenia jego bałwana po mieście.

Zabawy te objęły stopniowo całą oktawę i inne dni wielkiego tygodnia urozmaicono także odpowiednimi popisami. Z wielkiem upodobaniem odprawiano procesję Niedzieli Kwietnej z figurą Chrystusa na osiołku, którą można dziś zobaczyć w muzeach. A na zakończenie świąt wystawiano jeszcze wcale poetyczną sztuczkę „Pielgrzym wielkanocny". Treść rzeczową rozszerzano allegorjami i pomysłami z moralitatów. Lubiano występy aniołów z narzędziami Męki Pańskiej i popisy djabłów, które dawały ujście rubasznemu dowcipowi pospólstwa. Drobnych sztuczek polskich na święta wielkanocne z XVI i XVII w. zachowało się w rękopisach dosyć dużo. Zapiski o rzeczywistych przedstawieniach w danym czasie i miejscu są rzadsze. Czytamy o jednem takiem przedstawieniu w r. 1564 w katedrze lwowskiej i o innem w r. 1625 w kościele św. Piotra w Krakowie.

Z tych drobnych sztuczek powstały w Polsce trzy wielkie misterja wielkanocne. Zagranicą w Francji, Włoszech i Hiszpanji, wogóle w krajach romańskich, było ich więcej. My u siebie stwierdzić możemy, żeśmy w XVI i XVII wieku posiadali właściwie misterjum pasyjne od narady kapłanów do złożenia Chrystusa Pana w grobie, osobne misterjum złożenia do grobu, poprzedzone sceną zdjęcia z krzyża, i trzecie misterjum na temat zmartwychwstania Pańskiego. Z tych trzech zasadniczych sztuk próbowano następnie utworzyć jeszcze obszerniejsze widowiska cykliczne, przez dwa i więcej dni odgrywane. Składano je najczęściej z procesji na Niedzielę Kwietną i właściwej pasji. Zasługuje na pamięć cykliczne przedstawienie z Sławkowa pod Krakowem „Passio Domini nostri Jesu Christi" z XVII w. Najgłośniejszem jednak misterjum wielkanocnem polskiem była „Historja o zmartwychwstaniu Pańskiem" z czasów Stefana Batorego, odgrywana w Częstochowie i pod opieką Paulinów, ciesząca się powodzeniem przez trzy stulecia. Ułożył ją Paulin częstochowski Mikołaj z Wilkowiecka w pięknym języku, uscenizował zręcznie, przejrzyście, w bardzo poważnym nastroju. Tekst wywiera przyjemne wrażenie i u lubowników sztuki ludowej cieszy się uznaniem.

W teatrze ludowym niema sztuk wysokiej wartości artystycznej. Są one przeważnie rubaszne, w nastroju naiwnym, bez większego polotu, okazując tu i ówdzie skłonność do zdrowego i trzeźwego realizmu. Prawdziwi poeci nie brali w nim udziału. Produkcja ta jest przeważnie bezimienna. Z nazwisk wybitniejszych, które pewne spoufalenie z nim okazują, można wymienić Reja, ks. Wereszczyńskiego, ks. Grochowskiego, Miaskowskiego i Wacława Potockiego. Najudatniejsze w naszym repertuarze wielkotygodniowym były lamenty wielkopiątkowe, z sławnym lamentem świętokrzyskim na czele. Wyróżnić można także scenę zdjęcia z krzyża w jednem z misterjów. Zajmowały się tą sztuką przeważnie warstwy niższe, zwłaszcza oczywiście młodzież szkolna.

Teatr ten miał osobną scenę z trzema kondygnacjami na niebo, ziemię i piekło. Aktorowie zasiadali odrazu na przeznaczonych miejscach i odzywali się, gdy kolej na nich przyszła. Bardzo zajmujące są wskazówki, jak sobie radzić z sceną i kostjumami, dodane do misterjum częstochowskiego.

Teatr ten cieszył się powodzeniem przez pięć wieków, a w Polsce najbujniej się rozwinął w XVII stuleciu. W wieku Oświecenia zaczęto z niego szydzić, a pod koniec tego okresu wyrwano go z korzeniem i na zupełną zagładę i niepamięć skazano. W tradycji ludowej zachował się tylko zwyczaj stawiania straży przy grobie, co dziś jeszcze w Krakowie się utrzymuje. Po wsiach na Powiślu znana jest także zabawa wyrostków włóczenia bałwana Judaszowego po ulicach. To wszystko, co po nim pozostało. W czasach romantycznych wobec zaniku tego teatru, a nierozwinięcia się jeszcze studjów historyczno-literackich, o przedstawieniach pasyjnych zupełnie zapomniano. O ile o świętach wielkanocnych przyszło komu mówić, zwracano uwagę jedynie na kościelną i obyczajową stronę tych świąt. Kondratowicz z wielkim taktem i przejęciem opisał obchód Wielkiego czwartku w kościółku wiejskim w mało znanej gawędzie pod tym samym tytułem. Słowacki podał zupełnie fantastyczny opis „Święconego u ks. Radziwiłła Sierotki", wzorowany podobno na pomysłach Paska. W „Pieśni o domu naszym" Pol zajmuje się przedewszystkiem plackami wielkanocnymi.

Najciekawsze wspomnienia tyczą się Mickiewicza. Okrągło sto lat temu (1833), na upamiętnienie pierwszej Wielkanocy spędzonej na emigracji, jako redaktor „Pielgrzyma polskiego", napisał artykuł „Wielki tydzień". Niedawno wydał III część „Dziadów" i „Księgi Pielgrzymstwa", a trzecią pieśń „Pana Tadeusza" miał skończoną. I ciekawe, co w tej chwili powie nasz wielki epik. W artykule tym wspomina bardzo krótko o obchodach kościelnych i domowych, złączonych z temi świętami, wskazuje, że w Kalendarzu narodowym na Wielki tydzień przypada już kilka pamiętnych wydarzeń, a najobszerniej rozwodził się nad dzwonami rezurekcyjnymi, które dzwoniły w Polsce na to święto, a potem przylały się powstańcom na działa. Artykuł niedługi, żywy, zwrócony do byłych żołnierzy, zarywa wspomnieniami niedawnego powstania. Można go zużytkować jako ciekawostkę bibljograficzną przy komentarzu do „Pana Tadeusza".

Ale romantyzm, choć się misterjami wielkanocnemi nie zajmował, wypracował mesjaniczną naukę o umęczeniu i zmartwychwstaniu Polski, która się opiera o te same wspomnienia, co święta wielkanocne, choć inny przedmiot czci wybiera. Wiedziano o tem doskonale, lecz z corocznym obchodem świąt wielkanocnych nauki tej długo nie łączono. Miała ona ściśle idealne, oderwane od świąt corocznie obchodzonych znaczenie. Aż w okresie pozytywizmu Konopnicka ogłosiła trzy wspaniałe i wzruszające wierszyki „W Wielki piątek", „W dzień Zmartwychwstania" i „Resurexit", w których przeczucie zmartwychwstania narodu związała z właśnie obchodzonemi świętami wielkanocnemi (1896). Skorzystał z tego Wyspiański i w przedziwnym dramacie „Akropolis" z obchodem rezurekcji w Katedrze wawelskiej złączył najgłębszą wiarę w rychłe zmartwychwstanie ojczyzny (1904). Miasto dawnych przeczuć mesjanicznych wprowadził w ideologję narodową kościelny obchód zmartwychwstania i przywiązał do oznaczonego miejsca i czasu. Odtąd zaczęto tłumnie chodzić na nabożeństwo rezurekcyjne do Katedry wawelskiej. Dziwnie niezniszczalna tradycja przylegla do jej murów. Najdawniejsza nasza sztuczka rezurekcyjna „Officium sepulchri" z XII w. znajduje się w księgach liturgicznych tej katedry i najnowsze misterjum narodowe zmartwychwstania osadził zwiastun nowej Polski w tej samej Katedrze i osnuł około tego samego nabożeństwa.

STANISŁAW WASYLEWSKI.

Tylko ćwierć funta!

Działo się w owych czasach błogosławionych czy przeklętych (trudno dziś zdecydować) bezkrólewia pieniądza, kiedy to płowy spłacheć miljona marek topniał w ręku, jak śnieg majowy. Każdy z nas miał wówczas taką samą ciotkę, która nagle, chociaż nigdy psa nie miała, zakupywała w tryumfie dwa tuziny kagańców dla najmniejszych mopsików (bo to przecie za pół darmo!). Wydawcy książek przekazywali telegraficznie dziesiątki i setki miljonów autorom, ucieszeni również, że się pozbywają pieniędzy. Ba, nawet książki ludzie kupowali.

Ogłosiwszy wówczas u Altenberga i Mortkowicza miłą choć mało komu znaną antologję z obrazkami: „Sztambuch, skarbnica przyjaźni" (Lwów—Warszawa 1922) zacząłem sam zbierać sztambuchy. W przepływie przez rynek rozmaitej wyciąganej ze strychów starzyzny — trwał wówczas jeszcze w całej pełni snobistyczny pęd do antyków — nietrudno było nawet wyłowić coś ciekawego. W Warszawie kupiłem tedy za jakieś miljony (równowartość dwutygodniowego utrzymania) sztambuch wileński z przepysznym autografem Mickiewiczowskiego „Znaszli ten kraj" wpisanego w r. 1840 w Strassburgu w album p. Strawińskiej, we Lwowie kilka innych ciekawych okazów. Pomagał mi trochę pewien kupiec korzenny, który pod naporem konjunktury przeszedł od margaryny do bibelotów. I nawet niezgorsze robił interesy. T. zn. nietyle on sam, ile znawcy, którzy nabyte u korzennika szpinety, gobeliny i bronzy puszczali w świat z doskonałym zyskiem. Nagabując wszystkie swe klijentki przynoszące rozmaitą starzyznę o takie książeczki z obrazkami, rysunkami i wierszykami, natknął się kupiec na staruszkę, która przyniósłszy jakieś małowartościowe rupiecie, opowiadała, że u siebie w domu ma więcej gratów i może cenniejszych. Sztambuchy ma również, ale ich nie sprzeda, bo to pamiątka. Transakcja nie doszła więc do skutku, a kupiec nie był też bardzo uradowany nabytkami. Po jakimś czasie dowiedziałem się, że sprzedającą jest p. Jadwiga Szujska, owa „Jadwinia" wspominana w ogłoszonych niedawno przeze mnie w „Czasie" listach autora „Dziejów Polski", znajdująca się po śmierci brata Władysława w bardzo trudnych warunkach materjalnych. Antykwarz odwiedziwszy ją, oglądał piękny (jak opowiadał) sztambuch, mógł to być albo sztambuch Józefa Szujskiego, albo żony jego Joanny (oba opisywane przez Ludwika Dębickiego) a co ważniejsze, mówił, że są tam całe pliki papierów na półkach, w komórce czy przedpokoju, o których jednak sprzedaży staruszka — i słusznie — słyszeć nie chciała. Wyraziłem gotowość kupna tych bezwartościowych zdaniem kupca papierów, ofiarując mu trzykrotną i pięciokrotną cenę, jaką sam płaci czy bierze za makulaturę. Przyniósł mi niewiele. Ćwierć funta zaledwie listów. Szczęt jakiejś większej widocznie uporządkowanej i przebranej całości, bo same przeważnie dokumenty, zasługujące na przechowanie. Zaciekawiony ogromnie namawiałem go do dalszych ekspedycyj do tych półek z spuścizną po Józefie Szujskim, ale bez rezultatu. W jakiś czas potem p. Jadwiga Szujska umarła (25 kwietnia 1925) i już nie mam żadnych wiadomości o dalszych losach papierów po Jej znakomitym Ojcu.

* * *

Trzydzieści kilka listów składa się na ten pakiet okruchów. Pochodzą z lat 1869—1880. Najdawniejszy z listopada r. 1869. Ksawery Liske zapytuje ze Lwowa jak stanęła sprawa jego profesury in spe i wdzięczny będzie za najkrótszą wiadomość. Wszystkie inne również pióra ludzi znanych, o nazwiskach nie wymagających objaśnień. W paru słowach zdam z nich sprawę.

Emigrację paryską reprezentuje Bronisław Zaleski z Lubomirem Gadonem, Zaleskiego list tylko jeden z wielu owym maczkiem strzelistym pisany tuż przed śmiercią, z żalem, że nie mógł przyjechać na obchód Kraszewskiego, gdzie nęciło go poznanie wielu ludzi z różnych stron kraju. Gadon prosi poufnie o poradę, jaką pracę historyczną należałoby nagrodzić na konkursie paryskim r. 1880, ośmiela go do tej prośby „nam obu wspólna i droga pamięć Bronisława, któremu nie odmawiałeś, Drogi Panie, dobrej swojej rady".

Dalej wybitni uczeni radzą się, dopytują, zawiadamiają, proszą. Tadeusz Wojciechowski pisze we wtorek (bez daty): „Kubala przed odjazdem kazał Cię prosić, aby jego Orzechowski mógł być umieszczony w marcowym „Przeglądzie". Jeżeli nie jest zapóźno i być może, to wydaj odpowiedni ordonans Powidajowi". Wincenty Zakrzewski posyła bawiącemu w Rabce Szujskiemu (lipiec 1877) pakę nowości literackich do recenzji dla „Przeglądu Krytycznego" (m. in. Koźmiana przekłady Szekspira, pamiętniki Poczobuta), aby mu się „nudy rabczane zmniejszyły".

Czcigodny prezes Akademji Józef Majer w żartobliwym po cycerońsku zaczętym liście z Krzeszowic raportuje co nowego zaszło w pracach Akademji w czasie, gdy niestrudzony adresat „procul negotiis" leczy się „aqua rabense". Lucjan Malinowski w liście z Lipska (lipiec 1874) omawia sprawę swego przyjazdu do Krakowa w związku z wydaniem „Modlitw Wacława", zapewnia, że się już pożegnał z katedrą filozofji, nadzieje pogrzebał, żal ukoił. O swych kolegach po fachu wyraża się barwnie, w sposób bardzo zdecydowany. Jak to zwykle lingwiści.

Trzy różne powody do wdzięczności wobec Szujskiego miał ks. Stanisław Załęski, głośny autor dzieł o Jezuitach i Masonerji. Raz, że mu umożliwił pracę w archiwum bernardyńskiem we Lwowie bez opłacania taksy 3 fl. dziennie, od czego zwolnić mogło upoważnienie od Akademji Umiejętności. Ale to drobiazg, ważniejsza jest wdzięczność za „bardzo poczciwą uroczystość Długoszową (1880), którą i ja i cały kraj Wielmożnemu Panu zawdzięczamy. Tylko się też Drogi Pan nie zapracowuj do śmierci, bo jeżeli nauka ma prawo do pańskiej pracy, ale umiarkowanej, aby na długo starczyła, to wyższe jeszcze prawo ma rodzina pańska i przyjaciele, do których proszę i mnie policzyć". Trzecią podziękę wyraża ks. Załęski w liście pisanym również z Kolegium w Tarnopolu (czerwiec 1880). Dotyczy dramatu Szujskiego „Długosz i Kallimach". Pisze: „Dramat już odczytaliśmy z mymi chłopcami — tak, jak go nam przyniósł „Tygodnik Ilustrowany". Na koniec roku już go nie można grać na scenie, bo czas zbyt krótki i egzamina całoroczne nie dopuszczą, ale na imieniny X. Rektora, 2-go lutego, to spodziewam się, że wspaniałe mieć będziemy przedstawienie".

Możnaby tak cytować zakoleją wszystkie listy. Więc warszawskie, z redakcji „Niwy" (Godlewski), „Tygodnika Ilustrowanego" (Ludwik Jenike), z „Encyklopedji Wychowawczej" (która ma zaszczyt upraszać najuprzejmiej, ale gwałtem, jak najprędzej o artykuły przyobiecane o Akademjach wogóle, oraz o Akademjach rycerskich, a o Akademji Umiejętności w szczególności).

Inni postulanci czy kwerulanci: „Adolf Pawiński, Juljan Ochorowicz, Kazimierz Waliszewski", K. Stadnicki, August Mosbach, Jan Załuski, August Cieszkowski, Jan K. Żupański (dwa ostatnie ogłosiłem w miesięczniku „Kronika miasta Poznania").

Ciężki jakiś warjat, który przez długie lata pracował nad dziwaczną monomańską historją Etrusków, a początki Polski wywodził z nad Nilu i wydał nawet przed wojną wieloarkuszową elukubrację na ten temat, pisze z Genewy (1880) na otwartej kartce znamiennym duktem maniackim: „Drogi panie Szujski. 9 stycznia posłałym na imię pańskie rękopis historji Etrusków, raczy mi Pan łaskawie odpowiedzieć, czy takowe otrzymał".

Podźwięk aktualności ma jeszcze, ostatni, o którym wspomnę list p. Anieli z Szczepańskich Konstantowej Małczyńskiej z Podhajczyk koło Gródka poczta Rudki. W związku z wystawą pamiątek z czasów Jana III pani ta zawiadamia, że może dostarczyć na wystawę: zegar darowany przez króla kościołowi w Rudkach, olejny oryginalny portret Marka Małczyńskiego; trzy bryty adamaszku żółtego z herbami i cyframi Marka Małczyńskiego, materja, jakiej w Warszawie 41 brytów i powinniby dać na wystawę". (Jeśli nie dali w r. 1883, może poprawią w r. 1933?)

Tak tedy złożyło się, iż natknąłem się na fragmenty spuścizny po Szujskim z dwóch różnych krańców jego życia, z pierwszej młodości literackiej i ostatnich lat działania z Katedry i Akademji krakowskiej. Jakiż wspaniały zasięg zainteresowań krysztali się w każdym z tych ułomków! Człowieka tego interesowało dosłownie wszystko, co się działo, czyniło, cierpiało, intrygowało na obszarze całej Polski. Czujny był, jak ów Mohort kresowy, praszczur i patron naszego „Kopu", sypiający nocą na drewnianym koniu w swej stanicy. A całość korespondencji, która może się jeszcze gdzie uratowała, wartoby zabezpieczyć dla tylu ważnych zagadnień, przewijających się przez tysiące listów. (Chociażby takie początki założenia Akademji Umiejętności nieustalone a mało wiadome i tysiąc spraw innych.)

W tym związku nasuwają się refleksje z obyczajem, jaki zwykle obowiązuje wnuków wobec papierów po dziadkach. Najchętniej (i najbezmyślniej) niszczy się je bez czytania. Nie trzeba czytać, bo i tak wiadomo, że w tej stercie starych listów są pewnie jakieś niegodne plotki rodzinne. Więc że dziadzia przerżnął w baka jedną czy drugą folwarczynę, że jedna ciotka mówiła źle o drugiej ciotce, a wszyscy w rodzinie wiedzą, że to nieprawda i wcale nie potrzeba, żeby ktoś trzeci niepowołany o tem się dowiadywał. Więc się pali nagminnie i generalnie. Zdaje mi się, że w takiem ujęciu sprawy jest nieco... zarozumiałości. Te plotki rodzinne naprawdę po stu czy piędziesięciu latach straciły swą aktualną ostrość, czy ubliżający komu posmak sensacji. A jeśli dotyczy spraw ważnych, to „konstrukcja" plotkarza-historyka będzie napewno gorsza i ostrzejsza. Więc lepiej nie palić, by nie wylewać dziecka z kąpielą i nie zatracać bezpowrotnie tego kolorytu czasów minionych, jaki żyje w każdym starym świstku. Można — jeśli wola — nikogo obcego do tych szpargałów nie dopuścić, ale zabezpieczyć je przed szczurami i zatratą.

Pod tym względem jest u nas niestety jeszcze dużo do naprawienia. Niedawno w Poznaniu po śmierci jednej z bardzo zasłużonych kobiet o przepięknem historycznem nazwisku pozostałe bogate archiwum. Dwie spadkobierczynie przybyłe z innej dzielnicy przez cały dzień paliły temi listami w piecu, twierdząc, że i tak dość za życia mówiono (zresztą bardzo pięknie) o nieboszczce. W niedbałości o puściznę rękopiśmienną wydajemy się więc już być zjednoczeni!

SEN. JÓZEF WIELOWIEYSKI.

Zagadnienia bilansu handlowego.

Odstąpienie W. Brytanji od parytetu złota na jesieni 1931 r. stanowi niewątpliwie w dziejach gospodarczych świata epokę: spadek funta nie pociągnął za sobą wzrostu cen, wyrażonych w walucie papierowej i to nietylko towarów produkowanych w Anglji, ale i importowanych, jak np. pszenicy.

Innemi słowy, kraje eksportujące musiały obniżyć cenę, wyrażoną w złocie niemal dokładnie tyleż, ile wynosił spadek waluty angielskiej. Dzięki temu koszty utrzymania w Anglji pozostały na poprzednim poziomie, co przy jednoczesnem obniżeniu wartości funta w złocie o 1/3 dało W. Brytanji naturalną premję, umożliwiającą jej podjęcie ekspansji eksportowej na olbrzymią skalę.

Spadek funta pociągnął za sobą dewaluację w krajach północnych Europy. Mówi się dziś o dewaluacji, czy inflacji w Stanach Zjednoczonych Am. Półn., a przebąkuje o możliwości dewaluacji w Niemczech.

Należałoby jednak zachować wielką ostrożność w ocenie korzyści, płynących z dewaluacji. Nie każde społeczeństwo jest tak zdyscyplinowane, jak angielskie, i nie każdy naród ma takie finansowo-gospodarcze znaczenie, żeby zmusić resztę świata do obniżenia swych cen, tylko dlatego, że obywatel W. Brytanji za importowany towar nie chce w swych zdewaluowanych funtach płacić nic więcej ponadto, co płacił w złotych.

Ostrożność należałoby zalecić przedewszystkiem krajom dłużniczym, mającym swe długi w „mocnej walucie". Zastosować to należałoby, rozumie się, i do siebie samych. Dlatego nie powinniśmy tracić z oczu dynamiki naszego bilansu handlowego, który wszak jest podstawą naszego bilansu płatniczego, a więc stałości naszej waluty.

Nie jest rzeczą przypadku, że czynne saldo bilansu płatniczego mieliśmy w latach eksportu zbóż chlebowych, tj. w latach wzmożonego eksportu rolniczego (1926, 1930, 1931, 1932). Saldo to jeszcze jest ciągle czynne, ale dynamika jego zaczyna być niepokojąca. Wynosiło ono w 1931 r. — 410 milj. zł.; w 1932 r. już tylko — 222 milj. tj. 54%. Jeszcze bardziej niepokojące jest zestawienie 2 pierwszych miesięcy r. b., które dały saldo w wysokości 17 milj., wobec 46,6 milj. w analogicznym czasie ub. r., a zatem tegoroczne saldo wynosi już tylko 36% zeszłorocznego. Gdyby ta proporcja miała się utrzymać nadal, saldo z końcem 1932 r. wyniosłoby tylko ok. 70—80 milj. Czem byłoby takie zanikanie salda dla bilansu płatniczego, nie potrzeba bliżej wyjaśniać. Pogarszanie się salda bilansu handlowego wynika stąd, że wartość wywozu szybciej się kurczy, niż wartość przywozu. Ponieważ dominującym czynnikiem naszego eksportu, decydującym o aktywności bilansu, jest wywóz płodów rolnych, na nim się nieco dłużej zatrzymam.

Analizując wywóz nasz rolniczy za pierwsze 7 miesięcy (1. VIII—28. II) i zestawiając go z analogicznym okresem czasu ub. kampanji, widzimy, że wartość grupy artykułów rolniczych i spożywczych utrzymała się na prawie zeszłorocznym poziomie, w grupie artykułów zwierzęcych nieco już spadła, największy jednak spadek notujemy w grupie przemysłu rolnego.

Na utrzymanie się eksportu w grupie artykułów rolniczych nie powinniśmy jednak patrzeć z przesadnym optymizmem, gdyż utrzymanie wartości opłaciliśmy znacznem zwiększeniem ilości. Widać to najlepiej w grupie 4 zbóż, których wywieźliśmy w bież. kampanji 3.3 milj. q na sumę 48 milj. zł., wobec 2.1 milj. q. w kampanji ub. na sumę 47.3 milj. zł. Zwiększenie zatem wartości eksportu zbożowego o 1.5% okupiliśmy zwyżką wywozu ilościowego o 57%. Ta „wyprzedaż" w pogoni za walutami nie mogła nie wywrzeć ujemnych wpływów zarówno nazewnątrz, jak i nawewnątrz.

Nazewnątrz, gdyż przedmiotem naszej „wyprzedaży" było w pierwszym rzędzie żyto, którego wywieźliśmy przeszło 2½ raza tyle, co w tym samym czasie roku ub.

Idąc po linji najmniejszego oporu, wyrzucaliśmy to zboże, którego nadmiar wprawdzie najbardziej nam ciąży, ale którego nadmierna podaż, t. zn. podaż, przekraczająca zapotrzebowanie konsumcji ludzkiej, wymaga obniżenia cen do poziomu cen kukurydzy i jęczmienia pastewnego. W praktyce cena żyta na rynku światowym zeszła poniżej cen kukurydzy i jęczmienia. Ceny osiągnięte za nasz jęczmień, dzięki jego lepszej jakości, były wyższe od cen żyta (w ciągu tych 7 miesięcy) w przecięciu o 30%. Również ceny owsa wyższe były od cen żyta. Niestety nie umieliśmy wyzyskać tego momentu: decyzja co do premji na owies przyszła tak późno, że eksport naszego owsa rozpoczął się w momencie, kiedy konjunktura się już skończyła. Jeszcze większe błędy popełniliśmy w stosunku do jęczmienia: ciągłe zapowiedzi obniżki premji działały hamująco na eksport. Wywieźliśmy niewiele więcej ponad to, co wyszło w tym samym czasie w r. ub. i w chwili obecnej z powodu zamykania się jednego po drugim rynków odbiorczych pozostaliśmy z niewywiezionemi zapasami i to najlepszych jęczmion, gdyż ulgi taryfowe zostały przyznane dopiero od 600 klm., korzystał więc z nich jęczmień pastewny, najmniej właśnie w eksporcie pożądany.

Tegoroczna polityka zbożowa, którą cechował brak akcji interwencyjnej P. Z. P. Z. za oderwaniem rynku, dała w rezultacie przesunięcie się punktu ciężkości eksportu do żyta, którego cena utrzymywała się znacznie poniżej cen zeszłorocznych nawet w ich najniższym poziomie.

Spadek ceny światowej wywołał obniżenie wartości naszego wywozu, ale brak interwencji P. Z. P. Z. za oderwaniem rynku w pierwszej połowie roku gospodarczego sprawił, że owa niska cena eksportowa stała się decydującą dla reszty żyta, zbywanego w kraju. — W ten sposób nie tylko się zmniejszył dopływ walut obcych, ale i dochód brutto rolnictwa.

Na dalszy eksport zbożowy w większych rozmiarach, pomijając już nawet trudności na rynkach odbiorczych, trudno liczyć, gdyż w ciągu pierwszych 7 miesięcy wywieźliśmy 3.3 milj. q., podczas gdy w całej ub. kampanji wywieźliśmy 3.6 milj. q., tj. o 300 tys. q. więcej, jakkolwiek ówczesny plon 4 zbóż był większy od tegorocznego o całe 5 milj. q.

Podstawowa zatem pozycja naszego wywozu rolniczego zdaje się już dla wpływu walut została prawie wyzyskana. W tem oświetleniu zmniejszenie się salda bilansu handlowego tembardziej niepokojąco wygląda. Reperkusje jednak tegorocznej polityki niskich cen jesiennych na tem się nie kończą.

Już przy okazji „Tygodnia Rolniczego" mocno i usilnie przestrzegałem, że zbyt niskie ceny zboża muszą prędzej czy później w drodze automatyzmu gospodarczego wpłynąć na zmniejszenie plonów. Zestawiając plony ostatnich 4 lat (1929—1932 r.) widzimy wyraźny spadek: 134,1, 130,1, 117,5, 112,5. Dotychczas jedynym bodaj czynnikiem, obniżającym produkcję (poza czynnikami naturalnemi) było zmniejszenie użycia nawozów sztucznych. — Obecnie przybywa czynnik nowy — świadome przechodzenie do płodozmianu ekstensywniejszego (zielone użytki) celem wycofania się z nierentownych zbóż.

Wiedząc jednak, czem grozi naszej walucie bierny bilans handlowy w grupie artykułów rolniczych, winniśmy się całą siłą przeciwstawić działaniu automatyzmu gospodarczego.

W tym celu niezbędną jest rzeczą poddać rewizji dotychczasową naszą politykę zbożową pod tym kątem widzenia, by otoczyć odpowiednią opieką eksport tych artykułów, które z punktu widzenia handlowego stanowią korzystniejszy objekt, a jednocześnie przyczyniają się do odciążenia rynku żytniego. Tym artykułom należałoby zapewnić poparcie wszystkich zostających do dyspozycji środków polityki zbożowej i należytą opiekę w traktatach i porozumieniach międzynarodowych.

Żeby zaś utrzymać równowagę produkcji rolniczej, tj. zapobiec przestawianiu się jej na zboża najwyżej premjowane, co wywołałoby niekorzystny ich napór na rynek światowy i instytucję interwencyjną wewnątrz kraju, należałoby jednocześnie stworzyć preferencje dla surowców krajowych na rynku wewnętrznym. Oprócz zapewnienia równowagi produkcji pozwoli to ograniczyć import, a więc i od tej strony wzmocnić bilans handlowy.

R. DYBOSKI.

O znaczeniu nauki języków zachodnich dla Polski.

Przemówienie, wygłoszone na otwarciu Drugiego Zjazdu Neofilologów Polskich w auli Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie dnia 9 kwietnia 1933 r.

Zjazd, który tu dziś zgromadził około dwustu nauczycieli języków nowożytnych z całej Rzeczypospolitej Polskiej, ma być skromnem zebraniem zawodowców, a nie wielką manifestają zbiorową. Ale ma on także swoje znaczenie dla szerszego ogółu społeczeństwa.

Zbieramy się w przeddzień przeprowadzenia wielkich i zasadniczych przemian organizacyjnych w naszem szkolnictwie średniem. Mamy się dowiedzieć od przedstawicieli Ministerstwa Oświaty o zasadach tych przemian i o ich zastosowaniu w dziedzinie nauki języków w szkole; ci zaś z nas, co rozporządzają doświadczeniem pedagogicznem, mają wypowiedzieć się ze swojej strony o nowych programach i kwestji ich wykonania.

Sam tego doświadczenia nauczycielskiego w zakresie szkolnictwa średniego nie posiadam i dlatego co do meritum zagadnień ustrojowych i programowych głosu nie zabieram. Jako profesor Uniwersytetu jednak, a w szczególności jako profesor jednego z języków nowożytnych i jego literatury, jestem żywotnie w tem zainteresowany, by poziom znajomości języków obcych u młodzieży, wstępującej na nasze Uniwersytety, był możliwie najwyższy. O to nam wszystkim tu zebranym najbardziej chodzi, i to nietylko z powodu naszych zainteresowań zawodowych, ale także z pewnych względów ogólno-państwowych i ogólno-kulturalnych, o których chciałbym kilka słów powiedzieć.

Nie da się zaprzeczyć, że poziom znajomości języków obcych obniżył się na ogół po wojnie nietylko w Polsce, ale i w innych państwach europejskich. Przyczyn tego zjawiska jest wiele: oprócz szybkiej i powszechnej demokratyzacji oświaty należy do nich ten ferment kryzysu co do celów i metod, który po wojnie przeniknął nauki humanistyczne niemniej głęboko niż inne. Trzeba dalej wspomnieć o zasadniczo niehistorycznej psychice pokolenia, które od całej przeszłości ujrzało się oddzielonem przez otchłań wielkiej wojny i pogrążyło się w zadania dnia dzisiejszego bez względu na tę przeszłość. Lekceważenie doświadczeń historji wyraziło się także przez lekceważenie znajomości obcych języków i kultur. Podsycane było — i jest — to lekceważenie przez utopijne hasła samostarczalności narodowo-państwowej, panoszące się dziś ze zgubną przesadą nietylko w dziedzinie gospodarczej i politycznej, ale także w kulturalnej.

Te czynniki działały i działają w całej Europie. W Polsce zaś w szczególności dodać do nich trzeba jeszcze na niekorzyść nauki języków obcych z jednej strony fakt, że znikł nacisk, wywierany w kierunku nauki języka niemieckiego i rosyjskiego przez państwa zaborcze; z drugiej strony zaś naturalną okoliczność, że po zbyt wyłącznem panowaniu literatury i historji nad naszą umysłowością przez długie okresy wieku XIX starano się teraz po wyzwoleniu nadać przewagę w naszym systemie wychowawczym naukom przyrodniczym i czyniono to często jednostronnie, ze szkodą dla kultury humanistyczno-językowej.

Szerząc na Zachodzie anglo-saskim wiadomości o Polsce, spotykałem się ciągle z zarzutem „szowinistycznego nacjonalizmu" pod naszym adresem. Zarzutowi temu, płynącemu z nieznajomości naszych dziejów, zawsze przeciwstawiałem fakt, że właśnie Polacy w XIX wieku, a w szczególności w erze wielkich ruchów wolnościowych przed rewolucją 1848 roku, okazali się „internacjonalistami" w najszlachetniejszem znaczeniu słowa, walcząc w tylu krajach za wolność innych narodów; że zawsze umieli słać swe wejrzenia daleko poza własne podwórko i nie zamykali się nawet, tak jak niektórzy inni Słowianie, w granicach samego tylko świata słowiańskiego.

Od Kazimierza Wielkiego i Jadwigi, co kulturę dworu andegaweńskiego na nasz grunt przeszczepili, poprzez erę wpływów włoskich w wieku XVI i francuskich w XVIII byliśmy zawsze ośrodkiem cywilizacji zachodnio-europejskiej w naszej połaci Europy, i promieniowaliśmy tą cywilizacją na ziemie naszych wschodnich sąsiadów nawet wtedy, gdy (w XVII wieku) nasz własny kraj zalewały potopy najazdów.

Do pełnienia tej naszej dziejowej funkcji ekspozytury kultur zachodnich na wschodzie Europy dopomogły nam nawet nasze nieszczęścia narodowe. Niedawno wszakże dopiero znakomity powieściopisarz Wacław Berent w swem niedokończonem dotąd dziele *Szabla i duch* po mistrzowsku przedstawił, jak oddziałał duchowo na legjony Dąbrowskiego ich kontakt z pomnikami sztuki i historji włoskiej; a powszechnie wiadomo, jak potężnem narzędziem wymiany idei między Polską a Zachodem stała się nasza Wielka Emigracja po r. 1831.

Tę samą międzynarodową rolę kulturalną, co w dawnych wiekach, wypada nam znowu pełnić dziś, jako wskrzeszonemu mocarstwu. A jest ona dziś szczególnie ważną i aktualną, gdy na wschód od nas od szeregu lat zapanował system, zawierający w sobie negację najwyższych duchowych wartości kultury europejskiej, a za naszą granicą zachodnią w tym roku ostatecznie wzięła górę inna, ale niemniej niszczycielska forma tej negacji. Słuszną dumą kulturalną może nas napełnić fakt, że właśnie na tym zjeździe najlepszy w Polsce znawca Goethego, prof. Łempicki z Warszawy, wygłosi odczyt o poecie i w ten sposób godnie zamknie całoroczny szereg hołdów polskich dla Goethego na stulecie jego śmierci, — w tym samym czasie, gdy w samej ojczyźnie Goethego obecny jej władca ostentacyjnie się przyłączył do głosów, podających w lekceważenie i pogardę pamięć wielkiego niemieckiego wieszcza.

Historyczną naszą łączność ze wszystkiem, co jest najlepszego w tradycji duchowej Zachodu, zachowamy tylko przez intensywne bezpośrednie studjum kultur zachodnich, — a kluczem do ich skarbnicy jest znajomość ich języków. Jako filologowie i historycy wiemy na podstawie doświadczenia dziejowego, że zagadnienie to nie da się uprościć przez wprowadzenie jakiegoś sztucznego języka międzynarodowego w rodzaju esperanta, i wiemy, że nie da się w dzisiejszem stadjum rzeczy rozwiązać przez szlachetny pomysł wskrzeszenia tego języka łacińskiego, który w średnich wiekach jeszcze był żywym, a dziś jest martwym. Niektórzy z nas — i ja wśród nich — widzą w perspektywie niedalekiej przyszłości długotrwałą hegemonję światową języka angielskiego, na podobieństwo hegemonji francuskiego w stuleciach XVII i XVIII. W każdym razie, jakąkolwiek będzie ta przyszłość, spadek dziejowy po wieku XIX stawia nas wobec kulturalnego obowiązku zaznajamiania się ile możności z kilku przodującemi językami światowemi, i jest rzeczą honoru cywilizacyjnego Polski oraz warunkiem skutecznego pełnienia jej najżywotniejszych i najwznioślejszych zadań w świecie, byśmy do upadku znajomości języków zachodnio-europejskich w naszem wolnem Państwie nie dopuścili.

JULJUSZ KLEINER.

Nieznany list Mickiewicza.

Jakby jednym z ostatnich uśmiechów Mickiewicza wydaje się nieznany dotąd list francuski, napisany dn. 30 lipca 1855 r., a więc o kilka zaledwie tygodni wyprzedzający podróż do Turcji. Należy on dziś do zbiorów paryskiego Muzeum Mickiewiczowskiego, którego bezcenne skarby, zgromadzone przez Władysława Mickiewicza, nadal się bogacą i po jego zgonie. Zasługa to wnuczki poety, Marji Mickiewiczówny, pełnej tego samego pietyzmu, jaki był treścią życia jej rodziców. Ona właśnie na licytacji w Hotel Drouot — w którego salach raz po raz gromadzą się wystawiane na sprzedaż dzieła sztuki, dokumenty, rękopisy, pamiątki — nabyła dn. 28 stycznia r. 1932 autograf z kolekcji Henryka Fatio z Genewy*). Jako zakupiony w chwili gdy wydany był już katalog rękopisów Muzeum (opracowany przez Dra A. Lewaka), list ów nie jest w nim jeszcze uwzględniony.

Co do osoby adresata, jedyną wskazówką jest zawarta w tekście wzmianka o rue de Vienne (w pobliżu teraźniejszego dworca Gare St. Lazare); ponieważ Mickiewicz notował w swych zapiskach miejsce zamieszkania niektórych znajomych, zdawało się, że przyniosą one bliższe objaśnienie — ale rue de Vienne nie figuruje wśród adresów zanotowanych.

Żartobliwy list pozostawał w związku z jakąś pogłoską o śmierci poety. Przejmuje czytającego smutkiem myśl, że była to wieść tylko o niewiele miesięcy za wczesna...

Bibliothèque de l'Arsenal.

Paris, le 30 Juillet 1855.

Monsieur.

M'étant présenté hier chez Vous, je crois avoir suffisamment prouvé que la nouvelle de mon décès était, tant soit peu, prématurée. Cependant je tiens beaucoup à Vous donner un nouveau signe de vie, et cette fois par écrit. J'ai toute sorte de raisons pour le faire. Je me rappelle d'abord que lorsque je me rendais hier rue de Vienne, il faisait déjà très tard, ensuite je me souviens que je suis entré chez Vous accompagné d'un beau clair de lune. On a pu bien me prendre pour un revenant. Si Vous aviez une semblable idée sur mon compte, le billet d'aujourd'hui est fait pour la rectifier. Vous le recevrez par la poste et affranchi. Or, Monsieur, on n'a jamais vu un revenant se rendre dans un bureau de poste, y affranchir des lettres et les jeter de sa main en plein jour dans la boîte.

Je m'en (vais) faire tout cela et je constaterai ainsi de nouveau mes droits à être compté parmi les vivants.

Je Vous prie en même temps de me compter toujours parmi Vos serviteurs très dévoués

Adam Mickiewicz.

P. S. Je me rapelle encore qu'une personne de Votre société désirait mon autographe. Je comprends maintenant ce désir. L'autographe d'un revenant! ce serait une pièce unique dans ce genre.

A. M.

(Bibljoteka Arsenału. Paryż, 30 lipca 1855. Szanowny Panie. Wczorajszą bytnością u Pana dostatecznie, jak sądzę, udowodniłem, że wiadomość o zgonie moim była odrobinę przedwczesna. Mimoto zależy mi na tem bardzo, by dać Panu nowy znak życia. Tymczasem listownie. Mam wszelkie do tego powody. Najpierw przypominam sobie, że gdy udałem się wczoraj na rue de Vienne, było już bardzo późno, następnie pamiętam, że wszedłem do Pana przy pięknem świetle księżyca. Można więc było wziąć mię za ducha. Jeśli Pan miał co do mnie myśl podobną, kartka dzisiejsza posiada wszelkie dane, by ją sprostować. Otrzyma ją Pan za pośrednictwem poczty i ofrankowaną. Otóż, proszę Pana, nikt nigdy nie widział, by duch wchodził do urzędu pocztowego, by frankował tam listy i by własnoręcznie za dnia rzucał je do skrzynki. Uczynię to wszystko i w ten sposób stwierdzę ponownie prawa swe do liczenia się między żyjących.

Pana jednocześnie proszę o liczenie mnie zawsze w poczet swych sług bardzo oddanych

Adam Mickiewicz.

P. S. Przypominam sobie jeszcze, że ktoś z Pańskiego towarzystwa pragnął mieć mój autograf. Teraz rozumiem to życzenie. Autograf ducha! byłby to okaz w tym rodzaju jedyny.)

*) Nr. 407 w Catalogue de la précieuse collection des lettres autographes composant le cabinet de feu M. Henry Fatio, Vente des 26, 27 et 28 janv. 1932, Hotel Drouot.

HENRYK UZIEMBŁO.

W KNIEJACH WOJSKIEGO

Bywają ziemie i wody co raz oglądane głęboko, zapadają w pamięci. Są stepy, a nawet i nieba nad stepem, których się nigdy nie zapomni. Ale bywają i lasy niezapomniane. Nasze Lasy kresowe!

Kto bodaj raz w życiu posłuchał Waszego szumu, wsłuchał się w Waszą Ciszę, kto zaciągnął w siebie pełnemi płucami waszego zapachu, ten wróci do Was — bodaj myślą samą.

Chęć poznania Polski całej, całej w pełnem słowa znaczeniu od najwcześniejszych lat była mojem pragnieniem. Już w dawniejszych, a częstych wędrówkach przemierzyłem Ojczyznę miłą wszerz i wzdłuż. Aż wreszcie nadeszła chwila, kiedy ruszyliśmy na tę największą wycieczkę krajoznawczą, jaką była Wojna. — Wtedy już wielu poznało Polskę gruntownie.

Przecież jeden z Jej najpiękniejszych zakątków, owa ściślejsza ojczyzna „Pana Tadeusza", wymykała mi się nieustannie. Na froncie Litewsko-Białoruskim prawie że ocierałem się o Nowogródzkie strony, niestety, to jakiś rozkaz, to nowy przydział unosił w inne okolice.

Wreszcie i zwycięska nasza wojna była skończona, pokój Ryski podpisany, rozeszliśmy się do domów. Wówczas pomyślałem, że nieprędko znowu tamte strony oglądać będę.

I oto „niby kamień z nieba" spadła niespodziewana okazja. Jak w życiu. Najciekawsze wrażenia spadają najnieoczekiwaniej.

Takim kamieniem, raczej okazją było spotkanie z niedawnym a miłym towarzyszem broni, chłopcem pełnym fantazji, wigoru i druhem wiernym rozmaitych przygód. Zbych mu było. Spotkanie ze Zbychem W. zawsze wróży coś, co pachnie przygodą. Tak i tu w Warszawie, w stołecznej atmosferze światła, muzyki, pięknych pań i wyfraczonych jegomościów krótko mówiąc w antrakcie opery paré w „Wielkim", objawił się niespodziewanie.

Jeszcze miażdżył w ramionach, jeszcze mi nie pogruchotał do cna kości, a już kusił:

Za dwie godziny jadę do Nalibok. Pomyśl! do Na-li-bo-ków! — Jedzie ten, tamten i ów. Ty bracie pojedziesz z nami. —

W lot oceniłem sytuację. Aż mię zatknęło! Dobrze znajome oblicza mignęły w oczach, kompanja jak się patrzy. Ale zima w tym roku była tęga, sprzęt zimowy na podobne wyprawy jak kapuzy, zarękawice, a przedewszystkiem nieocenione zakopiańskie kapce co i na biegunie, wytrzymałyby wszelką próbę niestety wszystko to spoczywało daleko od Warszawy, w domu. Rozumiejąc co tracę, odmówiłem. Ale Zbych nie był łatwy. Jak nie pocznie prosić, grozić, jak nie pocznie przysięgać, że ubiorą po drodze, ustroją — że i brat rodzonyby nie poznał, że wszystko furda i okrycie i broń, wszystko jakoś to będzie, tylko: — Jedź z nami! nie pożałujesz. Musimy dotrzeć w samą głąb, w samo serce puszczy! —

Oszołomionego, zaskoczonego, tak omotał, że serce zmiękło na wosk, przywaliłem dłonią w dłoń na zgodę i nie słuchając nawet ostatniego aktu opery, natomiast zachwyciwszy tylko z hotelu co cieplejsze futra, rwaliśmy z kopyta na dworzec zdobywać w bałaganie kolejowym nocny pociąg do Baranowicz.

I.

Za Niemen...

O ówczesne pociągi kresowe! Niechaj nikt się nie łudzi, że jeździło się wówczas tak, jak się to dzisiaj jeździ polskiemi kolejami, co należą do najlepszych w Europie. Gdzie w pociągu możesz jadąc wygodnie spać, najeść do syta, wytańczyć do upadłego, a nawet zgrać się — w brydża.

O, wtedy było inaczej!

Miejsca zdobywano siłą. Dostać się do wagonu mogłeś tylko po głowach. A wewnątrz! Szyby powybijane, często wraz z oknami, co się dało wyrwać jak klamki, wyrżnąć jak rzemienie, wypruć jak poduszki, wreszcie schować do tornistra jak firanki, dawno Niemcy zabrali na pamiątkę!

Ale od pierwszej chwili odkąd według powiedzenia Robaka dom uprzątnięto, a śmiecie okupacyjne doszczętnie wymieciono, kolejami polskiemi gdzie tylko szyny żelazne biegły, wszędzie dojechać mogłeś!

Jak? — to inna sprawa, ale się dojeżdżało. A to przecież grunt.

Rano następnego dnia, niczem śledzie wyjęte z beczki, wysiadaliśmy w Baranowiczach. I one wyglądały inaczej. Wapno, karbol, lysol i formalina. Szare tłumy repatrjantów, a na tem tle białe nieco brudnawe anioły-pielęgniarki, anioły-siostry Czerwonego i anioły-siostry Białego krzyża. Słowem tyfus i anioły. Były jeszcze ladies sanitarne z Kanady, Ameryki i Australji, ale wyrywaliśmy stamtąd na warjata.

Mimo, że każdy Polak wie i każdy z łatwością wskaże na mapie, gdzie leży kraj opisany w tej jednej z najdroższych mu książeczek, co się „Panem Tadeuszem" zowie, mimo to wspomnieć nie zawadzi, że Baranowicze są stacją węzłową, gdzie rozwidlają się linje kolejowe w dwóch kierunkach. Na północny-wschód biegnie linja Baranowicze Stołpce—Niegoreło je, na północ zaś z Baranowicz do Lidy i Wilna. W rozpiętości tych nożyc, używając tak modnego dzisiaj określenia co straszy w każdym artykule ekonomisty, leżą bezmierne owe puszcze, ciągnące się prawie że pod sam Mińsk. Tam między Niemnem a Wilją leżą owe słynne Mickiewiczowskie lasy i knieje.

Jeżeli pociąg, który tu opuściliśmy był nieopalony — to nowy, na który przesiedliśmy się w kierunku na Lidę był potrzykroć nieopalony. Był specjalnie chłodzony! Okna przedziału miały dwie potężne dziury, mimo że zaklejone wielkiemi stołecznemi dziennikami politycznemi, wiały za kołnierze zgoła niepolitycznie.

Wysiedliśmy w Nowojelni. Nieogrzana maleńka stacyjka znowu przepełnioną była ponad brzegi szarą nędzą repatrjantów. Wracali do dom. Często na szczere pola, gdzie nawet i śladów pogorzeli już odnaleźć się nie dało. Wracali ze wszystkich stron świata, z pod Uralu, z nad Bajkału, Syberji, Chin i Japonji. Brud, smród i tyfus! I zimno. —

Ogrzać się! Była to jedyna nie zamarznięta myśl pod zlodowaciałym czerepem. Niestety, ogrzać się można było tylko w bufetowej kuchni.

Wtargnąć tam! — Ale jeszcze nie zdążyliśmy przekroczyć buchających parą progów, a już wylano nas za drzwi. Któż dokonał tej sztuki? Jedna jedyna baba. Kucharka i bufetowa zarazem. Tylu mężczyzn, jedna patelnia i tak wielkie ambarasy? Ha trudno. Była to baba koczohar, jakiego i na kresach szukać ze świecą. Nie było innej rady jak siadać w sanie, mościć się i nie mieszkając, ruszać do Nowogródka.

Tymczasem szybko zapadał zmrok, zimno potężniało jeszcze szybciej, my zaś zdemoralizowani jazdą w nieopalonych pociągach poddawaliśmy się tem łatwiej drapieżnym pazurom mrozu.

Na dobitek wiatr zmienił kierunek i miotał jadącym wprost w oczy garściami zlodowaciałego śniegu. Zakiełkowała i wypełzła z ciemnych zakamarków, wrząca nienawiść do rzekomego przyjaciela, co nieszczęsnych podstępnie wywabił z ciepłej a przytulnej Warszawy.

Szczęściem nienawiść była nie chłodna, lecz wrząca. To właśnie uratowało resztki gasnącego życia. Późną wieczorną godziną, kiedy dalsza podróż groziła już katastrofą, zatrzymały się sanie przed okropną żydowską norą, przed Hotelem Europejskim, najwytworniejszym domem zajezdnym w Nowogródku.

Kilka samowarów gorącej, doskonałej herbaty przywróciło szybko życie, przytomność i dobry humor. Radosna świadomość, że długoletnie marzenia realny kształt przybierają przeniknęła serca i umysły.

Wśród księżycowej jasnej nocy, mimo znużenia i straszliwego mrozu wychodzimy oglądać miasto. Północ już się zbliża, lecz nie widać ni żywej duszy. Tembardziej sentyment księżycowego światła działa jak na lunatyków.

HIPOLIT GLIWIC.

Rozważania na czasie.

...ament meminisse periti.

Pod szczególnemi auspicjami rozpoczęła się wiosna. Jedna większa wojna toczy się na Dalekim Wschodzie przy murze chińskim, — druga mniejsza rozgrywa się w dziewiczych lasach Dalekiego Zachodu, w miejscowości mało znanej nawet tym, którzy o nią walczą. W ościennym kraju niepokój wewnętrzny rozkiełznał się na dobre i nie bacząc na nieobliczalne skutki i następstwa, grozi wylaniem się nazewnątrz. Zastraszeni kierownicy losów Europy, nie pomni nauk niedawnej przeszłości, zdają się uprawiać strusią politykę. Niema uszu, do których mogłyby być skierowane słowa rozwagi i umiaru. Ekonomika stoi bezradna wobec chaosu gospodarczego, do którego żaden z jej wzorów nie da się zastosować. Logika idzie w kąt zawstydzona. Niechże przynajmniej jedyny język ścisły, język cyfr, nie milczy zażenowany.

Świat cały jęczy pod brzemieniem zobowiązań płatniczych. Długi państwowe planety naszego dosięgły obecnie zawrotnej sumy 120 miljardów dolarów, dziesięciokrotnie przewyższając rozporządzalne światowe zapasy złota. Lord Avebury obliczył państwowe zadłużenie świata przy końcu zeszłego stulecia na 31 miljardów dolarów wobec ustalonych ku końcowi pierwszej połowy XIX wieku przez Dudley Baxter'a 8 miljardów.

Jeżeli piętnastokrotny wzrost zadłużenia państw świata w ciągu 80 lat daje wiele do myślenia, to bliższa analiza problematu poucza nas, że nieznośne owe obciążenia skarbowe są jedynie rezultatem działań wojennych zupełnie niezależnie od ich wyników. Obecnie przynajmniej jesteśmy świadkami strasznego wprost paradoksu, polegającego na tem, że zwycięska koalicja wyszła z wojny światowej ze znaczniejszem dalcko zadłużeniem, niż zwyciężone mocarstwa centralne. Rzesza niemiecka zwiększa wprawdzie swój dług państwowy z 4.295,8 miljn. marek w 1913 roku do 11.342,3 miljn. marek w dniu 31 marca 1931 r. Wzrost stanowi 173,8%, ale jest, jak to zobaczymy niżej, znacznie niższy, niż w wypadku państw koalicji. Austrja natomiast, Węgry i Turcja wykazują skurczenie zadłużenia, daleko nawet, przyznać, znaczniejsze, niżby to z faktu okrojenia ich terytorjów wypadało. Długi państwowe bowiem w dolarach, które na początku bieżącego stulecia stanowiły dla Austrji 1.745,4 miljn., dla Węgier — 889,0 miljn., dla Turcji — 827,6 miljn., w 1931 roku nie przewyższały 325,4 miljn., 261,2 miljn. i 726,0 miljn.

Jak przedstawia się sprawa dla państw zwycięskich, wskazuje następujące zestawienie (w miljn. dolarów):

	1900 rok	1931 rok	+ %
Zjednoczone Królestwo	3.033,2	36.919,2	1.106,5
Francja	5.289,8	18.751,1	254,5
Stany Zjednoczone	1.423,0	16.802,0	1.083,2
Australja	951,1	5.301,9	464,4
Włochy	2.853,8	4.845,3	70,0
Japonja	257,6	2.979,5	1.045,9
Kanada	259,6	2.610,0	903,8
Belgja	509,4	1.470,4	188,3

Trzy potencje tylko wykazują się długiem 72,5 miljarda dolarów, czyli same odpowiadają za 2/3 zadłużenia świata. Gdybyśmy nie znali ich głównych tytułów do stanowiska leader'ów cywilizacji i postępu, tobyśmy na zasadzie powyższych cyfr zwątpić musieli w walory nowoczesnej kultury.

W świetle podanych cyfr cała monetarna zawierucha powojenna staje się zupełnie zrozumiała i dziwić się tylko można, że takie zwiększenie zadłużenia nie pociągnęło za sobą jeszcze bardziej katastrofalnych skutków. Faktu zaś, że mamy tu do czynienia nie ze stopniowym wzrostem, a z gwałtownym i raptownym skokiem, spowodowanym nie innemi przyczynami, lecz wydatkami wojennemi, najlepiej dowiedzie nam zestawienie cyfr długów państwowych dla głównych belligerentów bezpośrednio przed i po wojnie.

Gdy Wielka Brytanja wstąpiła w szranki walczących, dług jej wynosił 678 miljn. funt. Gdy zaś z nich wyszła uginała się pod strasznem brzemieniem 7.460 miljn. funt. (31 marca 1919 r.) co stanowi na każdego mieszkańca nieznośny ciężar około 175 funtów. Francja rozpoczęła wojnę z długiem 34.188,2 miljn. franków (31 lipca 1914 r.), by skończyć ją z obciążeniem czterokrotnie znaczniejszem 147.472,4 miljn. fr. (1 stycznia 1919 r.). Obciążenie to posiadało przytem tę szczęśliwą właściwość, że nie przestawało rosnąć i zwiększało się w miarę restytuowania zrujnowanych przez wojnę dzielnic. Stany Zjednoczone pobiły rekord i w danej dziedzinie, wykazując najszybszy wzrost zadłużenia o iście amerykańskim rozmachu. Skromny stosunkowo dług, dochodzący 30 czerwca 1915 roku do 1.191,2 miljn. dolarów nabrzmiewa gwałtownie, podnosi się dwudziestokrotnie i 30 czerwca 1920 roku dochodzi do poziomu 24.297,19 miljn. dol.

Są to wszystko cyfry znane, ale warto je sobie uświadomić. Wnioski, jakie z nich wynikają, są także stare, ale dziś więcej niż kiedykolwiek trzeba je mieć na uwadze. Historja nie zna wojny, którąby się prowadziło z jakiegoś podczas pokoju skumulowanego funduszu specjalnego. Państwo ma bowiem tyle potrzeb do zaspokojenia, tyle zadań do spełnienia, że nie może sobie w czasach normalnych pozwalać na zbytek gromadzenia zasobów na wypadek wojny. Zresztą doświadczenie uczy, że jest to faktycznem niepodobieństwem. Wojnę prowadzi się, że się tak wyrażę, na kredyt, rozmiarów którego nawet niepodobna przewidzieć, bo już w trakcie działań wojennych zjawiają się coraz nowe potrzeby, wymagające zmodernizowanych urządzeń, to znaczy coraz nowych nakładów. W rezultacie najzasobniejsze narody nie są w stanie w ciągu dziesięcioleci doprowadzić do równowagi swych zachwianych podczas najszczęśliwszych wojen finansów.

Salda debetowe świata mają jeszcze jedną zupełnie specyficzną właściwość: nie było dotychczas przynajmniej przykładu, by dał się zauważyć kiedykolwiek zdecydowany ich spadek. Tak się bowiem składało na świecie, że okresy pokojowe, kiedy zaczynała zarysowywać się tendencja zniżkowa zadłużeń, były brutalnie przerywane przez wojny, prowadzone z coraz większym nakładem wydatków, z coraz przeto silniejszą tendencją w kierunku wzrostu długów.

Bardzo interesująca jest pod tym względem historja długu państwowego Wielkiej Brytanji, mocarstwa odwiecznie i chlubnie znanego ze swych uporządkowanych finansów i z racjonalnych metod gospodarczych. Niepodobna znaleźć jaskrawszej ilustracji finansowej do wszystkich wojen ostatnich dwóch stuleci.

Początek wojny siedmioletniej (1756 r.) zastaje dług brytyjski na poziomie 75 miljn. funtów. Koniec jej (1763 r.) pozostawia go prawie podwojonym, bo dochodzącym do 133 miljn. funt. Pracą i oszczędnością zmniejszają Anglicy powoli ów dług. Na początku wojny amerykańskiej jest on nieco skurczony. W 1775 roku mianowicie skarb brytyjski notuje 127 miljn. zadłużenia. Koniec tej jedynej, podkreślam, nieszczęśliwej dla Wielkiej Brytanji wojny znamionuje się z kasowego punktu widzenia, podniesieniem długu publicznego do 243 miljn. funtów (1784 r.). Serja wojen z Francją zaczyna się tak szybko potem, że dług nie zdąża się zmniejszyć, przeciwnie w 1793 roku Anglja wstępuje z zadłużeniem 248 miljn. funtów. Przewlekłe wojny Napoleońskie fatalnie odbijają się na skarbie brytyjskim i w 1815 roku dług brytyjski dochodzi do swego maksimum w XIX wieku, bo aż do poziomu 861 miljn. funt. Czterdziestoletni pokój daje możność wydatnego zmniejszenia tego ciężaru. Wojnę Krymską Anglicy zaczynają w 1854 roku z zadłużeniem nie większem niż 775 miljn. funtów. Wojna owa jest stosunkowo „tania". Ku jej końcowi w 1857 r. dług brytyjski wzrasta tylko do 808 miljn. funt. Długi następny okres pokoju i wzrostu powszechnego dobrobytu pozwala Wielkiej Brytanji bardzo znacznie i wydatnie zmniejszyć swe zadłużenie. Na początku wojny boerskiej w 1899 roku Anglja może pochwalić się najniższym poziomem swego zadłużenia w XIX wieku, mianowicie 599 miljn. funt. Wojna w Afryce Południowej, na którą początkowo zapatrywano się jak na drobną kolonjalną ekspedycję karną, pociąga za sobą takie wydatki, że dług państwowy ku jej końcowi w 1903 roku podnosi się do 743 miljn. funt.

Od tej chwili następuje okres pokoju, którego nic, zdawało się, nie zamąci. Narody oddają się zawzięcie pracy pokojowej. Szerokie masy zwiększają swe spożycie. Następuje niczem nie hamowana demokratyzacja potrzeb. Produkcja rośnie. Skarby państwowe wszędzie pęcznieją. Długi maleją. W lipcu 1914 roku dług państwowy Zjednoczonego Królestwa nie przewyższa 678 miljn. funt.

Wybucha wojna światowa. Ludzkość zapomina o pracy produkcyjnej. Fabryki są bez przerwy najmniejszej czynne, lecz po to tylko, by wykuwać narzędzia śmierci. Na pierwszy plan sceny światowej wysuwają się pożogi i rzezie. Ale gdzieś na dalszym planie zboku ktoś zapisuje automatycznie rachunek. Wojna kończy się. Pierwszy czad przechodzi i gdy ludzkość przeciera oczy, to z poza zgliszcz oraz mogił i miljonów pokaleczonych żywych trupów dostrzega niewidzialny przedtem potworny ogrom zobowiązań, który zaczyna przykuwać do siebie całą uwagę. Trudno jest nawet narazie określić sumę ogólną. Pierwsze obliczenia okazują się nieścisłe. Zadłużenie np. skarbu brytyjskiego rośnie w miarę wyjaśniania szczegółów. W 1920 roku ustalona zostaje wreszcie niesłychana liczba **siedmiu miljardów ośmiuset pięćdziesięciu dziewięciu miljonów funtów.**

Proces spłacania owego długu, już zaczął się. Czy jednak zdąży się doprowadzić zobowiązania do mniejwięcej normalnego poziomu, — oto pytanie kardynalne. Odpowiedź nań dadzą nam, być może, już najbliższe miesiące. Wiele mówi się i pisze o niepodobieństwie wstrzymania rozpędzonego koła historji. Lecz któż, jak nie my sami, wprowadza w ruch to koło?

STEFAN SZUMAN.

Matura jako wstrząs psychiczny i fizyczny.

Każdy, kto składał w życiu swem choćby jeden egzamin, zdaje sobie dobrze sprawę z tego, że ów egzamin kosztował go dużo nerwów. Nawet uczniowie dobrze przygotowani boją się tego ciężkiego przejścia i przystępują do egzaminu z tremą. Oto wyznanie młodego chłopca, mającego za kilka dni przystąpić do matury ustnej, zapisane w jego dzienniku.[1]) „Mój Boże! taki mam chaos w głowie... przerobiłem całą literaturę! Nie wiem nic! — a jeszcze cała filozofja starożytna i matematyka. Wszelkie hyperbole, parabole, elipsy i tym podobne plugastwo, otwiera swoją żarłoczną paszczę i zda się czyhać na biednego człeka; wszystkie starożytne półgłówki jak: Tales, Sokrates, Anaximenes (których prof. Żybek słusznie „dziadami greckiemi" nazwał) i tym podobne „monstra" zdają się wymyślać jak najtrudniejsze zagadki, aby nas zgubić. Do tego zalotnie uśmiechają się fakciki historyczne i razem ze wszystkimi „Irydionami", „Anhellimi" i „Dziadami" (rzeczywiście „dziadowskimi") wykonują w mej głowie jakiś piekielny taniec. Ponuro ze zgrozą, z obliczami żarłocznie „wytrzeszczonemi" toczą się cyfry statystyczne. Setki centnarów węgla, drożdży, piwa, cygar tworzą obrzydliwy chaos, z którego jak śmiertelnie się nudzący nieboszczyk wyłazi — „m a t u r a"!!

1) Cytat pochodzi z materjału dzienników młodzieży, zebranego w Studjum Pedagogicznem U. J.

O ile mi wiadomo ta trema egzaminowa, owo zdenerwowanie przed maturą i w czasie matury nie było dotąd naukowo badane. Dlatego przed mniejwięcej siedmiu laty zacząłem robić systematyczne obserwacje i dokładne badania nad uczniami w czasie zdawania egzaminu. Zgromadziłem w ten sposób dosyć obszerny materjał w czasie ośmiu egzaminów dojrzałości, przy których byłem obecny jako przewodniczący i równocześnie jako obserwator.

Pierwszą rzeczą, którą badałem, było tętno. Jak wiadomo w czasie wzruszeń i podniecenia nerwowego serce nasze bije zwykle prędko i niespokojnie. Zebrawszy 1017 pomiarów tętna w czasie kilku lat zrobiłem zestawienie tych cyfr, pozwalające zdać sobie sprawę z przeciętnego przyspieszenia tętna wskutek egzaminu. Otóż, podczas gdy normalna szybkość pulsu wynosi ok. 70 uderzeń na minutę, w czasie egzaminu puls bił przeciętnie z szybkością 118 uderzeń na minutę. Jednak u wielu bardziej nerwowych maturzystów puls był znacznie wyższy. Blisko 20% badanych miało pulsy przeszło 140 uderzeń na minutę. Zdarzały się pulsy do 180. Jest rzeczą oczywistą, że już przeciętny puls w czasie egzaminu, więc 118 uderzeń, jest objawem wielkiego zdenerwowania. Pulsy ponad 140 i do 180 uderzeń na minutę zdarzają się naogół tylko przy bardzo przyspieszonej pracy mięśniowej (np. bieg) lub podczas bardzo ciężkich i wyjątkowo groźnych chorób. Wskazywałoby to zatem na wielki nerwowy rozstrój, który w czasie matury następuje u egzaminowanych.

Jest rzeczą charakterystyczną, że pulsy maturzystek są przeciętnie szybsze. Jak wiadomo kobiety są bardziej wrażliwe i trudniej jest dla nich opanować swoje wzruszenie.

Myślałem początkowo, że szybkość pulsu w czasie egzaminu jest zależna od stopnia przygotowania do matury, że więc uczniowie celujący, nie potrzebujący się naogół niczego obawiać w czasie matury, będą mieli puls wolny, a uczniowie słabi puls szybki. Tymczasem dokładne obliczenie wykazało, że niema żadnej współzależności między temi dwoma czynnikami. Trema egzaminowa nie jest poprostu objawem uzasadnionej obawy, lecz zdenerwowaniem egzaminem jako takim. Uczniowie celujący mają często puls bardzo szybki w czasie egzaminu, a uczniowie słabi często mają puls stosunkowo bardzo spokojny. Szybkość pulsu i trema z całą pewnością nie wskazują na to, że uczeń jest źle przygotowany.

Poza innemi jeszcze zmianami tętna jak nieregularnością uderzeń, obniżeniem ciśnienia i t. p. znalazłem bardzo ciekawy i nieoczekiwany cielesny objaw wstrząsu psychiczno-fizjologicznego, jakim jest matura. Mianowicie u ok. 50% maturzystów po kilkugodzinnym egzaminie ustnym pojawił się cukier w moczu. O ile obszerne i dokładne ilościowe badanie, które zamierzamy przeprowadzić w tegorocznym okresie egzaminów dojrzałości potwierdzą dane otrzymane w roku ubiegłym u ok. 70 badanych, będzie można mówić o c u k r z y c y   e g z a m i n o w e j. Powstanie owej, zresztą szybko przemijającej, cukrzycy egzaminowej staje się zrozumiałe przez porównanie naszych wyników z badaniami znanego amerykańskiego fizjologa — Cannona. Cannon badał różne zmiany fizjologiczne występujące u psów i kotów w czasie silnych afektów, np. strachu i gniewu. Gdy zbadano krew i wydzieliny kota, na którego nacierał przez pewien czas rozwścieczony pies, znaleziono we krwi adrenalinę a w mózgu cukier. Zdaje się, że wskutek silnego wzruszenia pod wpływem innerwacyj systemu nerwowego współczulnego gruczoły nadnercza wydzielają do krwi zwiększoną ilość substancji dokrewnej (hormonu), zwanej adrenaliną, a ta znów przez swe oddziaływanie na przemiany materji w wątrobie wywołuje zwiększoną produkcję cukru w organizmie, co prowadzi do cukromoczu. W każdym razie stwierdzone przez nas zmiany tętna i wydzielania wewnętrznego wykazują, jak silnie wstrząsy psychiczne oddziałują na fizjologiczne funkcje naszego organizmu, jak bardzo ciało jest zależne od duszy.

Do tych zmian należy w końcu zaliczyć jeszcze nieregularności co do czasu i przebiegu menstruacji, jakie się pojawiają w czasie matury u dziewcząt.

Inni, dawniejsi autorowie stwierdzili też duży ubytek wagi uczniów w półroczu, w którym się odbywa matura.

Stwierdziwszy, że wzruszenie egzaminowe, sądząc po objawach cielesnych, jest bardzo silnym wstrząsem, chcielibyśmy wiedzieć, czy wskutek tego wstrząsu sprawność umysłowa, tak bardzo egzaminowanemu w czasie matury potrzebna, jest zachwiana czy też normalna. Tę kwestję można rozstrzygnąć również tylko drogą eksperymentu i ścisłych badań. W tym celu dawałem maturzystom pewne testy do rozwiązania kilka tygodni przed egzaminem a później tesame testy ponownie w czasie egzaminu. Otóż dotychczasowe moje wyniki nie wykazały obniżenia sprawności umysłowej w czasie egzaminu ustnego. Przeciwnie, mnożenie cyfr w pamięci dało w czasie egzaminu z matematyki u tychsamych uczniów lepsze wyniki w czasie matury niż w czasie zwykłego przepytywania na lekcji. Ale będzie trzeba jeszcze długoletnich mozolnych badań, zanim się tę sprawę definitywnie wyjaśni. Trzeba będzie zastosować bardzo liczne i różnorodne testy przed egzaminem i w czasie egzaminu, aby wyrobić sobie o tem objektywny i pewny sąd.

W czasie egzaminu ustnego oddziałują bowiem na pracę umysłową dwa różne i sprzeczne momenty. Pierwszym z nich są wzruszenie, zdenerwowanie i trema, obniżające raczej jasność sądu, przytomność umysłu i skupienie uwagi. Drugim momentem jest natomiast ambicja oraz konieczność pracy z maksymalnym wysiłkiem, która w czasie matury zmusza ucznia do zaktualizowania wszystkich swoich możliwości i do skupienia wszystkich swoich sił. W rezultacie jest to zagadnienie raczej typologicznej natury; dla uczniów opanowanych egzamin staje się silną, pozytywną podnietą, dla tych, którzy łatwo tracą głowę, może się stać sytuacją niebezpieczną.

W każdym razie powyżej krótko zreferowane badania nad psychologją i fizjologją egzaminu wskazują na to, że w dziedzinie nauczania i wychowywania szkolnego niemniej jak w każdej innej dziedzinie, jedynie ścisłe naukowe badania pozwalają rzeczowo i objektywnie ocenić stan rzeczy, poczem dopiero można wyciągać praktyczne konsekwencje. Zarówno przeciwnicy matury jak jej zwolennicy będą mogli dojść do rozstrzygających wniosków dopiero z momentem, gdy nauka ustali dwie rzeczy: czy matura jest szkodliwa dla zdrowia, oraz — czy w czasie matury umysł egzaminowanych pracuje normalnie i sprawnie.

To wymaga długoletniej, fachowej pracy badawczej całego zespołu psychologów.[2])

2) Ścisłe i obszerne przedstawienie wyników moich badań znajdzie czytelnik w Polsk. Archiwum Psycholog., tom V, Nr. 4, 1933 r.

MIECZYSŁAW LISIEWICZ.

Żwirko i Wigura.

Trzasnęły skrzydła i przęsła,
wiatr piasek posypał miałki.
Śmierć siły i koniec męstwa
ma głos łamanej zapałki.

Wązka jest ścieżka do sławy,
ślad znaczy niewidoczny.
Na ziemi, w oprawie krwawej
chciwie przyciąga oczy.

Strzelają pierwsze stronnice
w obżarstwie nowych nakładów,
martwotą zagasłych rycin
pachnących farbą rozkładu.

Nabrzmiewa zachłanność rzeszy,
rotor papieru szeleści,
krew łyka, czerń sińców spieszy,
pękając wrzodem boleści.

Wązka jest ścieżka do sławy
w powietrzu ledwo się mieści.
Śmierć siłę, chwałę i prawo
łamie trzaśnięciem pięści.

Na serca ścięte powietrzem
wciśnięte w złamany tułów
zbyt straszno kłaść grób ubity
z bibuły szumnych tytułów.

Grzebać w krzyżach sterczących
cylindrów, żerdek, opierzeń
i słuchać uchem przy ziemi
siły śmiertelnych uderzeń.

Ach! — nad rozdziału końcem
po gromie — przyszedł mrok ciszy,
jednak nikt śmigła nie słyszał
trącego o jądro słońca.

Urocze dworki i małe domki miejskie cofnięte w tył ulicy za pochylonemi ciężarem okiści sztachetkami ogrodzeń, śpią poczciwym głębokim snem. Zasnęły w uroczystych prababkowskich sutych czepkach śnieżnych. Gdzieś z za błyszczącego miesięczną poświatą okienka słychać melodyjny dźwięk zegaru. Bije północ.

Już grają i w głowie dawno przeczuwane i oczekiwane kuranty. Już poruszonym wspomnieniami, ukazuje się to miejsce. Przecież to było tutaj. Tu modliła się za syna Matka. Matka Mickiewicza! To kościół farny. —

A tam? cóż to tak błyszczy i świeci? — To przepyszne sukiennice otoczone niskiemi przysadzistemi podcieniami białej kolumnadki. — Okrutnie świecą w pełni miesiąca na samym środku nierównoległego czworoboku rynku. Rysując się ostro bielą swoich filarów na głębokim cieniu, rzuconym murami, wprost dzwonią światłem! Gadają! Czego nie opowiadają!

Księżyc wznosi się coraz wyżej i świeci coraz mocniej. Robi się jasno jak w dzień. I coraz tylko słychać w przejmującej nocnej ciszy raz wraz pękające z hukiem gonty, na dachach śpiących drewnianych dworków.

Po skrzypiących przeraźliwie od mrozu śniegach, dochodzimy do ruin Mendoga.

„Zamek na barkach Nowogródzkiej góry
od miesięcznego brał pozłotę blasku.
— — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — —
miasto już spało............!"

I my rozmarzeni zasypiamy nagłym mocnym snem w brudnych betach najwytworniejszego miejscowego hotelu, aby niezadługo obudzić się z żydem gospodarzem na karku, co tarmosi nielitościwie zaspanych. Z najgorliwszej zresztą życzliwości. I ma rację. Czas w drogę ruszać. Czas najwyższy, jeżeli mamy dopiąć naszego celu, dojechać przed nocą do Puszczy.

Przed hotelem w ciemnościach zimowego przedświtu panował już żywy ruch. Miły nad wyraz zgiełk dla uszu i wdzięczny obrazek dla oczu nowoczesnych, zmotoryzowanych ludzi. Hałas, tartas, przeglądanie zaprzęgów, troczenie i ładowanie podróżnego sprzętu. Zaintrygowały wszystkich dwie mocne drewniane, dobrze żelazem okute skrzynie, o które już od samej Warszawy wszystko przewidujący Zbych troszczył się pieczołowicie. Na czyjeś zapytanie, co on tam taszczy? — przymknął tajemniczo jedno oko, szepcąc: amunicja i desynfekcja! Naturalnie nikt tego nie wziął na serjo. Cały zresztą ten obraz przy migotliwem świetle wielkich stajennych latarni, w kłębach pary buchającej ustami ludzi i końskiemi nozdrzami, wyglądał nietylko malowniczo, ale zgoła podejrzanie, coś jakby jakaś nocna zbójecka wyprawa.

Trzy pary niskich niekutych sań, zaprzężonych w pojedynkę w rosłe z szerokiemi zadami kosmate konie w „duchach", stały gotowe do drogi. Taką końską rasę spotykało się dawniej na Świętej Żmudzi u włościan.

Tu woźnicami byli żydzi, oficjalni miejscowi dorożkarze. Mieli nas dostawić tylko do Niemna tam powinny oczekiwać już konie z lasów. Typy ciekawe, niczem swoich współwyznawców z Nalewek czy krakowskiego Kazimierza nie przypominali.

W krótkich, surowych białych kożuchach baranich, przepasanych rzemieniami, w wysokich butach filcowych, t. zw. walonkach, coś w rodzaju naszych kapców podhalańskich, wyglądali wcale obiecująco. Chłopy na schwał, o barach szerokich, buraczanych gębach, srodze od mrozu i wiatru krwią nabiegłych, obrośnięci rudemi czy blond brodami, niczem kacapy. Niezadługo pokazało się jednakże, że furmany z nich „odpowiedzialne". Koniokrady czy zbóje, o ile poświęcą się tym rzemiosłom ponoć również pierwszorzędne. Słowem, ociec Kiemlicz miałby z tych zuchów pociechę.

Wstawał i zapowiadał się wspaniały dzień słoneczny. Rzucając ostatnie spojrzenie na budzący się ze snu cichy Nowogródek otulony w puchy śnieżne, jak choinka wigilijna opatulona watą, mijając ostatnie dworki i domy pięknego miasteczka, odrazu wjechaliśmy w kraj opisany w pierwszej księdze „Pana Tadeusza".

Pejzaż falisty, mimo białych płaszczyzn śniegów, mimo siarczystego mrozu pełen radości i życia. Bez trudu wyobrazić sobie można, jak wspaniale wyglądać muszą te pagórki w innych porach roku. Zwłaszcza, kiedy je posrebrzą i wyzłocą falujące zboża.

Po smutku Baranowicz, pustkach Mołczadzi, po haniebnej klęsce w Nowojelni, kraj widział się ludny i wesoły. Kiedy weszło słońce, wraz pojawiły się na trakcie liczne sanki chłopskie. Wsie były zamieszkałe, wszędzie widać było życie budzące się po wojnie silnem bardzo tętnem. Wreszcie w pewnym miejscu nazwa niestety umknęła pamięci, wjechaliśmy w prawdziwą bajkę śnieżną.

Między olbrzymim starodrzewiem ośnieżonym w najpiękniejszą i najczystszą okiść, stał stary samotny drewniany dwór. Była to zaiste niepokalana symfonja białego w białem. Dwór pobudowano na uroczym pagórku, skąd roztaczał się nieporównany widok na wieś rozrzuconą w dolinie. Dolinie przeciętej strugą, co znaczyła się poprzez śniegi i lody pasmem przybrzeżnych drzew.

Widać było jak przez gumno dworskie brnie w śniegu po kolana stary dziad w kożuchu przepasanym barwną krajką, jak ze wsi do strugi ciągną zakutane w kożuchy baby z koromysłami po wodę, to wszystko wlokło się z trudem, ledwo dobywając stopy z głębokich śniegów. Mimo znacznej odległości narysowani ostro i wyraźnie na przeczystem białem tle, swojemi odmierzonemi powolnemi ruchy grali na tym krajobrazie zimowym iście patetyczno-biblijne widowisko. Może bajkę zimową o trzech królach? —

...jakoby aktorzy na scenie,
zdawało się przedstawiać jakoweś zdarzenie;
Gest ich sztucznie wydany, farby osobliwe,
Tylko głosu im braknie: zresztą jakby żywe.

Kompanja nasza od Nowogródka powiększa się nieustannie. Powiększa się i zapas koców, baszłyków, futer, ergo coraz cieplej i weselej.

Po dyrektorze departamentu panu J. W., którego zabraliśmy w Nowogródku, przybył nowy towarzysz, komisarz Rządu dla lasów tamtejszych. Oczekiwał już naszego przybycia przed tym cudnym śpiącym jeszcze w rannym śnie dworem. Nie wysiadając witamy zabieramy i dalej, byle dalej, bo droga przed nami długa.

A szkoda! Gospodarowała ponoć w tym cudnym dworze jakaś nieustraszona stara panna, dzielna kresowa Polka, co przetrwała w swoim domu wszystkie srogie terminy nawałnicy wojennej, broniąc ojczystego zagonu. Jedna z wielu! Cześć wszystkim podobnym kresowym starym pannom! —

Dowiadujemy się również od pana komisarza, że wilki grasują coraz śmielej w ych stronach, że ubiegłej nocy porwały psa dworskiego wprost z obejścia. Dobra nasza! Może się i uda uszczknąć coś nie coś z tych wilków. Rośnie ochota.

Tymczasem fala pejżażu uspokaja się coraz bardziej, droga staje się coraz równiejszą, czuć w konfiguracji terenu bliskość wód, bliskość Niemna.

Jedzie się tutaj, już szerokim, doskonale przetartym traktem. Tak bardzo szerokim, że kilka sanek rzędem swobodnie sunie obok siebie, dla tem wygodniejszych dyszkursów. Już od Nowojelni zrozumieliśmy, że przybyło się w kraj i ziemię najbujniejszego świata roślinnego. Ale tu oczy radują się nieustannie spotykanemi przydrożnemi drzewami. Drzewa olbrzymy. Bujności niesłychanej. Mimo zimowej toalety, raczej mimo braku toalety, mimo braku listowia korony, widać w rozmiarach sylwet, strzelistościach pni i konarów, że to jest ojczyzna drzew olbrzymów. Mijamy nieustannie szacowne dęby, klony, lipy i buki przydrożne. A zwłaszcza brzozy. Kto chce oglądać to drzewo w najwyższej jego krasie niech „za Niemen przeleci — nędzne znajdzie tam sprzęty domowe" — ale za to ujrzy brzozy jakich nigdzie gdzieindziej w Polsce nie ma. Tu już naprawdę wierzy się głęboko, że szeroki trakt zaprowadzi podróżnych gdzieś w jakiś legendarny leśny kraj.

Spotykamy po drodze raz wraz i dwory ziemiańskie, z których niejeden formowanym jest na obraz i podobieństwo Soplicowa, niestety wszystkie spustoszone zupełnie i jak się zdaleka wydawało, przeważnie niezamieszkałe. Ci co jeszcze nie wrócili.

Wreszcie w miejscowości Lubczy dobiliśmy do Niemna. Ściśle według planu oczekiwały już nasze konie z lasów. Okrzyk radości był nagrodą dla Zbycha za dobrą organizację.

FRANCISZEK WALTER.

Medycyna w literaturze.

Nie wiadomo czy Stańczyk pragnąc doświadczalnie stwierdzić zamiłowanie ludzi do roztrząsania zagadnień lekarskich i to przedewszystkiem zagadnień terapeutycznych, opierał się na przykładach z literatury pięknej, jednak stwierdzić należy, że dowód swój przeprowadził w sposób doskonały. Niema bowiem innego zawodu, któryby w tak wysokim stopniu wzbudzał ogólne zainteresowanie jak zawód lekarza. Toteż postać lekarza i jego sztuka, były i są naczelnem zagadnieniem dzieł literatury pięknej, od poważnych poematów epicznych, aż do humorystycznych i satyrycznych opowiadań i poezji.

Po temat z dziedziny wiedzy lekarskiej sięgają przedewszystkiem zawodowi pisarze, zdarza się jednakże nierzadko, że wśród pisarzy znajdzie się także i lekarz, który braki objektywności pisarskiej zastąpi bogatemi wiadomościami rzeczowemi.

Temat lekarski przedstawiony i odpowiednio rozwinięty w powieści, może być tylko uboczną akcją, mniej lub więcej luźnie z właściwą akcją i założeniem powieści związanym; nie wiele też z medycyną mają tematy powieściowe, w których lekarz obejmuje rolę bohatera, względnie kiedy terenem akcji jest środowisko lekarskie, w sposób bardzo powierzchowny odtworzone. Tak ujęte zagadnienie lekarskie dla spraw lekarskich lub nawet społeczno-lekarskich niema większego znaczenia. Zagadnienia lekarskie wówczas nabrać mogą większego znaczenia, jeżeli informują czytelnika w sposób zgodny z rzeczywistością, lub w sposób niezgodny z prawdą naukową, a więc nawet szkodliwy. Zdarza się to wówczas, gdy autor na czele zagadnienia dzieła postawi sprawy lekarskie lub biologiczne i gdy przedstawi je w sposób zbyt osobisty lub fantastyczny, nie licząc się z tem, że źle zrozumiane zagadnienie przyrodnicze, może wywołać u czytelnika mniemania i wnioski z gruntu fałszywe i wszczepić niechęć lub obawę przed pewnemi sposobami badań lekarskich lub zabiegów leczniczych. A dowodów na to w dzisiejszem piśmiennictwie mamy bardzo wiele.

Niedostateczne przygotowanie autora i fałszywe przedstawienie odnośnego naukowego tematu nie może być w niczem usprawiedliwione. Cóżbyśmy bowiem powiedzieli o autorze, który pragnąc dać nam wycinek z życia pewnej epoki historycznej, nie poczynił odpowiednich studjów, względnie rozmyślnie sfałszował prawdę historyczną. Wybaczyć to możemy amerykańskim filmom lub operetkom, niemożliwe jest to do przyjęcia w powieści historycznej.

To samo odnoszę wrażenie, gdy czytam powieść, której akcja oparta jest na zagadnieniach przyrodniczych, noszącej w tytule dla usprawiedliwienia fałszerstw autora — nazwę fantastycznej — a zawierającej bezprzykładne brednie rzekomo naukowe. Żeby dzieło takie mogło przynieść szkodę nauce, o tem niema obawy, może jednak wyrządzić szkodę czytelnikowi. Gorzej jeszcze jeżeli autorem powieści jest lekarz, któremu przecież nie obce są zagadnienia biologiczne, wówczaas powieść posiadająca nawet wiele pierwiastku fantastycznego, staje się wprawdzie bardzo zajmującą i poczytną, jednak mimo wszystko — jak się postaram dowieść na przykładzie — może być szkodliwą, zniechęcając szeroki ogół, do fałszywie przedstawionych sposobów badania lekarskiego i leczenia.

Niedawno, bo w r. 1931, ukazała się powieść, której autorem jest lekarz niemiecki G. Fröschel p. t.: „Eine ganz andere Frau". Osią akcji i głównym tematem, jest doniosły zabieg lekarski, ratujący niejedno życie ludzkie, zabieg przetaczania krwi ludzkiej. Zagadnienie to przedstawione przez autora w sposób bardzo fantastyczny i niezgodny z prawdą, wywołało nietylko obfitą polemikę piór fachowych, na łamach tygodników lekarskich, ale wzbudziło tak wielką obawę u czytelników, że na proponowany przez lekarzy zabieg przetaczania krwi, jako jedyny środek, mogący w danym przypadku uratować życie chorego, tenże chory i jego rodzina nie zgadzali się, powołując się na wyżej wymienioną książkę lekarza-pisarza.

Tematem akcji powyższej powieści są zmiany natury psychicznej i etycznej odbywające się w ustroju kobiety pod wpływem przetoczenia krwi w celach ratowania jej życia. Bohaterka powieści udając się aeroplanem z Niemiec do męża przebywającego w Wenecji, ulega katastrofie w lasach na pograniczu czechosłowackim. Pilot zginął na miejscu, bohaterkę uratował przejeżdżający obok miejsca katastrofy wieśniak, podwiązując rzemieniem bata przerwaną tętnicę i odwożąc chorą do pobliskiego prowincjonalnego szpitala. Dyrektor szpitala i jego sekundarjusz ratują życie skrwawionej kobiecie, przetaczając krew pozostającego w opiece szpitalnej rekonwalescenta po zapaleniu płuc. Człowiek ten, tej samej narodowości co i bohaterka powieści, ma za sobą bardzo burzliwą i obfitą w zatargi z literą prawa przeszłość, która zmusiła go wkońcu do szukania w ucieczce do Czechosłowacji, ocalenia przed karzącą ręką sprawiedliwości. Ten doniosły w skutkach leczniczych, bo bezwzględnie ratujący bohaterce powieści życie, zabieg leczniczy, stał się także doniosłym w skutkach ujemnych. Pod wpływem obcej krwi krążącej w jej ustroju, bohaterka z przykładnej, uczuciowej, zdolnej do bezgranicznych poświęceń, kochającej żony i matki, staje się kobietą o zupełnie odmiennej umysłowości, zaniedbującą dom, obowiązki wobec męża i syna. Popada ona w zupełną zależność od swego krwiodawcy, okazując mu bałwochwalcze przywiązanie i miłość. Bierze udział w jego różnych, kolidujących z prawem sprawach. Mąż zasięgnąwszy rady uczonych lekarzy, rozumie przyczynę jej stanu i próbuje dobrocią i miłością wzbudzić w niej dawne uczucia, jednak napróżno. Kochanek jej wkońcu odbiera sobie życie, schwytany na przewożeniu fałszywych pieniędzy, ona zaś przecina sobie żyły w kąpieli.

Fantastyczny ten romans, ukazując się początkowo w odcinku powieściowym jednego z poczytnych tygodników niemieckich, wywołał żywy odruch niechęci u lekarzy, a wśród czytelników obawę przed tym tak doniosłym zabiegiem leczniczym. Redakcja jednego z tygodników lekarskich rozpisała ankietę, w której wzięli udział wybitni niemieccy uczeni nie szczędząc słów potępiających fałszywą, a zgubną tendencję pisarza. Autor w liście do redakcji tłomaczył się, że powieść jego wyprzedza niejako naukę i że wcale nie jest pozbawioną podstaw naukowych, względnie naukowej możliwości.

Temat przedstawiony przez autora w sposób nie mający nic wspólnego z prawdą naukową, nie wytrzymuje krytyki. Nawet w wyjątkowych przypadkach nie zna nauka możliwości przeniesienia drogą przetaczania krwi, nowych, odmiennych cech charakteru, mimo że idea ta żyła w umysłach dawniejszych lekarzy, pragnących np. drogą wzajemnej wymiany krwi, złagodzić i wyrównać niezgodne charaktery małżonków. Przetoczona z człowieka na człowieka krew, zaledwie krótki czas pozostaje w żyłach odbiorcy, jednak wystarczająco długo, aby zapobiec groźnym dla życia skutkom chwilowego jej braku, zanim narządy krwiotwórcze nie wytworzą potrzebnej ilości krwi. Razem z kwią przenosi się z dawcy krwi na odbiorcę także i hormony, owe tajemnicze a tak ważne wydzieliny z gruczołów dokrewnych, jednak w tak małych ilościach i wydalające się tak szybko z ustroju, że nie mogą one wywrzeć większego wpływu na ustrój danego osobnika. Przetaczaniem krwi nie można wzbudzić erotycznego przywiązania do krwiodawcy, gdyż uczucia miłosne i ich rozbudzenie, należą do stałych charakterystycznych cech osobnika. Zmiana w usposobieniu bohaterki mogła być następstwem wstrząsu doznanego podczas upadku, a nie następstwem zabiegu leczniczego. Możliwość rozbudzenia uczucia miłości może wynikać tylko z okoliczności towarzyszących zabiegowi, a nie wskutek obecności obcopłciowej krwi w ustroju chorego.

Ogół więc świata lekarskiego potępił zgodnie niewłaściwą tendencję powieści Fröschla, wywołującej fałszywy i wielce szkodliwy sąd o tym zabiegu leczniczym, będącym wielkim triumfem nowoczesnej medycyny. Bynajmniej nie staję w obronie obrażonej nauki, bo samej nauce takie przedstawienie doniosłych zagadnień, nie może zaszkodzić, nie obrażał nauki Juljusz Vérne nieraz w zbyt fantastyczny sposób przedstawiając jej zagadnienia i zdobycze, raczej ku chwale nauki, niż ku jej poniżeniu. Dziwić się należy autorowi, że dla samego problemu powieściowego świadomie sfałszował prawdę naukową, wyrządzając w ten sposób tylko społeczeństwu szkodę.

Wręcz przeciwne budzi uczucia głośna już i piękna powieść Choromańskiego „Zazdrość i medycyna". Zagadnienia lekarskie nie są tu przedstawione ze stanowiska naukowego, raczej znajdujemy w powieści barwny i niezwykle wiernie przedstawiony wycinek z życia lekarzy, charakteryzujący znakomicie ich fizyczne i duchowe, codzienne wysiłki. Pomijam sprawę samego tematu powieściowego, o zagadnieniu bądź co bądź przyrodniczem, urastającem w kompleks chorobowych idei u przemysłowca Widmara, i budzącej się miłości chirurga Tamtena do Rebeki, będącej jak słusznie się wyraził jeden z krytyków „emanacją płci", o samej bowiem powieści pisano już bardzo wiele. Pragnąłbym jedynie podkreślić te momenty powieściowe, które dla lekarza i dla zrozumienia jego powołania, przedstawiają istotną wartość. Autor po mistrzowsku i w sposób zadziwiająco wierny dał nam wycinek z życia codziennego chirurga Tamtena, owego chirurga z Bożej łaski, który o operacji wyrostka robaczkowego mówi jak o wyjęciu zęba: „Panie, my takie operacje guzikiem robimy". Od ósmej godziny do późnych godzin popołudnia pracuje Dr Tamten przy stole operacyjnym wykonując czyste i septyczne operacje. Pochłonięty swą pracą zawodową myśli nawet o sobie po chirurgicznemu. „Spojrzał na siebie, pooglądał ze wszystkich stron jak w Roentgenie i przyszedł do przekonania, że choroba jego posunęła się bardzo i że nie obejdzie się bez zabiegu chirurgicznego, powiedzmy bez amputacji uczuciowej". Punktem kulminacyjnym powieści to iście intuicyjnie odtworzona, z najdrobniejszemi niemal szczegółami chwila operacji appendicitis i owa ósma minuta, kiedy chirurg rozpoznaje swą pomyłkę i stwierdza po otwarciu jamy brzusznej, ciążę pozamaciczną. Opis operacji budzić musi żywe wspomnienia u lekarza, tak bowiem świetnie przedstawiono szczegóły biegu operacji, w skrótach niemal kinematograficzną techniką oddanych.

Reportaż lekarski Choromańskiego zamieszczony w „Wiadomościach literackich" (Nr. 35. r. 1932), daje nam również doskonały wycinek z życia lekarzy i chorych w szpitalu dla obłąkanych w Tworkach. Jednakże pomimo całego uznania dla wierności i artyzmu w odtwarzaniu szczegółów lekarskich, a także dla zrozumienia tak ważnej kwestji nowoczesnego szpitalnictwa, jako lekarz mam pewne zastrzeżenia. Nie dziwi mnie, że autora jako współczesnego pisarza zajmują szczegóły osobistego życia chorych, a w szczególności sprawa życia płciowego, jak i sprawa leczenia właściwie nieuleczalnych już cierpień, można bowiem rozumieć, w jaki sposób wrażliwa dusza pisarza, chłonie wrażenia pobytu w towarzystwie obłąkanych i matołków, tak że nawet odczucie to, urasta do zagadnienia lekarskiego i społecznego. Ale reportaż, którego bądź co bądź szlachetnym celem, jest przedstawienie największego nieszczęścia ludzkiego, jakiem jest cierpienie nieuleczalne , i codziennych znojów lekarzy, nie powinien budzić nawet cienia zastrzeżeń ze strony czytelnika odnośnie do postępowania lekarzy z choremi, a już zgoła obaw, przed leczeniem zakładowem. Tak ujęty reportaż podobnie jak poprzednio wymieniona powieść niemieckiego autora, może być nieobliczalną w skutkach, budząc wśród rodzin chorych, pozostających w leczeniu szpitalnem, słuszne obawy a może i trwogę o los, a nawet o życie swych najdroższych. Mam na myśli pewne ustępy reportażu, omawiające sprawę bicia chorych przez pielęgniarzy.

„Czy prawdą jest panie doktorze — zapytuje autor oprowadzającego go po zakładzie lekarza — że w Tworkach pielęgniarze biją chorych?" „O tem mówili i mówić będą — przerwał nagle psychjatra — takie wypadki mogą się zdarzyć. Chorych bito i któż może ręczyć, że tak nie będzie w przyszłości. Otóż nie przeczę — mówił dalej psychjatra — że było parę wypadków, gdy pielęgniarze niedobrze odnosili się do chorych, gdy dochodziło nawet do przykrych zajść, lecz zapobiec temu można dopiero post factum".

Zdaję sobie sprawę, że nie jest to tylko literackie ujęcie tematu, ale wierne powtórzenie słów lekarza, wynurzenia te jednak mogą przynieść szkodę ogółowi, zmuszając niemal do obłędnej myśli, że każdego chorego leczonego w zakładach dla obłąkanych biją pielęgniarze, a może nawet katują. I tu może przedstawienie faktu oporu umysłowo chorego, nie pozwalającego się zaprowadzić do kąpieli lub odmawiającego przyjmowania pokarmu, co zmusza pielęgniarza do użycia pewnej przemocy, może być przyczyną takiego nieszczęśliwego tłomaczenia.

Możemy zgodzić się z pięknem stanowiskiem autora, jako estety wobec nieuleczalnego cierpienia, możemy zrozumieć jego refleksje odnośnie do sposobów leczenia, jednak ze stanowiska nauki lekarskiej, na takie ujęcie sprawy zgodzić się nie możemy.

„Poco leczyć człowieka na narkomanję — zastanawia się autor. — Poco pozbawiać go jedynej może słodyczy, która pozostała mu w życiu? Czy nie lepiej dawać morfinę, kokainę, heroinę wszystkim inwalidom rzezi świetnej, wszystkim kalekom i kadłubom skazanym na najgorszą wegetację?"

Jakżeż wobec tego życzenia zachować się ma lekarz, którego zadaniem jest wyratowanie chorego z jego nałogu? Czyż nie składali w przysiędze starożytni lekarzowi wręcz przeciwnych zapewnień? „Przysięgam Apollinowi lekarzowi, Eskulapowi, Hygei... że nigdy nikomu ani na żądanie, ani na prośby niczyje nie podam trucizny, ani też nigdy takiego nie powezmę zamiaru".

Również nie można się zgodzić z życzeniem autora, budzącem się w nim na widok nieuleczalnych młodocianych chorych: „wydaje mi się, że znaczniej humanitarniej byłoby wytępić i wytruć wszystkie potworki, które bezskutecznie usiłują tam leczyć", bo próby leczenia są zdaniem autora „tragicznie śmieszne". Myśl o eutanazji, o skróceniu boleściwego żywota nieuleczalnie chorego, kiełkowała już oddawna w mózgach litościwych współczujących, myśl ta jednakże mija się z powołaniem lekarza i naczelną jego zawodu ideą ratowania, a nie skracania świadomie życia chorego. Wszak to zakrawa na kolizję z § 227 nowego kodeksu karnego.

Autor jest twórcą epopei pracy lekarskiej: „Zbyt długo siedziałem a właściwie leżałem w szpitalach, sanatorjach, aby życie szpitalne jak również walka zwycięskiego i ginącego zespołu ludzkiego z chorobą i śmiercią nie była mi bliska. Fach lekarzy wydawał mi się najbardziej trudny i święty. Do dziś dnia nie mogę pojąć dlaczego ludzie zdejmują kapelusz przed karawanem żałobnym, lecz nie pochylają głowy przed mknącą po ulicy karetką pogotowia".

Lekarz Choromańskiego w „Zazdrości i medycynie" przedstawiony jest wiernie niejako na zewnątrz, a stylizowany na wewnątrz, jest on fanatykiem zawodu; w razie potrzeby umie wyeliminować z procesów myślenia swe osobiste prywatne ideje, a skierować całą energię — myślenia ku zagadnieniom lekarskim. Lekarz z reportażu to postać prawdomównego, nie umiejącego ukryć braków wiedzy lekarskiej i niedociągnięć techniki szpitalnej psychjatry. Tylko tak prawdomówny, ideowy lekarz opowie o wykroczeniach przeciw dyscyplinie szpitalnej pielęgniarzy.

Cieszyć się należy, że stan lekarski znalazł tak doskonałego piewcę, życzyćby sobie tylko należało, aby subjektywnie przedstawione zagadnienia naukowe, względnie braki techniczne i nie były źle przez czytający ogół tłumaczone i nie stały się powodem nieuzasadnionych w rzeczywistości obaw cierpiącej ludzkości.

WŁADYSŁAW WOLTER.

Kryzys pacyfizmu.

Jest już znamieniem chwili, w której żyjemy, że każdy przejaw życia społecznego, od najbardziej realnego do najbardziej idealnego, nie wykazuje jakiejś spokojnej jednostajnej ewolucji, ale wręcz przeciwnie załamuje się, ujawniając niebezpieczeństwo deformacji, czy też zupełnej zagłady. Wspomnienia okropności wojny światowej podniecały przez pewien przeciąg czasu umysły wrażliwsze, powodując wzmożenie się ruchu pacyficznego. Ale i tu sprawdziło się jeszcze raz stare doświadczenie psychologiczne, że pamiętamy rzeczy miłe i przyjemne, a zapominamy o rzeczach niemiłych, lub — jakby powiedział Freud — lubimy zapominać o rzeczach nieprzyjemnych. Od końca wojny dzieli nas już okres 15 lat, a to wystarcza, by zagoiły się najboleśniejsze rany. Emocjonalne więc podstawy pacyfizmu słabną siłą rzeczy, a przy braku innych podstaw pacyfizm wszedł w okres kryzysu. Nie należy przytem zapominać o tem, że wojna światowa podzieliła Europę na dwa obozy: zadowolonych i niezadowolonych z jej wyników. Jeżeli znów to uczuciowe nastawienie w drugim obozie niezadowolonych utrudniało rozwój myśli pacyfistycznej i przyczyniało się do stępienia wrażenia ujemnego samej wojny, to rzecz jasna, w miarę postępu czasu, ciągle podtrzymywany stan niezadowolenia, musiał w stosunku do gasnących wspomnień wojny przybierać na sile, wyładowując się w kierunku antypacyfistycznym. Siłą reakcji ruch antypacyfistyczny w obozie niezadowolonych musiał wywrzeć wpływ na mentalność w przeciwnym obozie zadowolonych, osłabić zapędy pacyfistyczne, zdyskredytować antywojenne nastawienie jako „ideologiczną mrzonkę". I dziś jesteśmy świadkiem tego, że niemieckie pojęcie „Gewaltfrieden", jak nazwano stan wywołany traktatem wersalskim, przybrało realne kształty „trzeciego państwa" ultra-nacjonalistycznego, a po stronie przeciwnej rozlega się gromki głos w kierunku zlikwidowania obecnego systemu polityki zagranicznej, zwanego polityką ideologiczną (Brianda), przez politykę realną, politykę interesów. Nie brak przytem wynurzeń na temat, że, jak długo ludzie nie staną się aniołami, tak długo istnieć będą wojny, — że zadaniem narodu jest bronić się; jeśli temu zadaniu podołać nie może, niech zginie, — że pacyfizm to słabość i t. d. Realnym wyrazem tego stanu rzeczy jest bezsilność Ligi Narodów, oraz wprost kompromitujące fiasko Konferencji rozbrojeniowej.

Temu wszystkiemu dziwić się nie można. Budowanie pacyfizmu na nastrojach, na ideologji, której źródła tkwią jedynie tylko w względnych uczuciach, udać się nie mogło. Pacyfizm potrzebuje do swego życia siły moralnej i realnej, a wobec tego, że chodzi o „ludzi" w pierwszym rzędzie siły realnej. Tą siłą mogła się stać Liga Narodów, ale się nią nie stała, gdyż przeciwstawił się temu egoizm państw, reprezentowanych w jej organach. Polityka realnych interesów nie dopuściła do obdarzenia tej instancji ponadpaństwowej siłą realną, po części nawet słusznie, gdyż miecz oddać można tylko w rękę sędziego niezawi-

---

Nieznany list Juljusza Słowackiego.

W jednej z bibljotek krakowskich odnaleziono niedawno list, wyjaśniający powstanie „Horsztyńskiego" i tłomaczący dlaczego dramatu tego Słowacki nie wykończył. Okoliczności tak się złożyły, że jesteśmy w możności podać niniejszem list ten do wiadomości naszych czytelników.

...piszę teraz więcej niż kiedykolwiek, a co dziwniejsza, że piszę prozą, abym ci dowiódł mamo jak ty zawsze jesteś przytomna myślom moim, jak chciałbym wspomnienie twoje ze wszystkiemi marzeniami nawet poetycznemi połączyć, jedna z heroin mojej nowej tragedji nazywa się Salomea. Zobaczysz, kiedyś, że piękna jak lilja i nieszczęśliwa prawie jak ty, tylko z innych przyczyn... Bóg wie dla kogo piszę i kiedy wydrukuję. Zdaje mi się, że piszę zupełnie dla siebie i stąd może więcej będzie naturalności i bardziej rozwiane zarysy, kiedyś to wszystko ktoś wyda na świat, może mały Staś jak dorośnie.

Tymczasem żyję w przeszłości bardziej niż w teraźniejszości. Stanęło przedemną wiele dawnych marzeń... obraz ściemniały i płowy, pełen twarzy pobladłych i dopóty nalegały te znajome niegdyś widziadła, aż oddałem im władzę nad myślami mojemi i posłuszny usiłuję na nowo stwarzać rzeczy umarłe i bezpowrotne pamięci przekazywać.

Chciałbym dawnych odmalować Polaków i tę tragiczną w ich piersiach mękę, gdy patrzeć musieli na ojczyzny swojej konanie. Długo więc wpatruję się w ciemności nad ich grobami zapadłe i z duchami rozmawiam, a przeszłość moja taką ma moc nademną, że nawet cudze usiłując nakreślić dzieje, razem i swój wywołuję smutek.

Znów więc jesienią z Ludką po jaszuńskich, liściem zasypanych błądzę alejach i jest mi ta muzyka szeleszczącego pod stopami listowia jak odzywanie się piosenki, granej na harfie pękniętej. Tak to dzieje się na świecie mamo moja: około jednego tylko wspomnienia owijają się wszystkie inne jak bluszcze, a żyćby mogły dla siebie i może nawet piękniejsze być niż tamto... Wszystkie z innemi rozmowy, wszystkie rojenia przelotne pajęczynowemi nitkami ulatują i tej jednej czepiają się postaci. Wydaje mi się, że ona tylko miała nademną panującą władzę siostry, że zawsze z twarzy mej umiała wyczytać smutek i umiałem się jej wyspowiadać, a po spowiedzi lżej mi było... Ona też wędruje ze mną po szwajcarskich górach, błękitem oczu swoich dziecinnych myśl o najczystszej budząc miłości, ona przegląda się w kryształowych toniach jeziora i po śniegach białych stąpa, biała jak one. Sądzę o mamo, że gdyby nawet nie było na świecie poezji musiałaby się narodzić z takich wspomnień!

Powiesz może, że imaginacja moja nieprawdziwy sobie obraz tworzy, że to rzeczywiście — poezja tylko... być może, że Ona niczego w takiem nie rozpozna wspomnieniu, ale jedna jest rzecz, co ją przecież zastanowić musi: ta miłość tak bez nadziei, że się nawet słowem zdradzić nie chce, miłość, co w głębi duszy okropnem tląc się zarzewiem wszystkie inne spopiela porywy i myśl o śmierci budzi.

A ty mamo dla siebie odnajdziesz tam i pacierz Melanki niewinny i delikatne ręce sióstr moich, włosy dziecka w pierścienie trefiące i wreszcie opowiadań dziadunia echo i może jeszcze kilka smutniejszych odnajdziesz przypomnień, które niech ci serca nie zranią, żem je wypowiedział, bo krwią je pisałem własną i zamilczeć nie mogłem.

O jakże mi jest przytomna teraz i bliska klątwa ta, nad narodem naszym zawieszona i członkom jego fatalna, co kiedyś oczu dziecka nie umiała jeszcze okropnością snów swoich porazić. A dzisiaj?... Długo nieraz myślałem, czembym się stał, gdziebym skończył, gdybym nie pisał, gdybym nie wierzył w gwiazdę moją, co mi kiedyś nad grobem błyśnie, może drugiego już dnia mojej śmierci. Może błądziłbym jak ślepy w krainie marzeń, sercem na dwoje rozdarty... może lękałbym się postępkami memi potępić nazwisko, które ty mamo nosisz i nocy nie miał tak spokojnej ani snu dość cichego, aby zapomnieć, że w godzinie czynu czas na myślach szedł mi niepotrzebnych, że od męki uciekłem... I to byłoby nieszczęście wielkie, skrzydłami czarnemi nad nami wiejące i wielką mogłoby między mną a tobą przepaść wykopać.

Bywają niekiedy chwile, gdy chwiejny w myślach wątpić zaczynam o sobie. Orszak ogromny wypadków przesuwa się przed mojemi oczyma... Jak się weń wmieszać, jak stanąć, gdzie?... Zdaje mi się, że słyszę krzyk rewolucyjny ożywających gruzów... Czuję serce moje wołające z głębi wnętrzności do Boga — o litość nad nami... Nad nami?... Czemże ja jestem? Ja nie powstałem!... Krzyczę między czterema ścianami wtenczas, gdy inni umierali w milczeniu. Przychodzą do mnie upiory, krwią czerwone własną i pytają: czemuś nie był z nami?

A jednak wiem mamo moja, że przeznaczeniu posłuszny zadanie wypełniam swoje, że na ojczyzny mej grobie stanę kiedyś posągiem wielkim a imię jej uczynię pacierzem i płaczem i moc mu dam piorunu, co się sam tysiącem zwiastuje błyskawic. Bohater mój nieszczęśliwszy jest odemnie. Znasz mamo Wacława dzieje, co się jakgdyby matki — ojczyzny swojej zaparł i któremu motłoch w oczy rzucił chustkę krwawą, ojca jego krwią poplamioną. Do końca on w obłąkaniu żyjąc myśli tej strasznej zbyć nie może, że chociaż ojca nie zabił — krwi jest winien. Historja ta dłuższy czas imaginację moją zaprzątała i wiele jej dodała ta okoliczność, że widywałem tu ostatniemi czasy syna jakoby Wacława, a mimochodem mówiąc, dziwiłem się jak może być po dzieciach aż tak nie znać fatum tego tragicznego, co ojcom życie łamie... Otóż bohater mój po Wacławie prawdziwe jego wziął imię i rysy niektóre postaci, dumę, która mu nie pozwala biernym li tylko być członkiem na szachownicy świata i tragizm przeznaczenia, prawo jakieś fatalne, które — cokolwiek by postanowił — czegokolwiek poniechał i tak się nad nim musi wypełnić. Może to skutki są myśli złych, które, gdy w jednem pokoleniu grzech i zbrodnię porodziły — w drugiem zaciężyć muszą karą i odkupieniem. Zobaczysz może kiedy mamo, jak temu sercu, choć piękne w sobie i szlachetne, wszystko się w czarnym kręgu życia fałszywym odzywa akordem, zobaczysz jak wszystkie te nieszczęścia przedewszystkiem z jednego płyną źródła: losu co jak sęp złowróżbny nad narodem wówczas zawisnął... Bo może, gdyby mu żyć przyszło w blaskach słońca, w kraju gdzie bez przeszkód dojrzewać by mogły na polach kłosy zbóż, a jabłonie w sadach owoce rodzić, bohater mój byłby jednym z rycerzy chrystusowych łagodnego i spokojnego oblicza, żonę by pojął młodą i dziatki chował, rumiane jak te po sadach jego jabłuszka.

Jest ci więc on i bratem młodszym Kordjana, choć dalekiego już pokrewieństwa. Tamtemu sił — jemu do czynu możności braknie.

Kiedy niedawno nad błękitnemi Lemanu błądziłem brzegami, uderzył mnie ponurością swoją zamek Chillonu posępny, dramatem jakimś ukrytym w oczy bijący. W takiego zamku murach zamknąłem tragedji mojej okropność. Ale Fatum moje, ów ślepy zawsze los, co po omacku — jak za królem Learem czy Edypem — ofiary swojej śladem stąpa — ów los co przyczyny wyzwala, jak pierwsze odłamki lodów na górach, lawinę śmierci niosące — ów los w dworku mieszka szlacheckim i starca przybrał postać, konfederata, któremu kiedyś gromnicami oczy wykapali Moskale. Już raz za młodości swojej ciężko zaważył ten człowiek na losach zamczyska, a powtórnie zawiązany węzeł już tylko śmierć rozplątać zdoła.

Może zmówi kto kiedy pacierz za bohaterów moich dusze. Chciałbym, żebyś to ty była moja mamo. Ten smutek z ponad ich grobów wstający przygniata mi duszę. Bywają chwile, gdy myślę, że może i mnie fałszywym odezwało się natchnienie akordem. Zdaje mi się, że tym pytaniom, co udręczają mi serce jedna tylko zadość uczyni odpowiedź: trzebaby nam wyzwolić anioła w duszy swojej. Może to żądanie wielkości idącej z czynu, podszeptem jest pychy szatańskiej? może pokory nam trzeba, co serca przeanieli i, jak przed Chrystusa grobem, przy ojczyźnie naszej na straży stanie... Prosto nam trzeba będzie mówić, bo może nowe świtają czasy i te, w przeszłości naszej straszące, upiory, może i dziecko, byle do głębi niewinne, znakiem krzyża odegnać potrafi.

Tak więc ten ostatni utwór mój, w głębi schowany szuflady niech pomiędzy papierami innego jutra czeka. Nie trzeba trucizną karmić tych co i tak żółcią napojeni. Przyjdzie kiedyś szczęśliwsze pokolenie — co spojrzy głębiej w tę powieść posępną, a spojrzawszy pozna swoją szczęśliwość. Może kiedyś wystawią to w jakimś teatrze, a ja przyjdę, choćby z pośród umarłych, chociażby tylko światła jasnego kolumną i duchem moim napełnię przestrzeń dookoła. Może się sam zadziwię mojemu dziełu i może mnie nawet przestraszy ta cielesność z postaci moich bijąca i ta mowa, która z duszy mojej powstała — jak do obcego wróci do mnie człowieka...

A może mamo moja i ty będziesz ze mną, może oboje się tam znajdziemy żywi i cieszyć się będziesz tryumfem syna swego...

(Tu rękopis się urywa.)

Przepisane przez *Kr. G.*

słego i bezstronnego, który musi być skrępowany wyraźnemi normami, będącemi wyrazem sprawiedliwości. A tych gwarancyj aeropag ten obecnie jeszcze nie daje. Kto troski o własne bezpieczeństwo nie chce lub nie może oddać w ręce władzy, obdarzonej w siłę realną, ten musi się sam uzbroić, a ze swego domu zrobić fortecę. Wymaganie, by siłę odporną zmniejszyć bez gwarancyj bezpieczeństwa opierało się na paradoksalnem założeniu, że z jednej strony obecny stan rzeczy nie jest takim „stanem prawnym", w którego obronie stanąć muszą wszyscy, czyli że układ ten wykazuje pewne „prawne" vacuum, — z drugiej strony gwarancją przyszłości ma być bezsilność jednostek; znaczy to tyle: „Z punktu widzenia prawa bić się (t. zn. napadać) wam wolno, ale bić się nie będziecie, bo nie będzie czem". Na pytanie: „Dlaczego z punktu widzenia prawnego nie bić się, kiedy wolno", takie postawienie sprawy odpowiedzi udzielić nie może, a temsamem cały program staje się fałszywy; obawiających się zadowolić nie może, a żądnych zmian pcha na tory wyzyskania bezsilności drugiego. Bo że np. z punktu widzenia etycznego bić się, w znaczeniu naturalnie napadać, nie wolno, to nie kłóci się z zezwoleniem prawnem na gwałtowne wyrównanie rachunków, skoro bardzo często etyka wymaga więcej niż prawo; ale też „zabezpieczenie" etyczne jest niezwykle słabe i zależne od poziomu etycznego wszystkich, którzy wchodzą w grę, pomijając już tę okoliczność, że, zresztą niesłuszny, ale mimo to dość panujący, relatywizm etyczny, czyni z etyki normę dość rozciągliwą. Etyka może popierać i popiera prawo, ale prawa zastąpić nie może, bo ludzie rzeczywiście nie są aniołami, i nie mogą się stać aniołami przez to, że się umniejszy ich siłę zaczepną. Nawet bolszewicy, jedyni zresztą, którzy wierzą w to, że prawo stanie się kiedyś rzeczą zbędną, bo przestępstw nie będzie, lokują tę nadzieję w bardzo dalekiej przyszłości anarchistyczno-komunistycznego ustroju, narazie operują tem prawem, powołując się na to, że znajdują się jeszcze w stadjum przygotowawczem, stadjum dyktatury proletarjatu, a operują w sposób zgoła nie względny. Jakże więc wytłumaczyć, że w stosunkach międzypaństwowych chciano odrazu zrealizować ten plan pominięcia prawa i związanej z niem siły, ograniczając się do złudnego ubezwładnienia? Czyż rzeczywiście polityka, funkcja niewątpliwie nad wyraz realna, znalazła się w ręku marzycieli? Czyż i im przypomnieć należy słowa nieodżałowanej pamięci prof. W. L. Jaworskiego, wypowiedziane w stosunku do bolszewików, że zmienili ustrój, zapomniawszy wpierw zmienić człowieka?

Jeżeli więc pacyfizm niema się skończyć, to musi zejść z piedestału ideologicznych marzeń i musi przybrać formy pacyfizmu realnego, opartego na sile realnej w ręku sprawiedliwego aeropagu. Trudność leży w tem, że chodzi tu właśnie o punkt początkowy. Wiekowemi sporami zawikłane stosunki między państwami, które nie znajdywały się pod ochroną prawa, ale pod panowaniem siły i zwycięstwa, utrudniają niezwykle ustalenia pewnego punktu, który musiałby zostać zlegalizowany, i w swej legalności uznany przez wszystkich, czy to dobrowolnie czy też pod przymusem. Trudność jest tasama, jaka niewątpliwie istniała w zamierzchłych wiekach, kiedy kształtowały się stosunki między jednostkami, kiedy również z „faktu" stało się „prawo". Jak długo państwa nie zdecydują się na ustalenie tego punktu, tak długo pacyfizm prawny istnieć nie może, a inny pacyfizm jest pozbawiony realnej wartości. A ponieważ niewątpliwie ustalenie tego punktu wyjścia było w chwili podpisania traktatu wersalskiego łatwiejsze niż dzisiaj, gdyż bez elementu siły tego punktu ustabilizować nie można, przeto era rzeczywistego pacyfizmu realnego jest dziś bardziej odległa, choć niemniej pożądana, niż to miała miejsce poprzednio. Nic też dziwnego, że pacyfizm międzynarodowy wchodzi w okres ostrego kryzysu, który przejawia się w formie postulatów polityki bardziej realnej, liczącej w pierwszym rzędzie na własne siły przy odpowiedniej ocenie przeciwnika.

władzy, pragnie jedynie zapewnić zdrową równowagę swobody i rządów, jedności państwa i swobody jednostki.

Skąd się bierze ta odrębność ewolucji polskiej i podobnych w wielu punktach zjawisk poza Polską. Nie ze słabości polskiego regimu. W porównaniu z innymi systemami dyktatorjalnymi polski regime okazał, że tam gdzie to jest konieczne, potrafił użyć siły. Nie z powodu większej w Polsce, niż gdzieindziej dojrzałości opozycji i dojrzałości społeczeństwa. Społeczeństwo polskie potrzebuje jeszcze długiej i trwałej szkoły życia państwowego. Opozycja polska okazała nieraz, o ile niżej stoi w dojrzałości politycznej, w rozumieniu interesu państwa od opozycji innych krajów. Przyczyna tkwi — w pierwszym może rzędzie — w różnicy między osobą Twórcy i Wodza rządów w Polsce, — we Włoszech, Niemczech, czy Sowietach. Mussolini, Hitler, Lenin czy Stalin byli ludźmi partji. Z nich wyszli, na nich się oparli, nim — swoim partjom — w dużej mierze zawdzięczali swą władzę. Musieli też na nich się oprzeć. Józef Piłsudski wyszedł skądinąd. Człowiekiem partji nigdy nie był, do władzy dzięki partji nie doszedł, doszedł do władzy raczej wbrew tej partji, która na niego lubiła się powoływać. Doszedł do władzy — w tych godzinach samotności, gdy właśnie gasł i rwał się wszelki jego kontakt z jakiemikolwiek partjami, dzielącymi państwo między siebie, a rósł kontakt między Nim a państwem, między Nim a społeczeństwem. Mussolini, Hitler, Lenin — doszli do władzy przy pomocy oligarchji i przy pomocy oligarchji rządzą. Józef Piłsudski doszedł do władzy na gruzach wszelkich oligarchij i dlatego mógł zbierać swych współpracowników w całem społeczeństwie, dlatego mógł zostawić społeczeństwu swobodę. Na tem polega odrębność Polskiej Rewolucji i siła Polskiej Rewolucji. Ale odrębność ta i siła ta może istnieć tylko w tej mierze, w jakiej jest przez społeczeństwo rozumiana.

EDWARD PASZKOWSKI.

Tragiczne losy.

Bohater mój, którego dziwnych losów pamiątkę chcę tu krótko utrwalić, urodził się w pięćdziesiątych latach ubiegłego stulecia na małym folwarczku Zacisze pod Ostrogiem wołyńskim. Pochodził z prastarej rodziny małopolskiej, herbu Zadora, piszącej się „z Brzezia", której gniazdo rodzinne Paszkowice, wspominane już w Liberum Beneficiorum Długosza, w Oświecimskiej leży. Jedna jej gałęź przeniosła się w początkach siedemnastego wieku na Podlasie, gdzie w województwie Brzeskiem rozrosła się i gęsto dwory i dworki szlacheckie zaludniła. Nie sięgali wysoko, gorliwie natomiast trzymali się pługa i szabli. W XVIII stuleciu jeden z nich był Oboźnym polnym litewskim z nominacji króla Stanisława Leszczyńskiego, drugi Józef generałem lejtnantem buławy litewskiej, jeszcze jeden Mateusz generałem konfederacji barskiej na powiat zdaje się Mohylowski. W XIX wieku pułkownik Józef Paszkowski kierował warszawską szkołą artyleryjską Królestwa Kongresowego. Wreszcie szereg tych żołnierzy w służbie Polski zakończył generał dywizji Franciszek Paszkowski, osobisty przyjaciel Kościuszki, inicjator i czynny członek organizacji, która usypała kopiec Kościuszki w Krakowie. Jego synowiec, również Franciszek, marszałek powiatu krakowskiego, przez długie lata kierował krakowską Florjanką w charakterze jej dyrektora.

W mundurze wojskowym ubiegło życie i Zygmunta Paszkowskiego, lecz w mundurze rosyjskim.

Jedynak... Sześć sióstr... Środki materjalne rodziny nad wyraz ograniczone... Więc gdy skończył cztery klasy gimnazjalne, oddano go „dla chleba" do wojska.

Chleb skromny i dla polskiego żołądka trudno strawny. Najniższy stopień szkół oficerskich, dla czwarto-klasistów dostępny, tak zwana „szkoła junkierska" wychowywała szary tłum oficerów linjowych najniższej kwalifikacji, którzy po długim szeregu lat służby wychodzili na emeryturę w szarży poruczników, kapitanów, rzadko kiedy podpułkowników. A przytem młodego wojaka z Zacisza obciążały dwa grzechy śmiertelne: był Polakiem i katolikiem. Więc, gdy po skończeniu szkoły junkierskiej wysłany został jako chorąży (praporszczyk) do jednego z pułków piechoty w głąb Rosji, zdawało się, że albo w masie moskiewskiej się zatraci, albo z żołdem kapitańskim na pół zmoskwiczony do domowych pieleszy powróci.

Nie zatracił się i nie zmoskwiczył. Ocaliły go mocne polskie wspomnienia domu i głęboka religijność, która towarzyszyła mu przez całe życie aż do grobu. Nie poddał się przeznaczeniu, które go skazywało na „dolę kapitańską", lecz złapał losy za kark i wypłynął. Gdyby to były inne czasy, znalazłby się niezaprzeczenie na szczytach, bo należał do gatunku ludzi mocnych. Słusznego wzrostu, w każdym calu rasowy, z pięknym blond wąsem i jasnemi mądremi oczyma, na pierwszy zaraz rzut oka zdradzał osobowość silną, zwartą w sobie, energiczną i nie przeciętną. Służbista, o twardym jednak karku, który giąć się nie lubił, odbijał ostro od szarego otoczenia prowincjonalnego garnizonu, nie tracąc miru u kolegów, zyskując coraz rzetelniejsze przywiązanie żołnierzy oraz szacunek i uznanie w dowództwie naczelnem. Co o przyszłości swej myślał, tego nigdy przed najbliższymi nawet sobie nie zdradzał. Wykonywał swoje obowiązki z precyzyjną dokładnością, no i... może czekał.

Wyprowadziła go z tępego zaułku szarzyzny rosyjsko-turecka wojna.

Plewna — Górny Dubniak — śmiertelny pochód przez śnieżną Szybkę... „Bohaterscy" generałowie sypali bez opamiętania i litości całe pułki do pobojowiskowych mogił, zdziesiątkowana armja rosyjska posuwała się krwawym szlakiem z hasłem... „Konstantynopol!" do — traktatu Berlińskiego, a młody, wówczas już podporucznik, przeszedł całą tę Gehennę krwi i obcych mu celów bez szwanku i tak się w szeregu bitew odwagą i sprawnością wyróżnił, że wbrew podejrzanej swej marce polsko-katolickiej, otrzymał najwyższe i bardzo trudno udzielane odznaczenie wojskowe — oficerski krzyż orderu św. Jerzego. Otwierało to przed nim jeżeli nie szerokie, to w każdym razie poważne perspektywy karjery.

Ożenił się z córką ziemianina z Humańszczyzny, a gdy mu zmarła, ożenił się poraz wtóry z panną Kaleńską z Żytomierza. Urodziła się córka, potem syn, potem drugi. Miał teraz własny „dom", gniazdo swoje z atmosferą polską. Mieszkali w Obojaniu w gubernji Kurskiej. Lata płynęły szczęśliwie, lecz cicho, bez zmian, zdawało się, że i bez nadziei na dalszą „karjerę". A ponieważ był człowiekiem zamożnym, więc w randze podpułkownika, nie mając jeszcze lat pięćdziesięciu, zdecydował podać się do dymisji i wrócić do kraju. Przedtem pojechał do Petersburga na doroczną „uroczystość kawalerów św. Jerzego" i teraz nastąpił w życiu Paszkowskiego nieoczekiwany przełom. Na obchodzie owoczesny minister wojny gen. Kuropatkin, który go osobiście znał i bardzo cenił, doradził mu: „Zostań, Gwarantuję, że będzie pan wkrótce pułkownikiem i otrzyma pan dowództwo pułku"... Dla wychowańca szkoły junkierskiej bez akademickiego dyplomu, dla Polaka, który nigdy w podejrzane kompromisy się nie bawił, byłby to awans niezwykły, toteż został. Wkrótce potem mianowano go pułkownikiem, ale zamiast pułku otrzymał tak zwany bataljon rezerwowy na Kaukazie, więc znowu zamyślał o dymisji i znowu doradzono mu: „Czekaj. Bądź cierpliwy"... Czekał zatem jeszcze i istotnie po niedługim czasie dostał pułk strzelców i, co dziwniejsze, pułk, należący do brygady konsystującej w Kijowszczyźnie, a więc — „w kraju".

Pobiegły teraz najszczęśliwsze lata w życiu pułkownika. Dobrobyt, piękne stanowisko, swojskie otoczenie, powszechny szacunek i ogólna sympatja, poczucie, że złe losy własną ręką przełamał i z honorem nigdy nie zachwianym doszedł jak mu się zdawało do szczytu, bo o dalszych awansach ze względu na swoje polskie pochodzenie oraz na brak wyższego wykształcenia wojskowego marzyć było trudno.

W czasie wojny japońskiej brygada strzelców, do której należał, długo pozostawała na miejscu i dopiero pod koniec rzucono ją na Wschód Daleki. Z początku oba pułki brygady odbywały podróż wspólnie, lecz w Kazaniu pułk Paszkowskiego zachorował na tak zwaną „jazwę sybirską" i do wyzdrowienia zastrzągł w koszarach kazańskich, a pułk drugi, dojechawszy na plac boju, został jeszcze w wagonach doszczętnie niemal przez artylerję japońską wymordowany. Kiedy pułk p. Zygmunta dojechał do mety, wojna już była skończona, zmasakrowany bratni pułk strzelców jako tako skompletowano, brygada wracała do domu.

Lecz brakło dowódcy, bo dowódca brygady generał, zdaje się Sollohub, niewiadomo gdzie się zapodział: albo na polu bitwy zginął, albo dostał się do niewoli. Brygadę w drodze powrotnej obejmuje prowizorycznie Paszkowski, lecz niespodziewanie jednak następuje legalizacja: pan Zygmunt wraca do domu jako rzeczywisty jej dowódca w randze generał-majora.

Sukces, a potem długie dni niepokoju i wstrętu, jaki w duszy świeżo nominowanego dygnitarza wywołały narzucone mu przez kategoryczny rozkaz władz, a nie mające nic wspólnego z wojskowością obowiązki.

Były to lata pierwszej rewolucji rosyjskiej. Kraj „uspakajały" wojskowe ekspedycje karne, w miejscach najbardziej zagrożonych osadzano generał-gubernatorów okręgowych z władzą absolutną, którą musieli pełnić z bezwzględnością krwawą. Sądy doraźne hulały po całej Rosji, wywołując ze strony rewolucjonistów kontr-teror zapomocą zamachów osobistych, stosowanych do tak zwanych „usmiritielej" (uspakajaczy).

Zaraz po powrocie ze Wschodu owoczesny wielkorządca kijowski generał Suchomlinow mianował p. Zygmunta generał-gubernatorem w Berdyczowie, a ponieważ Berdyczów leżał w sferze „stanu wojennego", więc odmowa była wykluczona. Dziewięć miesięcy męczył się świeżo mianowany generał na tem stanowisku ku powszechnemu zadowoleniu ludności spokojnej i... rewolucjonistów. Nie dostąpił ani jednego zamachu, choć rządził twardą ręką przy udziale jednak mądrej głowy i uczciwego sumienia, gdy zaś z obowiązków tych został wreszcie zwolniony, nie chciał już ryzykować dalej i podał się do dymisji.

Zamieszkał w Żytomierzu, nabył tam dworek przy ulicy Wilskiej i został wybrany na prezesa „Żytomirskiego Towarzystwa Wzajemnego Kredytu". Był to ostatni akt, zapracowanego własnym wysiłkiem i niezwykłym zbiegiem pomyślnych okoliczności życia, który wbrew wszelkim oczekiwaniom nosił już w swem wnętrzu zarazki katastrofy.

Wybuchła wielka wojna. Świat się cały zmienił... Wyrosły zaczątki niepodległej Polski... Żytomierz zagarnęli bolszewicy. Starszy syn generała, Wacław, walczył już w polskich szeregach, jako oficer, młodszy siedmnastoletni Tadeusz uciekł z domu i również walczył, jako ochotnik pod Lwowem, córka była w Warszawie. Dwoje starych ludzi w dworku przy ulicy Wilskiej, czekając z trwogą wieści od dzieci, doczekali się wyprawy polskiej na Kijów i byli w trakcie przygotowań do wyjazdu

KONSTANTY GRZYBOWSKI.

Józef Piłsudski, czyli odrębność Polskiej Rewolucji

Gdy w Polsce dokonywał się przewrót majowy, uchwycono przedewszystkiem zbieżność tego, co się stało z tem, co działo się równocześnie we Włoszech, czy w Hiszpanji. Następnie rozszerzono te porównania na dalszą ewolucję europejską: litewską, węgierską, niemiecką, austrjacką. Sięgano również do przykładu sowieckiego. Określono te wszystkie zjawiska terminem: dyktatura. Tu i gdzieindziej widziano tylko to samo. Z samego pojęcia „dyktatury" wyciągano pewne wnioski, z przykładów zagranicznych kuto broń przeciw polskiemu systemowi rządzenia. Raz powiadano, że to co jest w Polsce, jest naśladowaniem obcych wzorów, raz znów, że do obcych wzorów nie dorasta. Raz straszono nas odosobnieniem, które musi grozić dyktaturze polskiej wśród regimów demokratycznych, by dziś znowu straszyć nas tem, że rodząca się solidarność dyktatur musi być antypolska i dlatego należy szukać innej solidarności. Wyzyskiwaniem powierzchownych i fałszywych nieraz paraleł utrudniano wysiłek szukania istotnych zbieżności, jak i istotnych odrębności. Dziś, gdy równocześnie opozycja nacjonalistyczna usiłuje (mimo ostrzeżeń rozsądniejszych swych przyjaciół) legitymować się jako polskie dziecko hitleryzmu, a opozycja socjalistyczna usiłuje tęższamą genealogję przyczepić systemowi rządzącemu — dziś właśnie jasne zdanie sobie sprawy z odrębności polskiego systemu jest bardziej niż kiedykolwiek konieczne.

Rzuca się tu w oczy przedewszystkiem fakt jeden: polska „dyktatura" jest jedyną, która usiłowała pogodzić istnienie silnego rządu z utrzymaniem opozycji jako współczynnika życia parlamentarnego, i której się to w wielkiej mierze udało. Polska „dyktatura" potrafiła uniknąć stworzenia faktycznego czy prawnego monopolu działalności politycznej dla jednego stronnictwa. Równocześnie zaś potrafiła uniknąć tego chaosu zmiennych większości parlamentarnych, pod jakiego ciężarem nawet Francji tak trudno jest dziś przetrwać. Potrafiono w Polsce oddzielić funkcję rządzenia, która musi być skupiona w jednem ręku, która musi być kierowana jedną ideą i jedną myślą, która musi być trwała zarówno w swej treści — jak i trwała w czasie — od funkcji wytwarzania opinji publicznej, która nie powinna być zunifikowana, ale musi być różnolita, która musi być swobodna. Tę pierwszą funkcję skupiono tam, gdzie jedynie może istnieć — w ręku rządu — tę drugą pozostawiono również i opozycji. Czy umiała ją wyzyskać, czy umiała wyrzec się na pewien okres czasu ambicyj rządzenia a ograniczyć się do ambicyj współtworzenia społeczeństwa polskiego — to inne zagadnienie, odpowiedź, na które nie zależy od rządzących w Polsce, zależy jedynie od opozycji.

Nietylko w okresie rządów „dyktatorskich" nie wykreślono w Polsce opozycji z życia politycznego, nie uniemożliwiono jej działania, nie ograniczono praw obywatelskich, nie ograniczono swobody — utrzymanej w ramach prawa — opinji. Również i w projektach zmiany konstytucji Polski „system dyktatorski", nie narusza tych zasad demokratycznych, nie narusza tych swobód, a pragnie jedynie uniemożliwić ich wyzyskiwanie dla anarchizowania

ARTUR SCHROEDER.

W przededniu.

(Fragment z powieści).

Jadwiga od dwu godzin poprawia zadania i robota idzie jej coraz ciężej. Głowa ją dzisiaj boli, oczy pieką, że musi je przymrużać. Bo też mała lampka naftowa rzuca mały krąg światła na rozłożone zeszyty. Z jednej strony cały stos już poprawionych, z drugiej spora jeszcze sterta. Czerwony atrament, którym podkreśla błędy i pisze uwagi, jakby drgał, litery się ruszają, wysuwają, zwężają, to znowu rozszerzają, odrywają od papieru i wpadają kłującemi igłami w źrenice. To wina tej lampki — myśli — a zapomniała kupić nową podczas ostatniego pobytu w miasteczku. Tyle było latania, tak mało czasu. Dobrze, że zdołała jeszcze kupić książki potrzebne do czytelni i poradzić się w sprawie założenia sklepiku.

To ostatnie tak ją widocznie pochłania, że wstaje od stołu, rozprostowuje ramiona, podchodzi do okna. Za małemi szybami miecie śniegiem, słychać szum wiatru, łamiącego kruche palce drzew, rosnących tuż przy domu. W kilku chatach pełga światło po krzyżach okiennych, na rozstaju dróg, zawianych teraz prawie doszczętnie śniegiem, majaczeje kapliczka, ulubione miejsce spoczynku Jadwigi latem, (trzeba coś zrobić z tym kapitalnym świątkiem gotyckim wewnątrz, który się rozlatuje), ktoś z trudem brnie w śniegu, skrzypią daleko płozy sań i słychać pogłos wyjącego gdzieś na obejściu psa.

Jadwiga dłonią wyciera zapoconą szybę, robi to jednak machinalnie, gdyż nikogo nie wypatruje a pejzaż tutejszy zna doskonale o każdej porze roku. Już czwartą zimę rozpoczęła na tej zapadłej wsi wschodnio-galicyjskiej. — Palec kreśli podświadomie prawie na niestartej jeszcze części szyby cyfrę 4. Ściera to, wysusza dłoń chusteczką i ma już odejść od okna, gdy wtem przypomniała sobie, że właśnie za kapliczką w bok, tam gdzie zaczyna się szereg chałup, jest jedna stosowna na założenie wymarzonego sklepiku. Nie widać jej stąd, choćby nie wiem jak wykręcać szyję, jak to właśnie teraz czyni, bo trzeba przejść jeszcze kawałek drogi, poza te wierzby, które teraz nastroszyły zlodowaciałe pręty włosów na bulwiastych głowach i przykucnęły po babsku nad rowem, z którego wiatr wydmuchuje właśnie sypki miał śniegu. Leci to wprost na wierzby, obsypuje im plecy, że wyglądają, jak ludzie od młynarza, wynoszący worki z mąką. Młynarz. Wojciech Róg! Tęgi człowiek! Jej protektor we wsi. Dziekan go nie lubi, bo jest za głośny we wsi i — jak twierdzi — przewraca chłopom we łbach. „Pani, jako nauczycielka, nie powinna z nim za wiele przystawać. Nie podobają mi się jego przekonania". „Nic przecie złego nie robi. To wybitna tutaj indywidualność..." „Te, te! indywidualność, a do kościoła czasem zapomina przychodzić". „Powiem mu to". „Od tego ja tu jestem. Pani nie jest moim wikarym" — dodaje, rozszerzając swą dobrotliwą twarz w uśmiechu. „Choć szkoda! Gdyby Pani była mężczyzną i miała powołanie... Ma pani zdolności jednania sobie tutejszych ludzi. A to nie łatwo. Dwie poprzedniczki pani prawie uciekły. Tu lud ciemny. I ta mieszana narodowość. To najgorsze. Ale z tym Rogiem ostrożnie". „Nie zje mnie przecie". „Ale nie wiedzieć, co w nim siedzi, w tym pyskaczu. Jeśli to socjalista i Rada szkolna dowie się. No, nie byłoby dobrze. Swoją drogą ta Rada mogłaby wystarać się o lepszą szkołę, by nie wynajmować izby w chałupie. Wstyd poprostu dla polskiej szkoły. Trzebaby przez posłów do Wiednia". „Może właśnie Róg kiedyś zostanie posłem i wtedy..." „Pani znowu z tym młynarzem? Ale, jakże się Pani mieszka u tej Pierogowej? Też baba pyskata, ho, ho! Że też to na takie wygnanie przysyłają panny i to z dobrego domu" — zatroskał się nagle.

Jadwiga uśmiecha się na wspomnienie tej rozmowy, a może na wspomnienie Roga, który od kilku dni zaniedbuje pracę i pochłonięty jest projektem założenia sklepu. Żeby to zwykły sklep! Ale to ma być spółdzielnia, potem większa kooperatywa. Najpierw jedna izba, potem może cały dom, a w nim obszerna czytelnia, salka na przedstawienia... Ten kąt to ważna placówka. Specjalnie się o nią starała, pomimo protestów matki. Niedaleko granicy rosyjskiej. Można niejedno przemycić tam na drugą stronę. Przygotować. Właśnie przygotować! Jasiek, jej brat, kochane chłopczysko, siedzące teraz pewnie na jakimś wykładzie na Uniwerku, lub też tłukące się po prowincji z odczytem o konieczności organizowania się i uświadamiania, mówił jej niedawno, że w tajemnicy przed władzami tworzą się po miastach i wsiach jakieś związki, mające na celu przygotowanie do wystąpienia kiedyś... Musi się jeszcze dokładnie go wypytać. Ma tu być z odczytem. Tylko gdzie to urządzić? Trzeba pomyśleć. Jej pogadanki odbywają się w czytelni, w izbie gminnej. Mało miejsca. I czy zgodzą się?

Odeszła od okna, spaceruje po maleńkim wnętrzu, właściwie kręci się prawie w jednem miejscu, między stołem, łóżkiem, ławą z miednicą i piecem. Pierogowa napaliła w nim dobrze, bo jest aż za ciepło. Za to rano trudno wstać, tak wywieje. W pewnej chwili wzrok jej pada na stojące przy drzwiach buty z cholewami, dar brata. Coby bez nich poczęła. W zimie śnieg powyżej kolan, na wiosnę i w jesieni błoto, również prawie do kolan. A do „szkoły" (jedna izba i sześćdziesięcioro dzieci na dwie zmiany) kawał drogi. Poczciwy ten Jasiek! Musi mu zawieźć jeden z tych ślicznych kilimków chłopskich, które wiszą tu na ścianach w jej stancji. Trzeba jednak zabrać się dalej do poprawiania zadań. Jeszcze tylko zerwie z kalendarza na jutro. Będzie 9 grudnia 1913 roku.

Znowu pochyla się nad zeszytami i znowu oczy ją bolą, atrament czerwony drga w krzywych linjach. Trudno, skończyć musi. Dzieci piszą już lepiej. Nawet często wcale dobrze. I taki temat w drugim oddziele: „Co wiem o Polsce?" Wprawdzie tego nie ma w wydrukowanym planie, ale... no, trzeba było spróbować. Mówiła o tem na pogadance z dziećmi po urządzeniu wieczoru św. Mikołaja. Różnie to tam teraz jest w tych zeszytach.

Jadwiga widzi w każdej literze, nabazgranej niezgrabną, już spracowaną przy gospodarstwie ręką, myśli tych dzieci, niedołężnie wydobywające się z tępych mózgów, w które z takim zapałem i trudem starała się wtopić najprymitywniejsze pojęcia o polskiej ziemi i jej historji. Naturalnie nie szło jej o wyuczenie całej historji, niemożliwą jest rzeczą w trzech, czterech zdaniach zmieścić tego, co jest całem życiem, marzeniem i tęsknotą Jadwigi i dla czego zamknęła się w tej odludnej, nędznej wsi — chciała tylko, żeby dzieci wiedziały, że jest Polska, a nie Austrja i że była kiedyś wielka. Kiedyś powie im, że jeszcze będzie tak wielka, jak dawniej. Tylko tego już zadać na zadanie nie może. Coby powiedział pan inspektor, który i tak zwrócił jej uwagę, że wisi Kościuszko, Pułaski (zabrała z domu stare sztychy) i karton z pocztem królów polskich, a niema „najjaśniejszego pana". Czuło się, że mówił to wielkiemi literami, ona jednak musi myśleć małemi.

Jadwiga uśmiecha się przytem, podpisuje notę i bierze nowy zeszyt. Brudne to, pomiętoszone, wyplamione, noszone w płótniance lub za pazuchą, cuchnie potem i łachami, ale jakieś bliskie, cząstka tych małych, dla których chce być nie tylko zwykłą nauczycielką, ale światłem, pocieszeniem, objawieniem czegoś lepszego, niż to codzienne, twarde życie w zaduchu nędznej izby, gdzie bardzo często śpi się z jałówką i kurami. A może dlatego piszą „jak kura łapą?" Uśmiecha się znowu, tylko teraz uśmiech ten ma wyraz litości i smutku. Jeszcze kilka zadań i nagle głowa niżej się pochyla, czerwony atrament już nie kłuje w oczy, przeszło zmęczenie, oddech staje się szybszy, jakaś dogłębna radość wydobywa się lekkim rumieńcem na twarz. Czyta raz jeszcze:

„Polska to wielgi kraj. Dawni byli w ni króle, tak jak tera nasz cysorz i bili niemców i chodzili w sukmanie jak piast (małe p) i sprawiedliwie sądzili lud polski i inni cysorze się im kłaniali o prosili o pomoc. A Jadwiga królowa polska jest świenta a niemce nigdy nie miały świentej cysorzowej, bo Panbóg nie kce niemców w niebie, bo zabrały nam z moskalamy kraj i pomsta na ni przyndzie. A tata muwił, że my znowu odwojujemy Polskę i nasza pani nauczycielka raz muwiła o tem z tatą, co daj Boże amen".

Jadwiga pochyliła się jeszcze niżej nad tymi kulasami, tak prawie nisko, że dotknęła wargami brudnej, zaplamionej kartki. Potem odwróciła zeszyt, by popatrzeć na nazwisko. Naturalnie Jędrek Róg, syn młynarza. Jakżeby inaczej! Po ojcu idzie, pędrak kochany, mędrala szkolny, psotnik nieszkodliwy. Trzeba to jednak schować — sobie na pamiątkę, no i, by nie wywołać ataku apoplektycznego pana inspektora. Nowy zeszyt mu kupi, bo i tak zabazgrał już cały, a na jedną stronę wylał atrament. Ciągle się uśmiecha i starannie składa zeszyt. Usta jej drgnęły w jakimś szepcie, nie kończy go jednak, bo do izby wtacza się okrągła Pierogowa.

— Pani nauczycielce zgrzałam mleko. Już ósma dochodzi. Potrza co jeszcze?

— Nie, dziękuję.

— Też pani tak psuje oczy nad tem pisaniem.

— Muszę. Jestem od tego.

— A bo to potrza?

— Jakto? Przecie bez czytania i pisania człowiek jest jak bez ręki.

— E, ja ta uchowałam się prawie czterdzieści roków, pisać nie umiem a ręców mi nie ubyło. Są jak się patrzy. I pięcioro wychowałam. Szkoda na to oczów i dzieciska się odrywa od pomocy przy domu. Najgorzej w lecie. Jak ma być uczenie, to tylko w zimie. Panienka też mogłaby siedzieć w mieście w pięknych izbach, a nie tu, na odludziu. Wydać się nie można, bo chłopów odpowiednich dla pani przecie niema.

— Mam czas jeszcze. Teraz co innego mam do roboty.

Urwała, bo widziała, że Pierogowa ma ochotę się rozgadać. Oparła się po chłopsku o futrynę drzwi, grube ręce założyła na wystają-

do Polski, gdy nagły odwrót wojsk naszych zamiar ten unicestwił. Zdobyli tylko straszną wiadomość, że obaj synowie zginęli, a po powtórnem wejściu bolszewików do Żytomierza pani Zygmuntowa została w swym dworku samotna, bo generała bolszewicy wywieźli do Moskwy i odtąd wszelki ślad jego zaginął.

Tak się zakończył ostatni akt tej karjery niezwykłej. Stary generał ginie w podziemiach bolszewickiej „czeki", a dwóch chłopaków jego krwi — oraz trzeci, syn siostry stryjecznej Faustyny z Paszkowskich Chodkiewiczowej, szesnastoletni kadet lwowski, Karol Chodkiewicz, który zginął w powstaniu śląskiem — tych troje prawie dzieci objęło, zda się, śmiertelnym uściskiem rozgrodzoną wówczas Polskę, bo Wacław padł od kuli moskiewskiej na froncie północno-wschodnim, Tadeusz zamordowali Ukraińcy pod Lwowem, na południu, a Karol zginął od kuli niemieckiej na szańcach śląskich, na zachodzie.

DR ANTONI KNOT.

Stefan Batory wobec magji i alchemji.

Przed czterdziestu pięciu laty ogłosił Aleksander Kraushar książkę p. t.: „Czary na dworze Batorego" (Kraków 1888). Rzecz ta i parę lat przedtem ogłoszona rozprawa Adolfa Pawińskiego: „Batory jako myśliwiec" (1882) stanowią właściwie po dzień dzisiejszy w literaturze naukowej jedyne opracowania dotyczące życia domowego króla i jego prywatnych zainteresowań. W ostatnich latach przybyła trzecia rozprawa podpisanego o „Dworze lekarskim Batorego" (Poznań 1928), przedstawiająca stosunki króla z medycyną i medykami oraz niezwykle żywy interes tego monarchy dla sztuki Eskulapa. Zasługą Kraushara było zwrócenie po raz pierwszy w nauce uwagi na stosunek króla do magji i alchemji. Należy jednak stwierdzić, że w publikacji tej nieścisłość naukowa, usterki rzeczowe oraz zbyt pochopne wysnuwanie wniosków idą w parze ze zbytnią swobodą gawędziarską i z dążnością do sensacyjnego naświetlenia całego opowiadania. Omawiał tutaj Kraushar pobyt na dworze królewskim dwóch magów i mistyków angielskich, którymi byli: Jan Dee, zwany Devus, Dr medycyny, alchemik i nadworny astrolog królowej angielskiej Elżbiety oraz jego medjum Edward Kelley. Do Polski sprowadził ich Olbracht Łaski, wojewoda sieradzki, znany protektor alchemji. W 1585 roku w kwietniu i maju bawili oni wraz z Łaskim na zamku Niepołomickim i uzyskują kilkakrotnie posłuchanie u króla. Podczas ostatniego posiedzenia (27 maja) doszło do sceny wywołania duchów, które przez usta Kelley'a potępiały dotychczasowe życie króla, ich zdaniem pełne bezbożności i grzechów. Sam Kraushar rolę, jaką obaj Anglicy na dworze królewskim odegrali, zbytnio przecenił; był to tylko drobny epizod, który na Batorego nie wpłynął, a zakończył się wypłatą 800 florenów na wynagrodzenie magów, którzy zresztą przez cały czas pobytu w Polsce inspirowani byli przez Łaskiego i wyzyskiwani do jego osobistych celów.

Pomijając wywody Kraushara, które niewątpliwie stanowią jednak cenny przyczynek do charakterystyki króla, stwierdzić należy, że Batory, jako człowiek swej epoki rzeczywiście wykazywał skłonność do alchemji i astrologji, co należy u niego połączyć z zainteresowaniami naukowemi, a stąd w pewnej mierze położyć na karb dolegliwości i cierpień fizycznych. Nie będzie to oczywiście zamiłowanie tak głębokie jak n. p. u współczesnego mu Rudolfa II; garść jednak przekazanych wiadomości źródłowych pozwala nam poznać króla Stefana i z tej strony.

Wiadomo np., że uciekał się król do pomocy astrologicznych horoskopów. Radził się astrologów, gdy wyjeżdżał do Polski, a Bielski zanotował, „że gdy król chciał odwlec termin koronacji, czekając na przedstawicieli Litwy, to wiedział, iż „matematycy nie radzili się śpieszyć i złe czasy kładli". Chodzi nam jednak w niniejszym artykule o nieznany dotąd należycie stosunek Batorego do jednego z najgłośniejszych w II poł. XVI wieku alchemików, magów i lekarzy.

Był nim Leonard Thurneisser, zwany „zum Thurn" (1530—1596), lejbmedyk elektora brandenburskiego Jana Jerzego. Życie tego człowieka to jakby awanturnicza powieść. Był synem złotnika z Bazylei; wcześnie wyuczył się rzemiosła ojcowskiego, a potem jako młody chłopak był przez czas jakiś sługą i lektorem u jednego z bazylejskich lekarzy paracelsistów i w ten sposób miał możność już za młodu zetknąć się z ideami sławnego Paracelsa. W 17-tym roku życia żeni się z wdową, wnet jednak popada w długi lichwiarskie, co zmusza go do opuszczenia (1548) rodzinnego miasta. Odtąd przez 10 lat wędruje po świecie, naprzemian jako złotnik, rytownik i żołnierz zaciężny. W 1558 roku przybywa do Konstancji i uzyskawszy rozwód, żeni się po raz wtóry, poczem udaje się do Tyrolu, gdzie urządza z powodzeniem kopalnię i hutę żelazną. Przedsiębiorstwem tem zwraca na siebie uwagę arcyksięcia austrjackiego Ferdynanda, który wysyła Thurneissera na swój koszt w podróż naukową dla pogłębienia studjów górniczych. Podróżuje tedy „stypendysta" książęcy po Szkocji, Hiszpanji, Portugalji, następnie zwraca się na Wschód do Grecji, Małej Azji, Syrji i Arabji. Po powrocie zastaje swe przedsiębiorstwo kopalniane w ruinie. Rzuca zatem górnictwo i bierze się do studjów nad medycyną Paracelsa, alchemją i astrologją, w czem wkrótce robi tak znaczne postępy, że już w 1569 roku wydaje drukiem pierwsze swe dzieła z tego zakresu. Karjera jego zaczyna się z chwilą uzyskania stanowiska lekarza przybocznego elektora brandenburskiego, którego żonę Sabinę z ciężkiej choroby szczęśliwie wyleczył. Od tego czasu zamieszkał stale w Berlinie, gdzie pogłębiał swe różne interesy; wydawał kalendarze astrologiczne, stawiał horoskopy, sporządzał lekarstwa wszelkiego rodzaju oraz środki kosmetyczne, nie cofał się przed lichwiarstwem, a nawet czynił próby przemiany nieszlachetnych metali w złoto. Wzrastały rozgłos i sława, rósł majątek. Zawiść ludzka jęła posądzać Thurneissera o związki nieczyste z djabłem. Posiadał on własne wielkie laboratorjum i własną oficynę drukarską. W rzędzie licznych klientów jego spotyka się i panujących i licznych książąt, a każda porada kosztowała drogo. Korespondencja jego, tak krajowa jak i zagraniczna, była tak bogata, że do jej prowadzenia utrzymywał 12 sekretarzy. W pełni europejskiego rozgłosu, obsypany łaskami księcia-elektora, znika nagle w 1584 r. Thurneisser z Berlina, ucieka do Włoch i Szwajcarji, aby wkońcu po utracie wszystkiego, co posiadał, umrzeć w nędzy w klasztorze w Kolonji w 1596 roku. Zgubiły go prawdopodobnie nieudałe eksperymenty przemiany srebra książęcego w złoto.

Stosunki owego Thurneissera z Polakami, a w szczególności z Batorym są prawie, że nieznane. Na pewne związki jego z królem wskazał nieco dokładniej autor niniejszego artykułu we wspomnianej na wstępie rozprawie. Dalsze nieporuszone tam szczegóły da się uzyskać na podstawie przebogatej korespondencji Thurneissera, przechowanej w Bibljotece państwowej w Berlinie (Ms. germ. fol. 420—26, 521, 599 i in.), z której parę zaledwie listów wydał niedbale Th. Wotschke w 1925 roku, przy dwóch rozprawach z dziejów reformacji. Zasługuje ta korespondencja na dokładne zbadanie, a jej „polska" część na wydanie drukiem. Rachunki dworskie notują pod rokiem 1578, że gdy król w lecie bawił we Lwowie, przybył na dwór niejaki Benedictus von Berlin Almanus cum libris atque literis od Leonarda Thurneissera. Przywoził wysłaniec berliński królowi dzieło maga berlińskiego, wielki, bogato ilustrowany zielnik p. t. „Historia sive descriptio plantorum...", wydane w Berlinie w 1578 roku. Wychodziło to dzieło bowiem z umieszczonym na wstępie przywilejem Batorego (z dn. 27. I. 1577), w którym zabraniał drukować i tłumaczyć dzieło lekarza berlińskiego w Polsce w okresie 10 lat, od chwili ukazania się pierwszego wydania. Podobne przywileje wystawili dziełu temu wcześniej Maksymiljan II i Franciszek Medyceusz. — Wiemy, że w otrzymaniu tego przywileju pośredniczyli Jan Ostroróg oraz Stanisław Bojanowski, pacjenci Thurneissera z lat wcześniejszych, ten ostatni znany poseł i dyplomata.

Zwracał się również król do Berlina z prośbą o porady lekarskie. Z porad tych korzystał już przedtem Zygmunt August (jak to zanotował Bielski). Pisał Batory w 1578 r. (w maju) ze Lwowa, pewnie podczas pobytu owego wysłannika list do Thurneissera z prośbą o lekarstwo przeciw możliwemu otruciu, a już w lipcu tegoż roku otrzymał żądany lek, jakieś alexipharmacum, przyrządzone wedle prawideł kabalistyki i magji naturalnej, jako antidotum przeciw wszelkiej truciźnie. Starania o owe lekarstwo należy połączyć z usiłowanemi zamachami na życie króla (otrucie), jakie miały rzeczywiście miejsce w 1578 roku.

Agentem Thurneissera na Polskę, działającym w Krakowie był niejaki Jan Teobald Blasius, w l. 1574—77 rektor szkoły Braci czeskich w Lesznie, ściągnięty tam przez Rafała Leszczyńskiego, uczeń Sturma, dobry latynista i biegły greczysta, który rzuciwszy zawód pedagoga, zajął się medycyną, w której za przewodnika i mistrza obrał sobie właśnie naszego Thurneissera. Praktykuje on w Krakowie, a nawet przez czas jakiś w Siedmiogrodzie (1579—81), a zarazem jest czynnym w kole różnowierców polskich. Najzupełniej oddany Thurneisserowi robi w Krakowie reklamę dla jego medykamentów, puszcza w obieg berlińskie specyfiki, kalendarze, jest wiernym informatorem w sprawach dworskich (przez liczne znajomości) i politycznych, co Thurneisser zużytkował w swych horoskopach, przeznaczonych dla Polski, a które we wielkiej ilości krążyły u nas w odpisach; nadto tłumaczył Blasius dzieła historyczne, np. J. Łasickiego: „Clades Dantiscanorum" na język niemiecki i przypisywał je Thurneisserowi. On to wreszcie starał się również u króla o wspomniany przywilej drukarski.

Z korespondencji lejbmedyka elektora brandenburskiego, prowadzonej z Blasiusem i innymi adresatami w Polsce, a sporo miał pacjentów nawet wśród magnaterji, da się wyłowić niejeden ciekawy szczegół w odniesieniu do króla Stefana, z których na tem miejscu parę tylko da się przytoczyć. Informuje nas np. wspomniany Bojanowski, że król chciał, by Thurneisser odwiedził go w Polsce i obiecywał nawet wystarać się u elektora o odpowiednie zezwolenie. Interesowały króla wiadomości Thurneissera, jakie rzekomo miał on posiadać w odniesieniu do górnictwa polskiego. W pewnym liście mowa jest o jakimś gatunku złota, które posiadał król, co do doskonałości którego chciał zasięgnąć rady alchemika berlińskiego i zapytywał, czy da się z tego zrobić „aurum potabile".

Często słyszymy o przesyłanych na dwór królewskich „medicamenta chymica", o przepisach alchemicznych i różnych receptach. Przeszkadzali Thurneisserowi jego wrogowie na dworze, których on zwie „iniqui calumniatores", a wiemy skądinąd, że największym z nich był lekarz Batorego Wojciech Oczko i on to podważał wiarę króla w szarlatańskie sztuczki przeciwnika Galena, a zwolennika Teofrasta Bombasta Paracelsa.

MARJA WITKIEWICZÓWNA.

Adam Chmielowski.

(Brat Albert.)

Od Redakcji: Pobyt i działalność artystyczna Adama Chmielowskiego (Brata Alberta) w Warszawie znalazły już niegdyś oświetlenie w „Czasie" w wspomnieniach Heleny Modrzejewskiej, drukowanych w naszem piśmie w r. 1910.

Pan Adam — jak go nazywaliśmy, był to dobrze wychowany — wykwintny pan — uprzejmy dla dam — starannie zawsze ubrany, czasami bardzo wesół, dowcipny, nawet potrafił tak się cieszyć życiem, że w kompanji przyjaciół tańczył mazura, pomimo — że jego sztuczna noga (proteza) często mu sprawiała figle i odmawiała posłuszeństwa nietylko w mazurze, ale nieraz na ulicy. Wtenczas siadał na chodniku i wołał o dorożkę, krzycząc, że mu się noga złamała. Dorożkarze pomykali, bo myśleli, że trzeba będzie wieźć do szpitala, a za to się nic nie płaciło. W tych wypadkach z nogą — jak i wogóle z życiem praktycznem późniejszego brata Alberta — był pogotowiem ratunkowem Stanisław Witkiewicz. Kiedy go przyprowadził do domu Matki w Warszawie powiedział: „Mamo, Adam nie ma nikogo, trzeba się nim zaopiekować", i odtąd, Adam był codziennym naszym gościem. Działo się to po jego powrocie z Monachjum, w latach 1876—7.

Mieszkał w pracowni mego brata, która mieściła się w Europejskim hotelu. Jaka tam pracownia! Obszerna izba, dawniej zamieszkana przez praczki hotelowe, o niezłem oświetleniu, umeblowanie, jeżeli tak można nazwać, najbiedniejsze. Łóżko żelazne dla pana Adama i jakiś lichy tapczan dla Stacha. Wysoko pod niebem piąte piętro — liche wąskie schody, prawie niemożliwe do zejścia dla kaleki. Stach go brał pod ramię, Adam trzymając się poręczy spuszczał się w dół, z tego robiła się zabawa, przedstawienie dla gawiedzi hotelowej, a przecie oni obaj nie byli już dziećmi, byli to artyści, czem zostają na całe życie.

Witkiewicz wtedy miał lat 26 — Chmielowski był od niego starszy o lat kilka. W pracowni nietyle było malarstwa, ile gawęd. Schodzili się do nich koledzy — przyjaciele: Józef Chełmoński, Antoni Piotrowski, Piętkowski, Maszyński i wielu innych. Nędza była wówczas wielka wśród braci malarskiej, ale humor im dopisywał; śpiewali, rozprawiali, urządzali jakieś przedstawienia i wieczorem wynosili się na ulicę i tam jeszcze nie tamując wesołości i figlów, i kochany pan Adam nie był ostatnim w tych artystycznych imprezach.

No, ale jednak i pędzel i paleta była w robocie, przychodziła modelka Ludwika, ówcześnie jedna na całą Warszawę. Pracowali ale nie sami; przyłączał się też Piotrowski, zdaje się Masłowski, nietylko, żeby mieć światło, pracować, ale, żeby ze wspólnej kasy opłacić Ludwikę — o której pan Adam mówił, że ma płaską twarz i po sześć palców u nóg.

Dziwne to było jego malarstwo; w samem wykonywaniu obrazu był inny niż każdy malarz. Tamtym w naszkicowaniu obrazu czyn szedł razem z myślą, z koncepcją — u Chmielowskiego była to kontemplacja, powolne chodzenie pędzla po płótnie, jakby technika była dla niego za ciężka, jakby rysować nie umiał, czy nie chciał — kładł dużo farby i temi plackami wywoływał ten efekt kolorystyczny, który Witkiewicza wprowadzał w zachwyt, wołał „patrzcie, jedną grudką farby on więcej namaluje, niż my, którzy tak ciężko pracując, nie czynimy nic dla sztuki". Mówił to człowiek, który go tak gorąco kochał i wierzył, że on nie poprzestanie tylko na kładzeniu farb, ale stworzy arcydzieło kolorystycznego malarstwa. Z obrazów powstałych w pracowni Europejskiego hotelu nie pozostało nic! „Ołtarz miłości" ładnie skomponowany, parę portretów kobiecych nie skończonych i nie udanych. Mój brat drogi — teraz nie usłyszy jak ja to mówię — to nie był malarz, to był teoretyk sztuki — filozof zresztą — ale nie twórca obrazów. Tak małą ilość wogóle pozostawił dzieł, parę obrazów malowanych jeszcze w Monachjum, „pogrzeb samobójcy". Dlaczego taki temat? Tamte malowane w Warszawie uważał za liche, nie kończył i gdzieś przepadły.

Siedząc w domu mojej matki codziennie od 3-ciej, kiedy przychodzili ze Stachem na obiad, do wieczora brał arkusiki papieru i piórkiem rysował jakieś aktualne wypadki dnia, ale też nie było w tem poprawnego rysunku. Albo na luźnych kartkach robił notatki, wciąż jakby się przygotowywał, że coś będzie pisał; czytał mamie, bratu czasami — były to spostrzeżenia odnoszące się do malarstwa, ale zupełnie nierzeczowe. A naprawdę zajęciem jego było myśleć; umysł czysto kontemplacyjny, zdawał się niezdolny do czynu. A jakimże malarzem czynu właśnie się okazał wtedy, kiedy się w nim obudziła miłość chrześcijańska. Nic dla siebie nie potrafił uczynić, nie mógł zdobyć się na jeden dzień egzystencji własnej, ani jednej chwili szczęścia, on co potem jako Brat Albert tysiące karmił i setkom ludzi, Braciom jego dawał szczęście na całe życie. W tem leży cud — czy poza tym największym trzeba szukać innych? W Adamie Chmielowskim było ogromne poszanowanie jednostki — raczej zachwycał się ludźmi, niż krytykował, naiwny był w sądzie o nich, nawet wtenczas, kiedy dowcipkował na ich konto. Antyteza z Witkiewiczem: ten to był umysł ściśle krytyczny, nietylko w malarstwie, ale i dla ludzi, którzy nie stali na wysokości w sensie etycznym, bezkompromisowy, ciętem piórem i słowem burzył porządek świata spokojnego. Dusza pełna miłosierdzia dla biednych i cierpiących, — od zdrowych i sytych, miał wysokie wymagania. Brat Albert, od niego doświadczył tak dużo miłości, że z jego duszy czerpał zapas energji na przyszłe życie nie uświadamiając sobie wtenczas ile tej siły będzie potrzebował.

Wówczas nie było między nimi żadnych dysput, żadnych nieporozumień, ale drogi ich już się rozchodziły. Każdy szukał swojej. Powierzchownie stosunki były tak samo bliskie; Witkiewicz zachwycał się talentem kolorystycznym Chmielowskiego i sądził, że gdyby on tylko chciał, zostałby wielkim malarzem. A tamten, bez opozycji zasłuchiwał się w dowodzenia Witkiewicza, szukającego w sztuce nowych prądów.

Obaj lubili przedstawienia teatralne, ale wtedy, gdy na scenie był Szekspir, Ibsen i inni wielcy twórcy. Chodziliśmy do teatru najczęściej jak do Warszawy przyjeżdżała pani Helena Modrzejewska. Oni dwaj widzieli w niej wielką artystkę, talentowi której składali największy hołd. Po przedstawieniu państwo Chłapowscy zapraszali do siebie, gdzie rozmowa o wielkiej sztuce scenicznej pogłębiała wrażenie przeżyć w teatrze. Wracali późną nocą do swojej ubogiej pracowni, żeby mówić i marzyć o wielkiej artystce. „O Frau Helene, wie sind sie schöne", śpiewali. Gdy ona opuszczała Warszawę, pogrążali się w smutek i tęsknotę.

Był jeden czynnik w duszy Brata Alberta, któryśmy wówczas dostrzegli; to był kult dla chleba. Czy już rozwijał się w nim ten pierwiastek miłosierdzia i czy się domyślał, że się stanie ochmistrzem rozdawania chleba głodnym rzeszom? — żadnego pokarmu tak nie szanował, jak właśnie kęs chleba. Był zwyczaj w domu moich rodziców, że dzieciom ani służbie nie wolno było rzucać okruszyn chleba, jeżeli kawałek chleba spadł na podłogę trzeba go było podnieść i pocałować. Zachwycało to pana Adama, kiedyśmy opowiadali o tym zwyczaju jaki był w Poszuwszu (to był dwór rodzinny Witkiewiczów). Jeżeli kogo Brat Albert chciał bardzo pochwalić, a odnosiło się to do matki naszej, mówił: pani Witkiewiczowa jest dobra jak chleb. Później, później, kiedyśmy się spotkali pod Tatrami — gdzie on już jako zakonnik przyjeżdżał często na Kalatówki do klasztorku Braci Albertynów — (Albertów, jak ich górale nazywali) raczył niejednokrotnie mnie odwiedzać na Antałówce i zjawiał się zawsze z bochenkiem chleba razowego, wypieczonego przez Siostry na Kalatówkach. Przywoził mi to, co było symbolem najwyższych darów boskich, i nauczył swoich braci, żeby kęs chleba więcej szanowali niż pieniądz, i dotąd tak jest, że ci ludzie szaro biednie ubrani, chętniej przyjmują jałmużnę, w postaci ziarna, mąki, niżeli pieniądze.

Powiem szczerą prawdę, że nikt z nas w Warszawie nie myślał, że ten artysta w duchu, filozof w myśleniu chociaż już i za tamtych czasów miał usposobienie do kontemplacji, co już wyżej powiedziałam; obierze taką drogę życia, takiego trudu fizycznego — człowiek, który był kaleką, chory, — wziął takie brzemię na swoje barki. Powtarzam — czego szukać większego cudu, jak ten, który nad inne dokonał, ale były i widoczne materjalne. O jednym z takich mnie sam opowiadał. W ostatnich latach przedwojennych Zakon III. reguły św. Franciszka zachwiał się. Zakon pełny był opuchlaków (tak Brat Albert nazywał swoich pensjonarjuszy, bo istotnie brał ich z ulicy omal, że nie opuchłych z głodu na odżywianie). Warsztaty pracy wykonane przez zakonników z braku materjału miały stanąć i z rozpaczą brat, który kierował gospodarką przyszedł do starszego brata i powiada: „Już koniec całej roboty, trzeba będzie wszystkich oddalić, rozpuścić, ani zapasów żywności, ani pieniędzy nie mamy". Bardzo się zasmucił Brat Starszy, ale on uspokoił go — że może Pan Bóg ich nie opuści. A sam pogrążył się w modlitwie. W parę godzin przyniesiono mu list od nieznanej osoby — pisany trochę po rosyjsku, trochę po francusku, że jest prawosławną i Rosjanką, ale bardzo interesuje się żywotem św. Franciszka i jego adeptami i gdzieś zagranicą dowiedziała się, że taki zakon jest w Krakowie, tak się tem zainteresowała, że umyślnie, wracając do Rosji, zatrzymała się w Krakowie, żeby się dowiedzieć i parzypatrzeć temu dziełu; więc prosi przełożonego Zakonu — żeby jeszcze dzisiaj przyszedł do hotelu z nią się widzieć, bo ona jutro wyjeżdża. Nie zapamiętałam, czy Brat Albert mówił nazwisko tej pani, czy dyskretnie zamilczał. Nie zawsze był chętny do odwiedzania obcych ludzi, ale w tym wypadku jakaś wyższa siła kazała mu pójść. Otóż ta dobroczynna pani wypytawszy się jakiemi funduszami rozporządza Zakon, po dowiedzeniu się, że nie rozporządza żadnemi a utrzymuje się z jałmużny i z zarobków swoich warsztatów, serdecznie odniosła się do wielkiego dzieła i wręczyła sporą paczkę banknotów na ratunek Zakonu. Brat Albert przejrzawszy ją spieszył z powrotem, żeby jeszcze z wieczora uspokoić Brata prowadzącego gospodarkę, że nie trzeba będzie rozpędzić rzeszy nędzarzy, którzy byli utrzymywani przez zakład, ani zamykać warsztatów, bo pieniądze na to wszystko są.

Można sobie wyobrazić zadziwienie i radość braciszka. Tylko brat Albert tem się nie dziwił, on znajdywał, że wszystko było w porządku, że tak powinno było być, że wielkiemu dziełu Pan Bóg nie da upaść. Jego wiara sprawiała, że myślał o tem jak nawracać niewierzących i zachwianych, ale zdaje się, że mu łatwiej szło nakarmiać głodnych ludzi chlebem, niż zbawiać ich dusze.

Po długiem rozstaniu Witkiewicza z Chmielowskim spotkali się w jak odmiennej fazie, ale tylko pozornie cóż że Chmielowski w szarym habicie zakonnika objawił się Witkiewiczowi w Zakopanem. Gdy się widywali i to często — mówili o sztuce i malarstwie, nie przestał brat Albert interesować się temi zagadnieniami, które go dawniej obchodziły, ale po godzinie takiej rozmowy zrywał się, i krzyczał, precz szatanie! to nie moja rzecz o tem mówić, lepiej ci przyniosę książeczkę o cudach, jakie się dokonywują we Lwowie. Tu masz różaniec, żebyś odmawiał Zdrowaśki. Przyjaciel brał go w objęcia, oddawał mu różaniec i książkę o cudach we Lwowie i mówił: Bracie, ja mam inne roboty i myśli w głowie, woła mnie styl zakopiański, woła kościół, którego urządzenie mnie

cych piersiach i chybotała się powoli całem ciałem na obie strony.

— Dziś muszę dłużej siedzieć. Niech mnie Pierogowa zbudzi jutro o 6 rano.

— Zbudzę, zbudzę, zaśbym nie zbudziła: Nie wczesna godzina. Ale jak to psuje po nocy oczy. I tyle wydaje na kamfinę do lampy!

Jadwiga poprawiała dalej zadania. Pierogową to ubodło. Rzuciła ze złością:

— Jeszcze kiedy pani zaśnie, lampa się wywróci i gotowy ogień, Boże uchowaj.

— Niech się Pierogowa nie boi. Nigdy to się nie stanie.

— Jak se kto tak psuje rozum tom nauką... A moja Nastka to też już zaczyna. Cięgiem by czytała z drukowanego i pisała. Sprałam jom dzisiaj za to.

Jadwiga podniosła głowę.

— Nie róbie tego. Dziewczyna jest zdolna.

— Hale! Księdzem będzie.

— Nauka jest potrzebna.

— Tylko nie dla biednych dziewuch wiejskich. One mają naukę przy krowach, przy gadzinie, w kuchni. Zawracanie głowy.

Jadwiga odsunęła zeszyt i chciała obszerniej wytłumaczyć tej zapracowanej, ciemnej kobiecie konieczność nauki właśnie wśród ludu wiejskiego, gdy wtem zaszurgotało coś w sionce odgraniczającej pokoik jej od mieszkania Pierogów. Słychać było, że ktoś strzepuje śnieg i otrząsa go z butów. Pierogowa uchyliła drzwi, zajrzała za nie i powiedziała z niechęcią:

— Młynarz przyszli. Pewnie do pani. Kulas zatracony.

— Niech wejdzie, niech wejdzie.

— A mleko postawię w piecu.

— Dobrze.

Do izby wszedł barczysty, niski chłop, wyraźnie utykając na jedną nogę, którą złamało mu przed laty koło młyńskie. Starannie przy drzwiach otrząsnął resztę śniegu z kożucha, wytarł obmarzłe wąsy, postawił czapę przy drzwiach. W kręgu światła lampy zajaśniały wesołe oczy. Na policzkach tu i ówdzie widniały płaty mąki. Widać szedł prosto z roboty w młynie.

— Niech pani nauczycielka przebaczy, że tak późno.

— Dopiero ósma.

— Na wsi w zimie to późno. Dobrze, że jestem stary i kulas, boby plotki porobili. Tak, tak, w mieście takich plotek nie robią, jak na wsi. Nie gniewa się pani, że tak mówię?

— Skądże!

— Ale to zima się zabrała do nas. Huczy teraz, jak na Syberji. Taki czas był w powstaniu.

— A pan zawsze....

— Właśnie o to powstanie.

— Niech pan siada.

— Dziękuję.

Usiadł ciężko i zaraz pod stołkiem zrobiła się kałuża z odtajałego śniegu na butach. — Miał lat dobrze po pięćdziesiątce, twarz jednak była dziwnie młoda, ruchliwa, jasna, cokolwiek tylko śmieszna z temi wiecznemi resztkami mąki na policzkach. Ręce były ciągle w ruchu, nawet kiedy milczał zdawał się gestykulacją dopowiadać swe myśli. Widać było, że umysł jego ciągle pracuje. Mówił dobrze, inteligentnie, bo też skończył ośm klas szkoły powszechnej w mieście i lubił czytać. Zawsze w młynie miał książkę i często się zdarzało, że tak się zaczytał, iż koła nie miały już co mleć, tarły się o siebie i zgrzytały. Raz go za to porządnie zwymyślała żona, jedyna istota, której się naprawdę bał.

— Mieliśmy, proszę pani, urządzić coś z powodu rocznicy tego powstania. Pierwszy raz u nas. Ale to dmucha!

Istotnie za oknem rozszalała się wichura i miotło śniegiem tak, że szyby przemieniły się w białe tafle, z poza których sączył się tylko jakiś mleczny poblask nocy. To powiedziane przez młynarza słowo powstanie, wywołało wspomnienia, które kazało im obojgu zamilczeć na chwilę i wpatrywać się w szybę, za którą szamotało się coś, przygotowywało, czaiło, naprężało myśli oczekiwaniem i trwogą.

Na mrozie trzasło gdzieś blisko drzewo i echo tego podniosło się, jak pierwszy wystrzał zapowiadającej się walki.

powierzono, wołają ludzie o książki o Kossaku, o Matejce, o ołtarz z Tatr, a tyle tej młodzieży z gruźlicą najechało do Zakopanego, trzeba mi im radzić, gdzie i jak i za co mają się leczyć, trzeba ich pocieszać, trzeba i na Kalatówki pojechać, zawieźć zakonnikom chleba, cukru, herbaty, widzisz, tyle roboty, a ty mi każesz różaniec odmawiać. Milkł brat Albert i myślał i mówił: Tyś też ewangelista głoś swoje. A kiedy mu Witkiewicz przeczytał przetłumaczone na gwarę góralską kwiatki św. Franciszka, tąk był niemi zachwycony, przebaczył że nie odmawia pacierza. Ale kiedy Witkiewicza przywaliła choroba, kiedy od tej pracy przy kościele i natężonego pisania dostawał gorączki, krwotoku, wtenczas przyjaciela porywała rozpacz— błagał go: „Stachu, jedź do Lourdes — Matka Najświętsza cię uzdrowi“. Ale artysta nie miał czasu dla siebie, ani pieniędzy, uspokajał więc: nic mi jeszcze nie będzie, lepiej; popatrz co zrobiłem — dla choroby nie wychodząc z domu, widzisz projekty ołtarza Matki Boskiej Różańcowej, witraży, drzwi, ławki, a w pracowni zacząłem malować ołtarz św. Jana Chrzciciela. Z podwyższoną temperaturą, z krwiopluciem szedł Witkiewicz do kościoła oglądać roboty. Dawał wskazówki, nieraz siedział całymi dniami. On też na swój sposób chwalił Boga i tak jak zakonnikowi droga do celu była męczeńską tak i artyście za jego bezinteresowną pracę, poświęcenie, rzucano kłody — pod nogi.

Te dwa życia tak były z sobą związane silnie, duchowo, że mówiąc o jednym, nie można nie wspominać o drugim, ale brakuje listów, w ostatnich czasach nie pisywali do siebie, a dawniejsze listy brata Alberta gdzieś się zapodziały. Witkiewicz w roku 1908 opuścił Zakopane, zmożony artretyzmem szukał lepszego klimatu i już od tego czasu nie widzieli się. Chmielowski na swoim biednym wózku przyjeżdżał do mnie na Antałówkę, żeby się o Stacha dowiadywać. Po śmierci mego Brata, która nastąpiła w roku 1915, brat Albert nie przyjechał, widocznie było dla niego spotkanie i rozmowa ze mną przykre — zresztą już nie często bywał w Zakopanem bo nie czuł się dobrze. — Raz go tylko spotkałam na Krupówkach; jechał na swoim wózku, zdaleka mi się tylko ukłonił, fatalnie wyglądał; szara ziemista twarz pełna bólu i zawsze ten habit wyglądał na nim jak nie jego i zawsze miał wygląd wielkiego pana, przebranego w najuboższe i jak więzienne, ubranie.

Wspomnienie moje piszę szczerze i myślę, że to nie ujmuje czci tak wielkiego świętego — znowu wracam do powiedzenia, że największy cud, jaki się nad nim dokonał, to właśnie ten, że człowiek świecki z pochodzenia i wychowania, który przez to powinien był zostać na drodze wygodnego życia, kierowany wyższą siłą wszystko rzuca, żeby służyć Bogu, w najwznioślejszem znaczeniu, bo niszczy w sobie wszystko co było przyziemne, a oddaje siebie tym, których Chrystus najbardziej ukochał — maluczkim. Na tej właśnie zasadzie wolno Go nazywać świętym.



ZOFJA ZAWISZANKA.

Z moich wspomnień o Marsz. Piłsudskim.

Goszyce 2—5 sierpnia 1924 r.

Spędziliśmy trzy dni w tym wiejskim dworze i ogrodzie, w cudną, ciepłą pogodę pamiętnych dni sierpnia: dwadzieścioro osób i On.

Mężczyźni — to wszystko pierwsi ochotnicy ułańscy — ale kilka z obecnych pań nie łączyło dotąd ze Sprawą ani z Nim nic prawie. Mimo to, już w pierwszym dniu, całe towarzystwo „zgrało się“ i zżyło tak ściśle, że bogate, różnorodne nastroje przeżywaliśmy bez śladu dysonansu.

* * *

Rano wśród zupełnej ciszy wchodzi On — poprostu, spokojnie i wesoło (o ile tylko jest wyspany). Podaje rękę każdej i każdemu, zasiada przy stole na swoim fotelu, specjalnie przybranym kwiatami i zabiera się do herbaty. A my Go otaczamy półkolem, najpierw zdala, potem coraz ciaśniej: to Jego cudowne, mądre i dowcipne gadulstwo wciąga nas w rozmowę, ośmiela i ożywia. O pewnym nieprzekraczalnym dystansie nie zapomina się nigdy — a mimo to rozmowa jest swobodna, chwilami nawet gwarna. To tylko w pierwszej chwili, i to codzień nanowo, trochę dech człowiekowi zapiera... Nawet do największego szczęścia można się zczasem jakoś przyzwyczaić!

Odczuwam to wyraźnie, zaprzątnięta w danej chwili przedewszystkiem troską, czy zaryzykować poczęstowanie Go jeszcze szynką? albo, czy Mu ta druga filiżanka nie ostygnie, zanim ją posłodzi — bo ani spojrzy na cukiernicę, tylko gada i gada... Co tu robić?!

A moja córeczka-ośmiolatka tylko czatuje na jakąś chwilę, kiedy szare oczy spoczną na niej z uśmiechniętem przyzwoleniem — kiedy będzie można się przytulić i otrzeć główką o niebieski mundur z kocią pieszczotą... Zdarzają się i takie chwile, kiedy wolno, udając pieska, na czworakach atakować serjo dostojny fotel i popisywać się wyrzucaniem pantofli przez okno!

Obiad — to znowu jedno wielkie gadanie. Istna kopalnia tematów psychologicznych, wojennych, naukowych, opowiadań i przekomarzań. Ofiarą tej dobrodusznej przekorności Komendanta stał się tym razem prof. Leon Kozłowski, ze swoim wieczystym archeologicznym tematem, którym chciał Go koniecznie zabawiać. Miał też za swoje!! Chyba nigdy jeszcze tak mnie nie uderzyła niepospolita wszechstronność umysłu Komendanta, jak w czasie tego pastwienia się nad biednym profesorem. Bo poprzez ironję docinków przewijała się nić poważnej polemiki i świetne riposty, wprost zadziwiające na terenie całkiem Mu dotąd nieznanym i wpośród obiadowego gwaru.

— Jeden procent, powiada pan? jeden procent „znalezisk“ ma określać „zasięg kultury“? — śmieje się, przymrużając oczy. — Więc, wyobraźmy sobie, że myśliwy, idąc przez las, piecze sobie ziemniaki na ognisku. Niechże jeszcze traf zechce, że zostawi tam jaki garnuszek! Po tysiącach lat rzucą się na ten dowód archeologowie i będą przysięgać, że tu była „osada“, bo jest skorupka i ślad ogniska...

— Ależ Komendancie, to nie wystarcza — broni się profesor z odwagą rozpaczy.

— No, no, Wam wszystko dobrze, byle zrekonstruować przeszłość metodą przyrodniczą— dla was niema tajemnic!

Zaśmiewają się wszyscy, a najbardziej sam pan Leon — nawet nie przez chęć ratowania swej ambicji, tylko poprostu dlatego, że ta „złośliwość“, podszyta serdecznością, jakoś nic nie boli...

* * *

Po centralnym punkcie naszego zjazdu — odsłonięciu tablicy pamiątkowej — nadchodzi wieczór, ten najuroczystszy, rocznicowy wieczór 3 sierpnia...

W wiejskiej jadalni długi zastawiono stół, ubrany kłosami i kwiatami, jarzący światłem kandelabrów. Na wielkim fotelu pośrodku zasiadł już Gość najdostojniejszy i najdroższy. Zaledwie drugi dzień tu przebywa, a trudno wprost wyobrazić sobie ten dom bez Niego...

— Nareszcie i ja tu dopłynęłam! — wzdycham z ulgą, sadowiąc się obok.

— A tak.. — odpowiada dobrotliwie i zaraz pochyla się na lewo, by odczytać nazwisko drugiej swojej sąsiadki. — A czemuż to za każdym razem kto inny przy mnie siedzi?

— Komendancie, to coś jak z tymi ordynansami w Magdeburgu! — mruga porozumiewawczo Klara S. z drugiego końca stołu — a On odpowiada głośnym wybuchem śmiechu.

— Cóż to za ordynansy? — zapytuję ciekawie.

— A to, widzi pani, w twierdzy magdeburskiej zauważyłem ze zdziwieniem, że mi co 4 dni zmieniają ordynansa. Pytam, dlaczego tak? więc mi odpowiadają: chodzi o to, żeby się taki zanadto nie przyzwyczaił...

— Aha!... obawiali się, że go Komendant wkrótce „usidli“... Otóż tu, ze sąsiadkami przy stole, jest mniejwięcej to samo... Jednym przewróciłoby się w głowie, a drugie miałyby ciężką krzywdę!

W tej chwili, wśród powszechnej wesołości objęłam oczyma cały stół, konstatując, jak pięknie wyglądają wieczorowe toalety dam, przeplatane oficerskiemi mundurami. Zupełna gala!... Ale teraz patrzeć będę już tylko na profil Komendanta — i mogę doskonale zdjąć szkła, mając Go tak blisko.

Ach, ta twarz!... to nic, to jeszcze nic, że taka piękna. Gdyby można sobie wyobrazić Józefa Piłsudskiego, jako oderwaną ideę człowieka, której potrzeba dopiero dać formę — — to nikt na świecie nie mógłby dlań wymyślić doskonalszego oblicza. Ono m ó w i w s z y s t k o, wyraża całą wielkość wraz z całym subtelnym czarem tej duszy... cóż dziwnego, że patrzy się i patrzy bez opamiętania?

Wszyscy już spostrzegli, że On jest dzisiaj w doskonałym humorze — więc zwiększa się gwar, wybuchają śmiechy — tylko druga najbliższa sąsiadka, młodziutka, Lina W., siedzi cicho, jakby spłoszona: a Komendant, widząc to onieśmielenie, jakby chciał powiedzieć: „No, nie bój się, dziecko!...“

Z powodu jakiejś podawanej potrawy, przypomniały Mu się własne kulinarne próby, dokonywane niegdyś na Syberji.

— Ach, cóż to były za świństwa!! — wołał, chwytając się za głowę. — Nie pojmuję doprawdy, jak ludzie potrafią tak gotować, żeby to można było jeść... Bo na Syberji to było tak: najpierw mieszkaliśmy w kilku razem — i naturalnie tamci towarzysze zajmowali się wszystkiem. Aż mnie to wkońcu zezłościło, że jestem ciągle od nich zależny: postanowiłem pokazać, że i sam dam sobie radę — więc, mimo ich odradzań, przeniosłem się do całkiem osobnej chałupki. Co się tam działo — — tego żadne pióro nie opisze!!! Tylko dzięki bardzo silnej woli mogłem przez kilka tygodni żywić się temi okropnościami, które sam sobie przyrządzałem. Jak zaś wyglądało w mojej izbie — to może sobie w przybliżeniu wyobrazić tylko ten, kto mnie dobrze zna... Otóż, po jakimś miesiącu tej „samodzielności“ mojej — zjawia się raz u mnie właścicielka tej chaty, starsza już, dobroduszna sybirska chłopka. Minę ma jakąś ważną, stroskaną — brodę oparła na ręku — stoi i rozgląda się dokoła z boleścią.

— Czegóż wam trzeba, Matruna Iwanowna? — pytam ją grzecznie.

— Ach, prośbę ja mam do was wielką... łaskę wy mnie zróbcie!

— Cóż takiego? rad zrobię, co tylko będzie w mojej mocy.

— Ot widzicie, u mnie siły już niema patrzeć, co tu u was dzieje się! Pozwólcie wy mnie posprzątać śmiecie, jadła uwarzyć — gospodarzyć u was ze wszystkiem, jak należy!...

Nie mogłem się oprzeć tym naleganiom — i oto znowu byłem w niewoli... Od tej pory nie ponowiłem już próby wyzwolenia się. Zawsze się ktoś znajdzie, kto upatruje szczególną przyjemność w obsługiwaniu mnie i zdejmowaniu z mojej głowy trosk życia codziennego — a ja tak już do tego przywykłem, że sam nie wiem— aż mnie to chwilami złości! — gdzie mam chustki do nosa, ile drobnych potrzebuję na podróż itp...

— Mnie się zdaje — odpowiedziałam — że to jest całkiem racjonalny podział pracy. Kto może robić rzeczy wielkie, ten nie ma czasu na małe!

— Pani Zofjo! — zaczepił mnie nagle Wieniawa, tym tonem, co to nigdy niewiadomo, czy kpi, czy mówi zupełnie poważnie. — Pani Zofjo, kiedyż pani wzniesie zdrowie Komendanta?

— Coo? — stropiłam się szczerze — cóż jabym mogła powiedzieć?! Nie, pan żartuje sobie...

— Ależ mówię całkiem serjo: koniecznie wypada!

Komendant coś dosłyszał.

— Wiecie co? — wmieszał się zaraz — niech każdy, od pani Zofji począwszy wzniesie jakiś toast, byle krótki i byle w nim nie było mowy... o mnie! A dopiero na końcu ja sobie użyję... będę mówił całe półtorej godziny a wy musicie słuchać stojąco, trzymając kieliszki w ręku na wysokości mniejwięcej nosa, tak jak to widziałem na niemieckich ucztach wojskowych... Ładny projekt, prawda?

Niejeden z biesiadników głowił się już może na serjo, jaki wznieść żartobliwy toast, gdy nań przyjdzie kolej — lecz Komendant zagadawszy się, puścił w niepamięć tamten pomysł. Z obyczajów niemieckich zeszła rozmowa na różne cechy innych narodów — ktoś wspomniał przytem znaną żywość francuską.

— Ach, to jeszcze nic! — wykrzyknął Komendant — w porównaniu z włoskim temperamentem. Żeby trafnie ocenić ich reakcje życiowe, trzeba się dopiero powoli przyzwyczajać. Opowiadano mi, że na różnych komisjach Ligi Narodów, panuje między Włochami zawsze taki rwetes, tak sobie skaczą do oczu, jakby się mieli pobić lada chwila. Jakież było zdumienie tego świadka, gdy po tak burzliwych obradach przewodniczący zapisał rezultat: „unanimità“! Ciekawa rzecz, co oni robią kiedy się n i e zgadzają?!

— U nas naodwrót — zauważył ktoś naprzeciw nas — nasze kłótnie nie wyglądają tak namiętnie, ale za to o jednomyślność bardzo trudno...

— A cóż będzie z toastami, Komendancie? — spytałam szeptem, gdy wnoszono już lody.

— Ale, zapomnieli o tem całkiem! — odpowiedział równie cicho. — Niechże im pani nie przypomina!

Tłumaczył: JULJAN TUWIM.

Z antologji rosyjskiej.

Innocenty Annienskij (1858—1909).
Petersburg.

Żółta paro petersburskiej zimy!
Żółty śniegu na kupach kamieni!
Gdzie tu my a gdzie wy? nic nie wiemy,
Wiemy tylko, żeśmy mocno spojeni.

Czy to Szwed nas utopić nie zdążył,
Czy stworzyły nas carskie ukazy,
Nas — nie klechda z przeszłością wiąże,
Lecz podania straszliwe i głazy.

Żółtoburą Newę ów czarodziej *)
Dał nam tylko — i złomy granitu
I pustynie niemych placów, gdzie codzień
Ludziom głowy ścinano do świtu.

A co było na ziemi ku chwale,
Czem nasz orzeł dwugłowy rósł w sławę:
Kolos w ciemnych wawrzynach na skale **)
Będzie jutro malcom na zabawę.

Już i groźny był niby i wielki,
A koń zdradził przez furję szatańską:
Car nie zmiażdżył żmii-kusicielki,
Nadeptaną zaś — czcimy pogańsko.

Bez radości, bez łez, bez świątyni.
Bez uśmiechu, bez złudy poczęty!
Tylko głazy ze zmarzłej pustyni
I świadomość omyłki przeklętej!

Nawet wtedy, gdy w mgle nad falami
Cienie drżą białych nocy majowych,
To nie czara z wiosennemi snami,
To trucizna zamierzeń jałowych.

Mikołaj Niekrasow (1821—1878).
Kalistrat.

Śpiewała mi dobra matka,
Śpiewała mi nad kołyską:
„Bądź szczęśliwy, Kalistratka,
Jak po maśle pójdzie wszystko“.
I stało się z woli Boga,
Jak mówiła dobra matka:
Pierwszy strojniś, pierwszy bogacz
Urodziwy Kalistratka!

W wodzie kąpię się źródlanej,
Pięcią palców włoski czeszę,
Z wyschłej skiby niezasianej
Już się na urodzaj cieszę.

A gosposia brudy pierze
Nagim dzieckom nad strumykiem,
Elegantka! zazdrość bierze!
Łapcie w łatach nosi z szykiem.

Prośba.

Czarny dniu! jak żebrak prosi chleba,
Śmierci, śmierci proszę z łaski nieba.
Proszę o nią bliskich i doktorów,
Proszę o nią wrogów i cenzorów,
Ratuj, wołam, rosyjski narodzie!
Niech zlituje się ojczysty kraj!
Zanurz ty mnie w żywej wodzie
Albo martwej wmiarę daj!

Fedor Tiutczew (1803—1873).
Cyceron.

Rzekł mówca rzymski: „W one dnie
Walk bratobójczych, burz i trwogi
Spóźniony wstałem — i śród drogi
Noc Rzymu zaskoczyła mnie“.
Tak! Lecz żegnając rzymską sławę
Z kapitolijskiej wysokości,
Tyś w całej chwale i świetności
Zachód jej gwiazdy widział krwawej!

Szczęśliwy, kto oglądał świat
W chwilach przemiany i przełomu:
Bogowie go do swego domu
Wezwali, by do uczty siadł.
W ich radzie uczestniczył świętej,
Ich wzniosłych igrzysk widzem był
I żywcem, jako wniebowzięty,
Z ich czary nieśmiertelność pił.

*) Piotr Wielki.
**) Pomnik Piotra, zrobiony przez Folconeta.

M. PATKANIOWSKA.

Legenda Niagary.

Cieniom mojego ojca.

Rwie bystrym nurtem międzyjeziorna rzeka, skłębioną falą tocząc nieprzebrane zastępy wód z jednego śródstepowego zlewiska — ku drugiemu. Rzuca się, miota, wali o brzegi, wściekłymi zęby szarpie skalne łono koryta, gna, bieży, świszcze, wdziera się w ląd, rozlewa szeroko, coraz szerzej, coraz głębiej...

...Sunie, porywa głazy, kruszy kamienne stopy wysp, rośnie, potężnieje, szumi, wzbiera — olbrzymia, zdradziecka, rozlana, jak srebro lśniąca w słońcu, zbróżdżona strzałami prądów — toczy się, podąża, pieni grzywami fali, szumi, łopoce, przyspiesza, huczy — dopada progu bazaltowej otchłani i tu —

Z rykiem piorunów, w jazgocie Wód, we wstrząsach pękających skał i Ziemi, piętrząc pod niebo tumany oparów wali się w przepaść jezioro — niezgłębione, jak morze.

— — — — — — — — — — — — — —

W przepychu słonecznych blasków, brylantowe łuny palących na czole białych wód, w djademach tęcz, drżących wysoko nad bezdnią odmętu, w skrętach wichury, która się wzbija nad wywierzyskami umiłował sobie od Niemowlęctwa Ziemi Wielki Duch i stąd, skrywszy oblicze niedostępne śmiertelnym oczom wojownika za zwiewne obłoki mgieł, przemawiał w grzmiącym ryku Ziemi i Żywiołu, by się z nim wola jego władcza niosła daleko nad stepowy kraj.

I brzmiały srogie słowa jego wyroków nad prerją haftowaną purpurowem kwieciem, leciały z deszczem ros, które wiatr zwiewał od wodospadów, niosły się nad wyzłocony sadami wał przesmyku, na pagórki zbłękitniałe w oddaleniu, suchemi lasami porosłe, na północ dalej, hen, po drugi brzeg Ontario, po Huronów obozowiska odwieczne.

Wszelki stepowy lud indjański z drżeniem słuchał jego głosu. Cześć wszakże szczególną odbierał od Irikwojów, brzegi jeziorne wokół Erie zamieszkujących. Korzyło się przed nim szlachetne, bitne plemię, korzyli się dumni wojownicy, o łaski jego zabiegali: o płodność stad bawolich na stepie i o zwycięstwa nad wrogiem plemieniem Huronów. Rok rocznie ofiarę mu składali przebłagalną, bezlitosną Ofiarę Wodospadów:

Oto najpiękniejszą z irikwojskich dziewcząt w barce kwiatami umajonej, bogactwem własnych rozplecionych warkoczy jeno okrytą, spuszczano o poranku wiosennego dnia na wody jeziorne... Biły bębny, brzmiały pieśni rozgłośne, tańczyli wojownicy, tańczyły skwawy, tańczyły małe papusy...

A łódkę silnem ramieniem porywał prąd zdradziecki i niósł ją środkiem gładkiej topieli lekko, łagodnie, kołysząco — ale chyżo, ale rączo, ale coraz spieszniej, coraz lotniej, coraz dalej —

...O przeczucie straszliwe, zbyt późno zbudzone!!!

...coraz szumniej, coraz niepowstrzymaniej, coraz huczniej — aż naraz, grunt straciwszy pod nogami, przesadzał szalonym skokiem spienioną krawędź urwiska, a z nim, w powietrzu łuk miękko kreśląc, leciała w odmęt ofiara Wielkiego Boga.

Od tamtej strony, na połyskliwej fali wodospadów purpurowe kwiaty prerjowe wykwitły jak krople krwi. Jak złota jętka mignęło śniade ciało dziewczyny.

A w dole...
Biało... Otchłań dna...
Wirowiska potwornie skłębione —
Porwały. Zakręciły.
Wciągnęły.
...od huku drżą bazaltowe ściany...
Spychają w odmęt, nurzają w najgłębszych tajemnicach dna.
W szatańskim młyńcu — czaszka — o poczerniałe kwarce...
Z podrygiem prądu — znowu na powierzchnię —
Drobne ciało...
Pod rozszalałe kopyta wód...
Pod mioty prądów przemożne bezwładem...
Pękają kości...
Różowo błysła odpływająca fala.
Ramię się wzniosło w pianach. Znikło.
A wodospady huczą...
Tratują.
Druzgocą. Miażdżą.
Ścierają na proch...
Garść wydartych, czarnych włosów, o głaz omotanych, przez chwilę zwija się na fali jak śliskie macki zielska...

— — — — — — — — — — — — — —

Z oczu rozdartych męką i przerażeniem chlust wody zmył ostatni błysk świadomości. Ostatni chrapliwy jęk wnikł w huk żywiołu. W szaleństwie wrzawy cisza niepojęta objęła znieruchomiałe serce Indjanki.

— Oto stanęła podróżnica u wydeptanego progu, za którym w nieodgadnionem królestwie panuje Wielki Duch.

Ofiara — dopełniona.

— — — — — — — — — — — — — —

Nad wodospadami tęcze się wieszają w słońcu. Od stepu wiatr niesie śpiewy wojowników.

* * *

Aż pewnego roku los padł na córkę wodza.

Była w rozkwicie lat dziewczęcych i urody. Wąskie, czarne oczy zaczynały dopiero błyszczeć ciekawością życia. Jej śmiech serdeczny i donośna piosenka niosły po całej wsi urok wesela i młodości.

Kochała ją matka, której pomagała skórzane kaftany naszywać biało-czarną nicią w drobniutkie, zawiłe wzory, lub placki z kukurudzy piec na zapas zimowy. Kochał ją ojciec, wódz Irikwojów, dumny, niezwyciężony Hiawatha — i jego to sercu szczególniej była miła. Syna mu zastępowała. Wiosną, gdy rozkwitły step kłaniał się w wietrze jak łany zbóż, pijana radością ruszała z ojcem na łowy i, kłusując u jego boku na siwym koniu, pierwsza umiała dostrzec ciemny grzbiet bawołu wynurzający się daleko nad trawami. Pierwsza ukazywała ku niemu nagiem ramieniem, spiętem nad łokciem i nad przegubem obręczami z metalu, w których słońce łamało się w migotliwe ognie — pierwsza, wypuściwszy konia galopem, drugą ręką podawała ojcu oszczep o grocie wyostrzonym, jak nóż.

Algonkin była młoda i ciekawa życia, które się przed jej chciwemi oczami odsłaniało każdego ranka jaśniej i każdej wiosny szerzej.

I ją wybrał Ravenniyo, Bóg Wielki.

Na nią padł los.

— — — — — — — — — — — — — —

Ale jej o tem nie powiadomiono.

W skrytości, tajemniczo, jak było we zwyczaju, o zachodzie słońca przed świętem wiosny, arcykapłan przyniósł wieść jej ojcu, wodzowi plemienia, wojownikowi nad wojowniki, Hiawathie.

Wysłuchał spokojnie syn Mudjekiwsa. Najlżejszy cień nie przeleciał przez kamienną twarz, chociaż zła wieść uderzyła znienacka, jak wilk, który zimową porą skacze na plecy samotnego jeźdźca.

Ale kiedy Saskachuan znikł za drzewami, płaszcząc się w ukłonach, kiedy wódz sam zstępować zaczął z pod Świętego Dębu, poczuł poraz pierwszy, on, Hiawatha nieprześcigniony na prerji, Hiawatha jak piorun szybki pogromca Huronów, że pięćdziesiąt już i pięć zim sypało śniegiem nad jego głową, że przez wiele wiosen deptał jego koń kwieciem umajone stepy, tak ciężkiem naraz głazem wiek spadł mu na piersi.

Przystanąć musiał, dech mu odebrało. Po chwili, gdy duszność przeszła, wolno zawrócił pod drzewo. Oparł się o nie plecami i pozostał bez ruchu. Za ciasna mu się wydała przepaska, która w dzień powszedni przytrzymuje włosy, i zdarł ją z czoła.

Nic nie czuł. Jakby zamarło czucie — i władze. Tylko za martwotą — daleko — na czarnych skrzydłach kędyś łopoce niepokój. Naraz, niby stado czarnego ptactwa pędzone tchnieniem burzy, myśli nadlatują tłumem syczące, skłębione, drapieżne...

Ravenniyo, Ravenniyo! Duch Wielki. Pan Wodospadów. Czas ofiary. Ale jego, jego dziecko? To, to dziecko? Algonkin? Ponure, palące poczucie krzywdy zalewa płomieniem serce Indjanina.

Córki wodza zażądał Wielki Duch! Ha, ha! Nigdy tak jeszcze nie było. Jak pamięć, nigdy tak jeszcze nie było. Czemuż — właśnie teraz? Właśnie jemu? Och, nie! Miedziana twarz ciemnieje z gniewu, ściągają się ostre rysy w drapieżnem zacięciu. Zawiedzie się w tym roku Ravenniyo! Córki wodza — nie dostanie! Jak szpony obejmują palce drzewce tomahawka. Nie dam jej! Nie dam dziecka! Saskachuan zginie u pala, kapłanów rozpędzę, a Ravenniyo — Ravenniyo dostanie bawołu!

Wyrazisty profil Indjan rysuje się na niebie wieczorem, które pociemniało już po zachodzie i od południa zaciągło się chmurami. Burza idzie. Ale wódz nie widzi. Ręka ściska jeszcze rękojeść tomahawka, w myślach pieni się bluźnierczo gniew. Pycha władcy, na którego spadł niespodziany wyrok, wezbrała kamieniem obrazy. Nienawiść i żądza zemsty kłębią się w duszy słupami ognia.

Naraz — oślepiająca jasność zalewa okolicę. Huk straszliwy wstrząsa powietrzem. Brutalna siła odrywa i z powrotem rzuca Hiawathę o drzewo. Krwawy zygzak zapada w ziemię.

Obłąkańczy strach odbiera dech człowiekowi. Kamienieją członki. Ostatnie pohuki pioruna mrą nad prerją.

— — — — — — — — — — — — — —

W mroku, wielki dąb na przeciwległem wzgórzu stoi rozdarty gromem do korzeni.

Tak przemawia — Ravenniyo...

— — — — — — — — — — — — — —

Hiawatha rzuca się na ziemię. Bunt zamarł w sercu.

Bawołu chciałem dla Ravenniyo? Ha, Ha! Wódz to najpotężniejszy z możnych. Piorunami włada i wodą. Mściwy! Jeśli mu odmówić ofiary, naprowadzi zastępy Huronów i im da zwycięstwo. Albo odegna bizony z naszych preryj i wymorzy głodem cały szczep. Wtedy moi wojownicy zwrócą się przeciwko mnie samemu. Obalą, spalą wyniosły totem mego rodu. I nic już wtedy nie ocali Algonkin.

— Gdzież rada? Gdzież rada?

Nie walczyć z Bogiem Wodospadów!

— Mocniejszy niż ja Ravenniyo!

— Zły jesteś, Boże Wody!

W rozpacznej bezsilności nienawiść bucha płomieniem. Wódz tarza się pod drzewem. — Palce drą ziemię. Ulewny deszcz siecze po liściach dębu. Odległe gromy przetaczają się nad stepem. O wściekłości, wściekłości! Pokonany, zdeptany! Hiawatha, zwycięzca sześćdziesięciu bitew!

DR. JERZY DOBRZYCKI.

Z najnowszych badań nad Witem Stwoszem

Dokonana w głównym zrębie przed paru miesiącami restauracja ołtarza marjackiego Wita Stwosza stała się nietylko najdonioślejszym faktem polskiej działalności konserwatorskiej ostatnich lat, ale również otwarła rozległe horyzonty dla różnorakich i wielostronnych badań nad tem wyjątkowo cennem arcydziełem średniowiecznej plastyki. Zasadnicze zadanie i cel restauracji zostały szczęśliwie osiągnięte; usunięto uszkodzenia i zniszczenia dokonane przez czas i dawniejsze niedość udolne restauracje, w wielkiej części udało się odsłonić z pod późniejszych przemalowań autentyczną świetną polichromję, a zabezpieczony i utrwalony na długie lata zabytek ukazać w szacie zbliżonej o ile możności do tej, jaką miał w wieku XV. po opuszczeniu warsztatu Stwosza. Takie są wyniki odnowy z punktu widzenia konserwatorskiego. Ponadto jednak stworzyła ona mnóstwo pierwszorzędnych możliwości dla badań naukowych—i to z zakresu przeróżnych dziedzin wiedzy. Ujawniło się to w całej pełni po obejrzeniu z bezpośredniej bliskości wszystkich szczegółów ołtarza, po rozebraniu tegoż na części i przeniesieniu do pracowni w Muzeum Przemysłowem, po zaznajomieniu się ze wszystkiemi partjami rzeźb i polichromji. Na konieczność wyzyskania tych wyjątkowych możliwości wskazałem już w toku odnowienia *), podnosząc ważność tego rodzaju badań oraz potrzebę wykonania kilkuset zdjęć fotograficznych dla celów naukowych ze wszystkich partyj i szczegółów. — Zdjęcia takie istotnie zostały wykonane w ilości kilkuset sztuk, głównie przez doskonałego fotografa hist. sztuki Dra Przypkowskiego, zrobiono nawet szereg kosztownych zdjęć barwnych. Nie potrzeba dodawać, iż zbiór ten stanowić będzie wartość ważnego dokumentu w toku wszelkich studjów obecnych i przyszłych. Co zaś dotyczy samych badań — to okazało się naocznie po bliższem i bezpośredniem rozpatrzeniu się w całości i szczegółach zabytku, że stanowić on może przedmiot najżywszego zainteresowania nie tylko na polu historji sztuki, ale również technologji, przyrody, medycyny, antropologji i przeróżnych dziedzin historji kultury. Należy zatem oczekiwać, iż niezadługo, o ile tylko dozwolą tak trudne obecnie stosunki wydawnicze, pojawi się szereg prac naukowych, dla których natchnieniem będzie ołtarz marjacki.

Szczęśliwy początek został już uczyniony. Jest nim świeżo właśnie wyszłe z pod prasy studjum, rozpatrujące arcydzieło Stwosza z punktu widzenia historji medycyny. Temat zaiste nieoczekiwany i frapujący. Autorem tej rozprawy jest wybitny profesor U. J. Dr Franciszek Walter, nietylko znakomity dermatolog, ale również głęboki i subtelny znawca sztuki i zamiłowany bibljofil *). Zbliża się on do arcydzieła Stwoszowego z widocznym kultem i czcią, jaką w każdym człowieku kulturalnym obudzić musi ta niewyczerpana krynica niezmożonego potęgą czasu piękna — a przy tej sposobności zauważa szereg szczegółów zaciekawiających go w wysokim stopniu z punktu zainteresowań fachowych, dozwalających rozpoznać rodzaje i postaci istniejących za czasów Stwosza cierpień. Rozprawa mimo poważnego naukowego charakteru, napisana jest stylem jasnym i przystępnym. nawet dla laika, tak, że niewątpliwie obudzi ona żywe zainteresowanie nietylko w sferach fachowych.

O ile badania objawów chorobowych w dziełach sztuki są już od dość dawna uprawiane w nauce zagranicznej, a obszerna na tem polu literatura dozwoliła ustalić szereg ważnych danych do dziejów poszczególnych cierpień i chorób, o tyle w Polsce studjum prof. Waltera jest pierwszem, które pojawia się w tej dziedzinie nauki. Przedmiotem jego rozważań jest szereg postaci ołtarza marjackiego, głównie wyobrażonych na scenach płaskorzeźbionych skrzydeł, wykonanych z zdumiewającym realizmem i pokrytych wierną naturalistyczną polichromją. Stwosz, który w czasie pracy nad ołtarzem marjackim stał u szczytu rozwoju swego talentu, stwarza w tem dziele mnóstwo mistrzowsko z natury zaobserwowanych typów antropologicznych, szczegółów anatomicznych, a nawet patologicznych. Ta, jak się kiedyś wyraził Kremer „staranna miłość" w odtwarzaniu z niebywałym naturalizmem postaci ludzkich, a zwłaszcza charakterystycznych rysów twarzy, pozwala dermatologowi wysnuwać z tego dzieła wiarygodniejsze wskazówki, niż z jakichkolwiek dzieł innych artystów. Odtwarza artysta nasz nawet drobne deformacje skóry, jak sieć zmarszczek, fałdy, zgrubienia lub brodawki starcze, pendzlem, równocześnie zaznacza różnice w kolorze skóry, karnacjach i t. p. Największą ilość cech patologicznych odnajduje się w postaciach zbirów i siepaczy (głównie w dramatycznej scenie „Pojmania Chrystusa"), dalej w postaciach niektórych faryzeuszów, starców, szatanów. U dwóch pachołków zauważa prof. Walter raka skórnego (basalioma) oraz podobnego do wola włókniaka wiszącego (fibroma pendulum). Dalej jeden z żołnierzy w scenie Zmartwychwstania jest obarczony schorzeniem nosa, trądzikiem różyczkowym (acne rosacea), szatani zaś w scenie „Zstąpienia do piekieł" mają twarze z wielkiemi spustoszeniami wywołanemi wilkiem żrącym (lupus vorax) lub może trądem (lepra). Co jednak jest najciekawszym wynikiem badań prof. Waltera, to stwierdzenie u dwóch postaci, faryzeusza i uczonego, cech wybitnie charakterystycznych dla obrazu „lues congenita". Jeżeli zmiany chorobowe widoczne w twarzach obu tych postaci nie są wynikiem procesów trądowych, lecz istotnie jak to autor w obszernym wywodzie uzasadnia objawami luetycznemi, w takim razie przybyłby ważki argument dla tego obozu uczonych, który uważa, iż lues był chorobą znaną w Europie na długo jeszcze przed Kolumbem i jego odkrywczemi wyprawami.

Niezmiernie zajmujące wywody autora ilustruje szereg doskonałych zdjęć Dra Przypkowskiego, z któremi zestawione są fotografje współczesnych wypadków klinicznych. Studjum może zaciekawić nietylko historyka medycyny lub badacza sztuki Stwosza, ale również i szerokie koła kulturalne. Byłoby rzeczą prawdziwie pożądaną, aby autor zechciał poddać tego rodzaju badaniom również i inne zabytki dawnego malarstwa i rzeźby, przechowane w naszych kościołach i muzeach. Niewątpliwie dzieła sztuki zwłaszcza z XV i początku XVI wieku dostarczyłyby mu sporo nowego materjału do dalszych na tem polu studjów.

Omówione tu studjum Stwoszowskie pojawiło się jako pierwsza z kolei publikacja z cyklu wydawnictw Krak. Towarzystwa Miłośników hist. medycyny, pozostającej pod redakcją wybitnie na tem polu zasłużonego prof. Dra W. Szumowskiego. Załączona zapowiedź donosi o mających się wkrótce ukazać dalszych publikacjach, w których omówione będą pomniki dawnych lekarzy w kościołach O. O. Dominikanów, marjackim, katedralnym i in. Studja te powitają zapewne życzliwie również nietylko lekarze, ale i ci wszyscy, którym droga jest kulturalna przeszłość Krakowa.

*) „U nowych źródeł wiedzy o Stwoszu", „Czas" Nr. 232, z 9. X. 1932.

*) Wit Stwosz, rzeźbiarz chorób skórnych. Szczegóły dermatologiczne ołtarza marjackiego. Nr. 1. Wydawnictw Krak. Tow. Mił. historji medycyny. Kraków, 1933, stron 31, z 7 ilustracjami.

M. CZERKAWSKA.

SZWAJCARJA.

Powitanie.

I.

W rozpięciu wiotkich
słonecznych strun
witam cię słodkie,
cichutkie Thun.
Uliczki wąskie,
schodzące w dół
i drzew gałązki
u dachów czół.
Krwawy winograd,
z połyskiem róż,
chce pieśń swą dograć
kapiąc ze wzgórz.
Na domków mury
patrzę jak w sen — — —
w którym to, w którym
mógł mieszkać Taine.

II.

Za stołem.

Dziewczyna w czarnym fartuchu
roztropnie zastawę zbiera,
pathefon częstuje ucho
szorstką melodją Jodlera.

Nad szarym obrusem w kratki
dalja się czerstwo rumieni,
za oknem wiszą ostatki
październikowej jesieni.

Landschaft przechyla się z dąsem
do taktu alpejskiej arji — — —
przełykam najpierwszy kąsek
zdrowej, szczęśliwej Szwajcarji.

III.

Z brzegu.

Biały parowiec od Interlaken
za pół godziny przybędzie.
Nad wodą spokój, na wodzie ptaki,
wężowogłowe łabędzie.

Niebem świętuje, świeci jezioro
motylo migocą liście — — —
pyszni się łabędź, antyczny korab,
srebrzyście i posuwiście.

Żegluje biały, wygięty, niemy
Odyssa odległym śladem — — —
Przymrużam oczy — — — oto płyniemy
wstecz wieków, brzegiem Hellady.

Wód kołysanka, dźwięk mowy obcej,
południe, słoneczne pleno — —
obok kobieta i mały chłopczyk...
może się zwie Telegenos.

IV.

Na wodzie.

Parowiec wydarł się z przystani ramion,
rozerwał z liści zwity miękko sznur,
drgnął i zawahał się — — — wahanie zmógł,
skręcił, wypłynął — — —
wśród bezdroża dróg
wybrał jedyną...
kurs.

V.

Leci nad Alp zakolem
lekkomyślny ptak białopióry,
obłok, co sił nie obliczył — — —
Zahacza skrzydłem o blok granitowy,
pierś rozdziera o skalną iglicę,
chwieje się — — — padł —
Od zmurszałych żlebów
targa go ogar puszczony ze smyczy —
— — wiatr.

VI.

Wolo moja, radosna wolo,
co się w światłach wiekuistych jarzysz,
czy podołasz natrętnym pytaniom,
które szepce towarzysz bez twarzy?
Potrafimyż wystarczyć spojrzeniem
i udźwigać ekstazą zachwytu
ciężar starych, straszliwych zagadek,
jarzmo, w które nas wprzęga cień szczytów?

VII.

W głębi oparu, za niepoznawalnem,
majaczą szczyty gór,
gniazda, gdzie chcą spocząć strudzeni pielgrzymi,
modre i nierealne.
Spójrz — — —
jakby cyfr szereg olbrzymi,
co rachunek przedwieczny zamyka obojętnie — —
gdy ty, wplątany w wielką Niewiadomą,
walcząc namiętnie,
nigdy i niczem serca nie uleczysz — — —
tylko wysiłków trwałość i znikomość
będzie szła ciągle w pochodzie wszechrzeczy
na szczyty nieosiągalne — — —
— — — — — — — — — — — — — — — —
Spójrz
Alpy płoną — —
twarze w girlandach róż
poza zasłoną.

VIII.

Zapadam w niebo, w cień Niesena, w wodę,
w blask kropel przy kole parowca rozprysłych —
Staję się mgieł ogrodem,
sensem barw jasnych,
zatracam zmysły.
Z zbladłem górskiem pasmem
majaczę na tafli jeziora — —
Na falach z turkusów i śniedzi
gubię me dziś, jutro, moje wczoraj — — —
pytania, brak odpowiedzi.
Macierzysta brzegów dłoń
zanika w odległości,
w topieli świateł bez wspomnienia smugi.
Jak liście spadają w toń
moje rzeczywistości
jedna po drugiej.

IX.

Syrena ryczy do szwajcarskich krów.
Parowiec zwalnia bieg jakgdyby chromał.
Wracam do życia bez daremnych słów,
przechodzę pomost.

X.

Funiculaire.

Objęło mnie, zamknęło wagoniku wnętrze.
Dobrowolnie bezwolną ciągnie siła ślepa.
W oknach piętrzą się, rosną zbielałe tytany,
drąży się niespodziana, zielonkawa przepaść.
Pełza z wysiłkiem, zgrzyta szara gąsienica.
Pajączek sunie w górę po swej własnej linie.
Mocą olśnienia mierzy się wierchów wysokość.
Śmierć igra znaną formą w nieznanej głębinie.

XI.

Mürren.

Dzień, nieszczęsny wędrowiec, ześlizgnął się z grani
Ostatnim krzykiem blasku mierząc się z swym losem
Wyprawa ratunkowa mknie brzegiem otchłani
i zapada pod chłodem wiejące kolosy.

XII.

Pod górę droga pusta. Drgnieniem nieuchwytnem
pojawiają się gwiazdy, szron — — gęstnieją cienie.
Rytm serca łączy się z wszechświata rytmem
lecz niema ciszy, jest tylko milczenie.



DR BOHDAN CHRZANOWSKI.

O pokorę w myśleniu

Uczestnicząc czasem jako niemy świadek w dyskusjach, prowadzonych czy to na posiedzeniach publicznych czy też na zebraniach towarzyskich, staram się nietylko iść za myślą kombatantów, ale i za ich uczuciem. Nie chodzi mi tutaj o uczucia, jakie się pod wpływem dyskusji wyzwalają między ludźmi, ale o uczucia każdego z nich do własnej myślowej treści.

Przypuśćmy, że ktoś wygłasza skrajnie sceptyczne i relatywistyczne poglądy w dziedzinie teorji poznania i nauki wogóle. W takich wypadkach jest rzeczą niesłychanie interesującą obserwować jego uczuciowy stosunek do własnych poglądów. Co się mianowicie często (choć nie zawsze, rzecz prosta) okazuje? Oto człowiek taki tryska radością, zadowoleniem, upojeniem nawet — z powodu własnego sceptycyzmu i relatywizmu. Uczucia te pozostają niekiedy zewnętrznie ukryte, czasem jednak przejawiają się bezpośrednio.

Jakie jest ich źródło?

Jednem z nich — to żywy ruch myślowy. Podnieca on często ludzi w sposób rozkoszny—podobnie, jak gimnastyka, wspinaczka lub tenis. Charakterystycznemi są te zjawiska u ludzi młodych. U nich, może dziś zwłaszcza, nie zawsze sceptycyzm i relatywizm prowadzi do „Weltschmerz'u". Byleby znaleść pole do żywego pędu myślenia bez względu na to, do jakich wyników — budujących, czy rozkładowych to doprowadzi! To ich wewnętrzne hasło.

Otóż człowiek, który rozkoszuje się własnym ruchem myślenia bez względu na jego rezultaty — to egoista z krwi i kości. Jeśli tylko będziemy śledzić ściśle uczucie, a nie tylko myśl takiego człowieka, uzyskamy wyniki niespodziewane może dla tych, którzy nie przywykli w ten sposób natężać bystrości swej obserwacji. Taki myśliciel, to w wielkim stylu utracjusz, który przytem łudzi się, że ten skarbiec myśli, którym się posługuje, jest jego własnością. Tak, jak nie sobie samemu i swej zasłudze zawdzięcza biologiczną tajemnicę wzrostu swych sił fizycznych (choć sam może je dalej pielęgnować), tak i przypływające do niego myśli nie powstały z jego woli i zamiaru. Tymczasem on te myśli chwyta, jak swoje własne i hantluje niemi dla własnej rozkoszy. U młodych mogą takie sceptycyzmy i relatywizmy być sympatyczne, tak, jak wogóle czujemy sympatję do młodzieńczego egoizmu, który jest często cudny i mocą swej naiwności może przez niczem nieograniczone czerpanie materjału z zewnątrz na dobro bogacenia się wewnętrznego — stworzyć fundament do niedalekiego może realizowania najbardziej ofiarnej miłości.

Ale, jak każdy twórczy egoizm, tak i ów myślowy egoizm, powinien się w porę zatrzymać,

Zwycięzca? To Wielki Duch dawał mi zwycięstwa. Ravenniyo! Dostawał haracz rok rocznie... Spłacał — swój dług...

I teraz ty mu odmówisz ofiary, ty — wódz? Klęski sprowadzisz na głowy plemienia, któreś wiódł do zwycięstw?

Ty — wódz!

O, łatwiejby u pala u Huronów!

O łatwiejby z zatrutą strzałą w sercu!

Noc uchodzi.

— — — — — — — — — — — — — — —

Czerwcowa burza minęła bez śladu i księżyc wypłynął na czyste niebo, gdy wódz zwolna schodził do wsi. Szczyty wigmanów czerniały ostro w jasnej nocy, a pośrodku, na wyższym niż inne, chwiał się w lekkim wietrze pęk białych piór, oznaka królewska. Tam spała Algonkin swoją ostatnią noc.

Wódz przesunął się między wigmanami, pogrążonemi w ciszy snu. Stanął przed swoim i uniósłszy bezszelestnie skrzydło, zajrzał.

Uderzył oczy czerwony blask ogniska. Niskie płomienie słabo rozjaśniały wnętrze. Z boku, z nogami skurczonemi pod siebie, siedziała Matka Algonkin, kołysząc się jednostajnie w drzemce. Wzrok wodza prześlizgnął się po niej i pobiegł dalej: pod tylnem skrzydłem na stosie skór bawolich, skórą do pół przykryta, spała córka. Przez otwór u szczytu namiotu, przez który dym się wydobywał, błękitne światło nocy padło na ramię barwy bronzu założone pod głowę, na rozsypane bogactwo wspaniałych kruczych warkoczy. — Twarz zwróciła w stronę ogniska, ku wejściu i od czasu do czasu wyżej skaczący płomień zapalał na miedzianym policzku złotą plamę. Czekała — pomyślał wódz. Jutro obiecał zabrać ją w step. A tymczasem — jutro...

Czemuż tak wcześnie tej wiosny, tak wcześnie!

Wpił się wzrokiem w córkę przez mrok. Stanęła mu naraz przed oczyma całkiem małą dziewczynką, którą sadzał przed siebie na konia i wiózł w prerję, a ona oboma ramionkami chwytała go za szyję. Czuje jeszcze jej ciemną twarzyczkę, przytuloną do jego piersi; słyszy jej równy oddech, kiedy ją śpiącą przywoził do domu. Prosty ojcowski żal wzbiera w sercu Indjanina. I gdzież ją teraz powiezie?

Jutro — ojcu własnemu przyjdzie zepchnąć ze skalistego brzegu jej łódź śmiertelną — na zagładę! — Jutro — ta głowa w bogactwie czarnych warkoczy — o skały bazaltowe... te ramiona...

Skrzydło namiotu opadło bezszelestnie. — Wódz odszedł szybkim krokiem. Z zagrody wyprowadził białego królewskiego rumaka, dosiadł i cicho przejechał przez wieś. Na wzgórzu obejrzał się raz jeszcze. Zatrzymał konia.

W oddali szeroka rzeka międzyjeziorna lśniła srebrzyście w świetle księżyca. Wiatr od stepu niósł surową woń traw. Od prawej strony dolatywał stłumiony, odległy pomruk wodogrzmotów.

Wszystko — tak znane. Odkąd papusem nosił łuk za ojcem, każdy strumyczek, każdy cypel skalny zdeptał — ileż razy. A dziś —

Dziwne, dziwne uczucie. Patrzy Hiawatha na posrebrzałą smugę rzeki i czuje, że od tej drgającej wody bije dziś w jego udręczone serce chłodna — obcość. Czy widział już kiedy tę rzekę? Czy patrzył już kiedy na nią — dawniej? Coś go odcina od kraju dzieciństwa, od kraju życia całego, aż po tę wodną strugę, po której teraz tańczy księżyc. Coś się zamyka, coś — kończy. Jakieś — daleko — ukojenie, jakiś — odległy ból. Coś wzywa — daleko, coś się urywa, a dalej — ciemno... ciemno, czarno... Ale co, co?

Nie przypłynie odpowiedź od rzeki, pluszczącej w księżycowej poświacie. Nie przypłynie z ciszy, którą zieje noc.

Serce Hiawathy dziwnie ściśnione.

W step, w step! Biały koń, zdarty kolanami, zawraca w prerję. Wódz nisko pochyla głowę nad jego kark. Prędzej, prędzej! W blasku miesięcznym, we mgle oparów nikną, coraz bielsi, coraz przejrzystsi.

Ale ból, jak zły ptak na ramieniu jeźdźca.

Ale serce dziwnie ściśnione.

* * *

Nazajutrz, skoro pierwszy brzask rozniecił różowe światła na pianach wodospadów, przeciągły gruchot bębnów zbudził ze snu całą wieś.

Kapłani w dziwacznych strojach biegali między wigmanami, wołając:

Niagara! Niagara!!

W mgnieniu oka szczep był na nogach. — Śpiewy się rozniosły przegłośne, okrzyki:

Niagara! Niagara!

— Święto wiosny! Święto Wodospadów!

Wojownicy uroczyście ozdobili czoła przepaskami z błękitnych i czerwonych piór, długich, ku tyłowi lekko odchylonych, i na plecy wspaniałym wieńcem spadających, co całej postaci nadaje wyrazu orlej jakoby godności i siły. Ciemne twarze poznaczyli bogatą barwą wojenną w żółte i purpurowe pasy, poczem, zawiodłszy taniec, wężem wyruszyli na wielkie błonie nad wodospadami.

Za niemi ruszyły skwawy. W odświętnych, haftami zdobnych kaftanach szły szparko, roztrząsając spódnice kolanami, w pokrzykach zawodząc pieśń Wody.

A wokół nich — rozśpiewany, roztańczony, w ustawicznych skrętach i rozplotach wił się, snuł, biegł i zawracał wąż dziewcząt irikwojskich; trzymały się za ręce i kwiaty miały powplatane we włosy. Głośno, jak najgłośniej śpiewały pieśń wodospadów:

— Niagara! Niagara!

— Niagara!!

— — — — — — — — — — — — — — —

Długo zanim w złotem słońcu południa czoło wodospadów roziskrzyło się tysiącem blasków, dokonała się ofiara największa.

Lekka, kwiatami umajona łódka chwieje się w zatoczce na pieszczącej fali; sznur ją więzi u brzegu...

Niagara! Niagara!

Taniec szalony zawodzą na błoniu, na skalnych głazach brzega.

A kiedy kapłan wywiódł Algonkin z koła tańczących dziewcząt, była już odurzona napojem ziół i sama zaczęła z siebie zdzierać szaty.

A potem wódz, dumny Hiawatha, w wspaniałych barwach wojennych na obliczu, odciął sznur od kamienia i mocno nogą odepchnął łódź od brzegu...

Lud szalał. Niagara! Niagara!

Brzegi dudnią od stóp tańczących. Pieśń miesza się coraz bardziej w dzikich pohukach wojowników. Przenikliwie wykrzykują skwawy. Od wodospadów wiatr przynosi pył wodny. Błonie dudni od stóp dziewczęcych. Złote słońce świeci.

A na występie skalistej wysepki Hiawatha, w uroczystym stroju na głowie, patrzy szeroko rozwartemi oczyma, jak po srebrnym garbie fali pomyka mała łódź.

Jeszcze — blisko. Prąd ją lekko kieruje tu i tam, niezdecydowany jakby, wahający... Ale coraz dalej, coraz dalej... Nie wpłynęła jeszcze na główny nurt.

Jeszcze chwila — jeszcze moment — oto — już.

Prąd skręcił drewnianą łupiną w prawo, skręcił w lewo, obrócił gwałtownie i — porwał przed siebie. Teraz już — wprost...

Ale cóż to, cóż to? Smukła postać dziewczęca obraca się naraz w łódce — ku niemu! ku lądowi!

Cóż to? Wódz widzi jej twarz zbielałą, ściągniętą —

— O przeczucie straszliwe, zbyt późno zbudzone!!

Może chłód rzeki ją owiał. Może obłok pyłu wodnego orzeźwił. Może napoju — za mało...

Krzyczy! Krzyczy! Ryk wody stłumił słowa, ale wódz widzi! Dostrzegła go! Jego postać wyniosłą widzi na cyplu skalnym! Woła! I ramiona — ramiona do niego wyciąga!...

O dziecko! dziecko!

Błaga, ramiona wyciąga! Zapóźno! Zapóźno! Już teraz niema ratunku!

Wódz z rozpaczą rzuca okiem na brzeg, na szalejący tłum. Naraz — w małej zatoczce, barka rybacka, do połowy z wody wyciągnięta.

Ojcze! Ojcze!

Ratunku niema!

Córko!

W zatoczce — łódź rybacka...

O Algonkin!

Błyskawicznym ruchem mokasyna zepchnął łódź na wodę. Wskoczył. Wiosła na dnie. Parę ruchów — pomóc prądowi. Płynie...

Przed oczyma migoce mu przez moment Algonkin czteroletnia, z bujnych traw stepowych wyciągająca ku niemu ramionka...

Szybko, szybko płynie łódź Hiawathy.

Wzrok utkwił w twarzy dziewczyny. Już jeden prąd ich niesie...

A z oczu Algonkin znika powoli śmiertelny wyraz przerażenia. Zapatrzyła się w twarz ojca. I zwolna, zwolna uśmiecha się do niego ostatnim uśmiechem w życiu.

Już — wie.

Ojciec — i córka —

Jeden prąd ich niesie.

— — — — — — — — — — — — — — —

Tymczasem na brzegu szukają wodza.

Hiawatha, Hiawatha! Gdzie on? Gdzie wódz?

Aż czyjaś ręka ukaże na wodę:

Patrzcie!

Krzyk się podniósł — i zamarł. Stłoczyli się na brzegu.

A na fali huk coraz bliższy, łomot strug wodnych coraz straszliwszy, coraz śmiglejsze pióropusze oparu nad gardzielą przepaści...

Patrzącym z brzegu coraz maleją, dwa ciemne punkty, coraz się oddalają, coraz bledną w blasku — aż wreszcie — niby spłoszony ptak łódź pierwsza wzbija się nad srebro pian, w tęczach nad oparami zamigota i błyskawicę znacząc płomienną smugą kwiatów, zapada za biały kres wód.

I druga, tanecznym niby pląsem — nad srebrną falę wybiega, w drżące ramiona tęcz — i miękkim łukiem niknie za białym progiem pian...

— — — — — — — — — — — — — — —

Tak się odbyła ostatnia ofiara z ludzi u Irikwojów.

Stara indjańska legenda...

— — — — — — — — — — — — — — —

Przez prerje przesunęły się mrowia ludzkie niezliczone, jak płatki śniegu w zimowej zawiei; przez granitowy próg po wielekroć razy runęły w przepaść wszystkie wody globu. Ale nie wyczerpał się szał natury i dalej bije w niebo hukiem gromów; ale nie zapomniała ta rzecz najniewierniejsza z niewiernych, pamięć ludzka:

Po dziś dzień, w tumanach mgieł nad wodospadami rozsnuwa przed okiem turysty przeźroczy zwid postaci dziewczęcej, którą przed wieki, w obliczu śmierci, miłośnie objęło ramię ojcowskie, aby nie sama wkroczyła na łąki Wiecznej Ciszy.

Miłość Ojcowska najwyższą ofiarą serca skruszyła Samotność Śmierci.

by się nie stać egoizmem rozkładowym. A jakże często (powiedzmy: przeważnie) takim się staje! Tu jedno wyjaśnienie. Nie chodzi mi bynajmniej na tem miejscu o zbijanie wyników teoryj sceptycznych i relatywistycznych na terenie teorji poznania i nauki wogóle. Chodzi mi wyłącznie o zaakcentowanie, że bardzo często uczucia relatywistów i sceptyków do własnej myślowej treści są tej samej barwy, co uczucia najbardziej zakamieniałych egoistów. Pragnę, by każdy człowiek: sceptyk, czy nie sceptyk, emanował dobre uczucie w samem myśleniu! Naiwny egoizm młodzieńczy, który się wyraża powyżej zauważonym specyficznym stosunkiem do własnych myśli, przechodzi niestety często na całe życie w twardy egoizm myślowy sybaryty i próżniaka. Już nie tętno upojne myśli, ale podświadoma wygoda myślenia jest przyczyną owej farby uczuciowej, którą człowiek dojrzały tak często się powleka przy wygłaszaniu swych poglądów. Nie potrzeba przytaczać powszechnie znanych sposobów, których się ludzie chwytają dla postępowiania w myśl ich wygody wyłącznie, a które polegają na kunsztownem często, naukowem(!) uzasadnieniu swych postępków, które w gruncie rzeczy są poprostu nieetyczne.

Toteż może nie sam pragnę wołać o dobre uczucie w myśleniu, o pewną w myśleniu pokorę!

Nowoczesny człowiek, o ile ma się pisać i mówić zupełnie otwarcie, ma wielkie trudności, większe, niż człowiek czasów dawniejszych, przy wzbudzaniu w sobie pokory religijnej. Nie dlatego, by był gorszym, ale dlatego, że ma być jeszcze lepszym. Ale każdy człowiek dzisiejszy może zacząć od pokory w stosunku do własnego myślenia. Bo to myślenie jest nasze, a równocześnie nie nasze, bo przypływa do nas tak, jak dojrzewanie fizyczne w miarę rozwoju człowieka! Ustosunkujmy się do niego, jak do jakiejś żywej istoty i nie wyzyskujmy jego dla własnej przyjemności, ale współpracujmy z niem razem i pozwólmy, by nas myślenie uczyło rzeczy, które są jeszcze od niego wyższe.

DR PIOTR KONTNY.

Głupstwo na warsztacie.

Ekstrawagancje na czarnym szlaku kilimu polskiego.

I.

Księżycową nocą tuliłem się w zagłębiu kalenicy w kolumnie Partenonu, gdzie tyle ciepła zostawił Parandowski. W skwarny grecki dzień drałowałem piechotą do Akrokoryntu i po drodze zaczepiałem wszystkie hafty na kobietach. Upijałem się jak winem przepychem barw na ludowych strojach w czasie igrzysk likijskich w ateńskim stadjonie z białego marmuru.

Potem rzuciłem się na północ Bałkanu.

W Niszu aresztowano mnie jako podejrzanego o zamach. Przed chwilą wybuchły w poczekalni kolejowej maszyny piekielne. Byli zabici i ranni. A przed chwilą siedziałem pod tym piecem sam...

Nieporozumień nie mógł ukrócić paszport. Dopiero przypadkowy, stary dziennik komisarza policji. Była moja fotografja i serdeczna wzmianka o Polaku.

Innym razem jakiś okruch pyłu opóźnił działanie mechanizmu zegarowego i ogromny lej po wybuchu miny rozsadził tor kolejowy już po przejściu mego Simplon—Orient—Expres'u...

Zerwałem z zasadą kontroli i kontaktu z władzą, która dokucza. Na przestrzeni 900 km można przepaść najlepiej w pociągu. Tam niema potrójnych meldunkowych kart i najmniejszy ślad nie dotrze do politycznej centrali stolicy. Znikł nawet mój cień; przepadłem dla policji, żandarmów, szpiegów, wojska, władz, znajomych i przyjaciół najpiękniejszej krainy Europy.

Pięć dni i pięć nocy w pudle górskiej kolejki przeżyłem największe emocje, jakie dać może droga: Banja-luka—Jajce—Drvar—Knin—Adrjatyk. Omal nie udusiłem się w pyle łanów z samego maku w kotlinie Pelagonji nad Czarną Rzeką w Starej Serbji. Pod Ohrydą na pograniczu Albanji, księżycową, jasną nocą, na gładkiej drodze, zdala od jakiejkolwiek rzeki, zalała mnie powódź, cicha jak śmierć, echo jakiejś niewidocznej, dalekiej ulewy w górach Gaiiczica.

Potem wielki marsz na północ. Na Kosowem Polu nadaremnie oczekiwałem rozkwitu czerwonych stepowych róż — „bożyru", — okwiatu z krwi bohaterów; ale miałem wiele czasu, by ukradkiem wyuczać się na pamięć wzorów tkanin ludowych. W groźnych, sinych cieniach Szar-Planiny wieczorem opowiadaliśmy sobie: ja i srogie Makedońce, setne kawały i ryczeliśmy w napadach śmiechu poto, by pół-żartem i pół-serjo wydobyć od nich kunszty barwienia wełny.

Chętniej barwili noże. Końce długich kling matowiała krew. Może później, już nocą, szły te setne, kochane draby robić powstanie i nastawiać pod szynami piekielne zegarki...

Przepadłem potem w kamiennem morzu Hercegowiny i wypłynąłem w cichych toniach Bledskiego Jeziora. Dałem nura w Kroacji, by wychylić głowę w Bośni.

Tylko dziennikarze, ta najsprytniejsza zgraja serdecznych wścibskich ludzi, wiedzieli gdzie jestem. Mieli gwarancje, że nie interesuję się ich polityką, awanturami i dyskretnemi strużkami ich bratniej krwi. Przekraczałem je szeroko, szanując nawet margines walki i śmierci...

Interesowały mnie kilimy, wełna, hafty, barwy i ornament. Także owce, pasterstwo, chłopi i życie wsi. Baśnie stare i długie epopeje o Lazaricy i Kosowem Polu. Po nocach drwale podniebnych bośniackich puszcz przy ogniskach opowiadaniami kołysali mnie do snu.

Potem Bułgarja...

Nad najbardziej zwarjowaną rzeką świata, nad Iskerem płynącym pod górę, w Mezdrze, mieście niepodłem, gremplowałem w młynie z babami wełnę. Wśród mgły jesiennej z oddali zbliżały się garbate, pochylone postacie. Jak u nas do młyna, by mleć, tak tam czyścić wełnę schodzą się ludzie. W tobołach „czergi" wielkich jak kopice siana znoszą na plecach wełnę. I gadają; i wydziwiają. Wśród największego natłoku jaki kiedykolwiek zrobiłem w życiu, opowiadałem zasłuchanej ścianie ócz o jakiejś dalekiej słowiańskiej krainie, gdzie grona winnego kiść kosztuje majątek, ale gdzie na łanach czarnej ziemi bez śladu kamienia, grubości, o, takiej, wyżej najwyższej głowy! rodzi się łanem biały pszeniczny chleb...

Przez najodleglejsze, najdziksze krainy biegnie lśniący ścieg szyn. Przypomina własne dale i tęsknoty zasadza w sercu.

Nie mogłem się oderwać: mam apostołów, opowieści mych o Ojczyźnie. Chodzą cały dzień za mną.

Dwadzieścia dni i dwadzieścia nocy jestem w podróży. Z okruszynami mimowolnej drzemki. Poco tutaj spać, gdy tyle dokoła dziwów? Odbijemy wszystko w domu!

Jestem jak cień dawnego człowieka. Nie wiem, czy to bałkańskie słońce takie gorące, czy też we mnie płynie ukrop krwi.

Podwójny stalowy ścieg szyn... Szary podróżnik poczuł się znów gościem kraju. Gość rządu, przykryty kurzem długich i dalekich dróg, wchodzi do przedziału pierwszej klasy. Ktoś biegnie, chce pouczyć, że to nie tam, że „taki" podróżny jeździ inną klasą... Uśmiechamy się...

Moi apostołowie, mój Cyryl i Metody, stoją przed oknem. Jest pusto dokoła. Tłum ludzi zalega tylko peron.

Nie wiem, czy jedli nawet co dziś, ale oczy ich lśnią wiernym błyskiem. Cicho, żeby nie słyszał nikt, wymawiają te szczere, ostatnie, rozbrajająco ogromnie, ciężkie słowa pożegnania:

— Czy u ciebie, tam!... dobrze?...

Ilja Łatow i Giorgin Iwanow, chłopcy z Kamenopola koło Bełosłatinska, przyczepili się hakami palców do ramy okna. Pospieszny żelazny smok wlecze ich przez chwilę. Potem odpadają... leżą na kamieniach toru... powstają... biegną... Pociąg pochłonął zakręt.

Konduktor przez długi czas nie wchodził do przedziału. Za drzwiami pustego zresztą wagonu łamała się łzami nabrzmiała cisza.

Oszalały Isker płynie pod górę. Ściany kenjonu między Czerepyszem a Lokatnikiem sięgają chmur. Są różne ambicje...

— Jak się macie, chłopcy?! Kak ste?!...

— Błagodarja!... Dobrije sme, sława Bogu! — dobiega oddalą zduszone echo...

...Leżę twarzą ku niebu na bezkresach zieleni Besarabji, jak leżałem na równiach Muntenji, na południe od Bukaresztu. Roje myśli, natłok planów snuje się po głowie. I to wspomnienie Iskera, rzeki, co płynie pod górę i zwał Starej Planiny przerąbała jarem tysiąca metrów wgłąb...

Jestem już prawie bez grosza. Jak dalej?... Biała duża koperta. List z prezydjum Rady ministrów Rumunji... wolny bilet... można wracać...

Przez trzy lata zrzędu penetrowałem Bałkan.

* * *

Pierwszą próbę pracy w kraju nad kilimem polskim, ziarno organizacji dla jego dobra, zamknięto do więzienia. Bo czemże dla myśli ludzkiej jest wypchane warstwą popiołu i stalowych trocin żelazne pudło wertheimowskiej kasy?... Ważkie, trudno ustępliwe palce wydziału bezpieczeństwa spoczęły na kopercie, na której wydrukowano wpoprzek wielkie słowo: „tajne!"...

Grube drzwi pancernej szafy zamknęły się za cząstką ludzkiej duszy...

* * *

Przez okno widać rąbek górskiego zbocza oblanego złotem. W chacie tylko przygarść światła. Rusztowanie warsztatu tkackiego zjada promienie. Wśród ram nachylona głowa tkacza.

Przypatruję się jego pracy. Nie wie, że jestem w chacie i nie spodziewa się nikogo poza sobą. Składem dziesiątek lat przyuczone palce biegają i grają bezdźwięcznie na strunach osnowy. Z mroku śmieje się szeroki, kraśny śmiech huculskiego kilimu.

— Daj Boże szczęście!... Cóż wy robicie? — szeleści cisza.

Szerokie rękawy, przybrudne trochę, rozpłaszczyły się po kraśnej twarzy kilimu. — Zdusiły go. Coś, jakby opanowane zmieszanie zmierzcha z oblicza hucuła i pogodny, zrezygnowany wyraz musztruje wspaniałą maskę twarzy, jakie wogóle tylko tutaj można znaleźć jeszcze czasem.

— Ot, głupstwo, panie...

Bank Gospodarstwa Krajowego w roku 1932.

Rok 1932 zaznaczył się w bankowości polskiej, jak zresztą na całym świecie, poważnym spadkiem operacyj zarówno czynnych jak i biernych. Spadek ten wywołany został z jednej strony malejącem zapotrzebowaniem kredytowem życia gospodarczego w związku z obniżeniem się produkcji i obrotów, z drugiej zaś zmniejszeniem funduszów obrotowych banków, przedewszystkiem wskutek odpływu wkładów i lokat.

Dla Banku Gospodarstwa Krajowego rok ubiegły jest pierwszym rokiem kryzysowym, w którym ogólna suma operacyj wykazuje pewne, stosunkowo nieznaczne, zmniejszenie. — Zmniejszenie to przypada w całości na operacje gotówkowe Banku, gdyż działalność emisyjna wykazuje dalszy wzrost. Jednocześnie należy podkreślić, że w 1932 r. zaznaczył się po raz pierwszy w okresie przesilenia gospodarczego dość znaczny przyrost wkładów w Banku.

Suma bilansowa banku — bez pozycyj pozabilansowych — zmniejszyła się w porównaniu z 1931 r. o 21 milj. do 2,133 milj. złotych, tak samo zmniejszyła się ogólna suma obrotów Banku do 13,4 miljarda złotych w porównaniu z 16 miljardami z roku poprzedniego.

Kapitały własne Banku zwiększyły się w 1932 r. o 4,6 miljonów osiągając 219 milj. złotych. Wzrost ten przypada na fundusze rezerwowe, które wzrosły przedewszystkiem wskutek dopisania przewidzianej statutem części zysków z 1931 r.; kapitał zakładowy Banku pozostał w niezmienionej wysokości 150 milj. złotych.

Ogólna suma wkładów i lokat skarbu państwa, bez rachunków specjalnych, utrzymała się prawie na niezmienionym poziomie, wynosząc w końcu ub. roku 744.7 milj. złotych wobec 745,4 miljonów w roku poprzednim, co stanowi spadek zaledwie o 0,7 milj. złotych. — Rozwój powyższych dwuch pozycyj kapitałów obcych nie był jednolity. Lokaty skarbu państwa zmniejszyły się o 23,1 miljonów do sumy 483,6 milj. złotych. Spadek ten stoi w związku przedewszystkiem z ograniczeniem działalności kredytowej państwa na polu popierania budownictwa mieszkaniowego wskutek konieczności redukcji wydatków budżetowych. Rachunki specjalne zmalały o 7,6 miljonów do 134,8 milj. złotych.

Spadek lokat skarbu państwa został prawie w całości wyrównany wzrostem wkładów, które zwiększyły się o pokaźną sumę 22,4 miljonów z 238,7 miljonów w końcu 1931 r. do 261,1 milj. złotych w dniu 31 grudnia ub. r. Jeżeli chodzi o poszczególne kategorje wkładów, cały wzrost przypada na wkłady à vista, które łącznie z różnemi saldami kredytowemi zwiększyły się w ciągu roku o 23,2 milj. złotych do 164,0 milj. złotych. Wkłady terminowe natomiast utrzymały się na prawie niezmienionym poziomie, wynosząc 97,2 milj. złotych, a więc zaledwie o 0,8 miljonów mniej niż przed rokiem. Podkreślić przytem należy, że wzrost sumy wkładów zaznaczył się w roku ubiegłym po raz pierwszy w ciągu ostatnich lat kryzysowych. Wkłady oszczędnościowe wzrastały w roku ubiegłym w dalszym ciągu, osiągając na dzień 31 grudnia 1932 r. sumę 53 milj. złotych.

Dzięki wzrostowi wkładów, przy jednoczesnem zmniejszeniu krótkoterminowych kredytów, nastąpiło dość znaczne zmniejszenie redyskonta weksli w Banku Polskim do sumy 79 milj. złotych, czyli o 19,6 milj. złotych, jak również całkowite spłacenie zagranicznych kredytów bankowych. Ogólna suma sald kredytowych banków w B. G. K. spadła w związku z tem w ciągu roku 1932 o 16,7 miljonów do kwoty 40,7 milj. złotych.

Operacje kredytowe Banku wykazały w 1932 r. nieznaczne zmniejszenie w porównaniu z rokiem poprzednim. Łączna suma kredytów obniżyła się bowiem o 15 miljonów do 1.861 milj. złotych. Zmniejszenie to przypada w całości na dział kredytów gotówkowych, podczas gdy suma kredytów emisyjnych w listach zastawnych i obligacjach wykazała dalszy wzrost.

Pożyczek emisyjnych w listach zastawnych i obligacjach udzielił Bank w 1932 r. na łączną sumę 63,6 milj. złotych. Suma ta przypada prawie w całości na konwersję udzielonych poprzednio gotówkowych pożyczek budowlanych (53,8 milj. złotych) oraz na konwersję gotówkowych kredytów komunalnych (7,2 milj. złotych). Nowych pożyczek emisyjnych Bank w 1932 r. prawie nie udzielał ze względu na ograniczone możliwości lokaty swych emisyj. Ogólny stan pożyczek w listach zastawnych i obligacjach po odliczeniu amortyzacji zwiększył się w ciągu roku o 45,6 miljonów, osiągając 837,8 milj. złotych. Z sumy tej przypadało na pożyczki w listach zastawnych 284 miljony, w obligacjach komunalnych 468,4 miljony, w obligacjach bankowych 24,3 miljony i w obligacjach budowlanych 31,9 milj. złotych, a pozostałe 29,2 milj. złotych na zwaloryzowane pożyczki emisyjne b. Polskiego Banku Krajowego.

Ogólny stan **kredytów gotówkowych** obniżył się o 60,7 miljonów do sumy 1.022,9 milj. złotych. Z pomiędzy poszczególnych pozycyj tej grupy kredytów najsilniej spadły kredyty krótkoterminowe, a w szczególności kredyty dyskontowe i pożyczki terminowe, obniżając się w ogólnej sumie o 39,7 miljonów złotych do 285,5 miljonów złotych. Portfel wekslowy wynosił w końcu 1932 roku 131,2 miljony, czyli o 32,2 miljony złotych mniej niż w roku poprzednim, pożyczki zaś terminowe 24,4 miljony, a więc o 5,9 milj. złotych mniej niż przed rokiem. Natomiast kredyty w rachunkach bieżących pozostały na niezmienionym poziomie 125,5 milj. złotych. Poważny spadek wykazał przytem stan weksli protestowanych, który zmniejszył się o 1,5 miljonów do sumy 4,3 milj. złotych.

Kredyty średnio- i długoterminowe w dziale handlowym bilansu zwiększyły się o niecałe 3 miljony do 119 milj. złotych. W sumie tej pożyczki komunalne wzrosły o 6,5 miljona, osiągając na koniec 1932 r. sumę 62,6 milj. złotych; pożyczki budowlane z funduszów własnych Banku zmniejszyły się natomiast o 3,4 miljony do kwoty 16,4 milj. złotych.

Ograniczenie rozmiarów akcji kredytowo-budowlanej, prowadzonej ze środków Państwowego Funduszu Budowlanego, przyczyniło się również do spadku stanu pożyczek w dziale operacyj ze skarbem państwa. Ogólna suma tych pożyczek obniżyła się do 618,3 miljonów, była więc o 23,9 miljonów niższa niż przed rokiem, przyczem kredyty budowlane wskutek konwersji pożyczek gotówkowych na hipoteczne spadły o 20,9 milj. złotych.

Akcja kredytowo-budowlana Banku polegała głównie w roku ubiegłym na popieraniu wykończania budowli poprzednio już finansowanych. W zakresie nowych budowli Bank już w 1931 r. wkroczył na drogę popierania przedewszystkiem budowy małych domków i akcję tę kontynuował również w roku ubiegłym. Całość akcji kredytowej w 1932 r. wyraża się sumą 29,5 milj. złotych przyznanych pożyczek budowlanych wobec 55,9 milj. złotych w roku poprzednim. Wskutek tego ogólna suma pożyczek, przyznanych przez Bank na budownictwo mieszkaniowe za czas od 1924 do 1932 r., wzrosła do 536,3 milj. złotych. Stan bilansowy gotówkowych pożyczek budowlanych wynosił w dniu 31 grudnia 1932 r. 291,4 milj. złotych; pożyczki konwersyjne w listach zastawnych i obligacjach budowlanych osiągnęły kwotę 211,6 milj. złotych. Łącznie zaś z kredytem obrotowym Funduszu Kwaterunku Wojskowego w kwocie 20 milj. złotych ogólna suma kredytów Banku na cele budowlane wynosiła w końcu ub. roku 523 miljony złotych.

Z pomiędzy poszczególnych grup życia gospodarczego, korzystających z kredytów Banku Gospodarstwa Krajowego, znaczniejszy wzrost zadłużenia wykazują instytucje finansowe; wzrost ten wyrażający się kwotą 11,4 milj. złotych przypada całkowicie na banki. — Zwiększyły się również o 5,6 milj. złotych kredyty dla samorządów. Spadek zadłużenia nastąpił natomiast w grupie spółdzielni, za wyjątkiem kredytowych, o 30,1 milj. złotych, z czego 5,5 miljonów przypada na spółdzielnie rolnicze i 24,6 miljonów na spółdzielnie budowlano-mieszkaniowe; spadek kredytów dla tych ostatnich wywołany został konwersją kredytów gotówkowych na długoterminowe pożyczki emisyjne. Zmniejszyło się ponadto zadłużenie przemysłu o 29,5 milj. złotych, rolnictwa o 8,1 miljonów oraz instytucyj i przedsiębiorstw państwowych o 5,8 milj. złotych.

Stan zasobów gotówkowych Banku (kasa złotowa i walutowa, rachunek żyrowy w Banku Polskim i rachunek czekowy w P. K. O.) uległ zmniejszeniu o 2,1 miljonów do 51 milj. złotych. Mimo to pokrycie kapitałów obcych działu handlowego (wkłady, redyskont i salda kredytowe banków) gotówką nie wykazuje żadnych zmian, wynosząc 13,4%, t. j. dokładnie tyle, co w końcu 1931 r. Jedynie tylko pokrycie kasowe wkładów zmalało z 37,8% w roku poprzednim na 31,1% w końcu 1932 r., co należy przypisać głównie nie zmniejszeniu środków kasowych lecz przyrostowi wkładów.

Czysty zysk Banku Gospodarstwa Krajowego za 1932 r. wynosi 2.846.111 złotych. Stanowi on w porównaniu z zyskiem, wykazanym w bilansie za 1931 r. dość znaczne zmniejszenie, wynoszące przeszło 4 milj. złotych. Tłumaczy się to stosowaniem przez Bank w znacznie szerszej mierze aniżeli to miało miejsce w latach poprzednich różnego rodzaju ulg dla swych dłużników. Najważniejszemi z nich były: 2% obniżka odsetek od pożyczek emisyjnych na majątki ziemskie przy jednoczesnem utrzymaniu pełnej płatności kuponu, następnie bonifikaty części kuponu od papierów towarzystw kredytowych ziemskich, znajdujących się w posiadaniu Banku, wreszcie przeznaczenie 1 milj. złotych dla miast, spłacających t. zw. pożyczki ulenowskie.

Z powyższego krótkiego przeglądu sytuacji Banku Gospodarstwa Krajowego w roku ubiegłym wynika, że działalność tej instytucji rozwijała się zupełnie pomyślnie, czego następstwem są nietylko zadowalające wyniki bilansowe, ale również znaczne wzmocnienie struktury finansowej Banku.

ADAM BUNSCH.

„Wojenko, cóżeś ty za pani..."

(Fragment z większej całości).

Podajemy fragment ciekawej opowieści młodego, utalentowanego artysty malarza i pisarza, którego sztukę „Koń Parowy" grał teatr krakowski. — Sztuka jak wiadomo wywołała najsprzeczniejsze sądy. Red.

Przyjechał kolega z urlopu. Przywiózł flaszkę wódki. Siedzieliśmy w późną noc i gawędzili. Co słychać w kraju? Jak się bawiłeś?

Na środku rynku stoi karuzel. Główna muzyka jakiegoś instrumentu maszynowego trochę nadpsutego. Karuzelą zwołuje ludzi. Ludzie się cieszą i bawią, jeżdżą na różnych zwierzętach. On, pan tej zabawy stoi we fraku na podniesieniu, obwieszony gwiazdami różnych orderów i krzyczy, zachwala swoje przedsiębiorstwo, zachęca do zabawy. „Karuzel, cudowny karuzel!" Dostojni panowie i piękne panie siadajcie na konie, wielbłądy i muły. I wy proletarjusze niesłusznie tak brzydko nazwani i wy z lepszego towarzystwa i wy matadory poważne świata i wy z półświata, wsiadajcie każdy na swego rumaka. Potem wyjmuje najnowszą gazetę i czyta urzędowy komunikat. Wróg polowy rozbity w polu i wróg domowy zamknięty w więzieniu. Wątpliwy i niebezpieczny przyjaciel rozbrojony! „Naprzód, naprzód — niema w świecie równych nam!" — Potem daje gazetę gościom i dalej zachęca do zabawy. Kto sam nie może zwyciężać, niech się przynajmniej raduje, niech tańczy, niech wiruje na swoim koniu czy mule dokoła słupa. Czujecie, jak wam się w głowach kręci — to objaw naturalny, siadajcie państwo, a ja wam to miłe kręcenie organizuję zwrócę we wspólnym kierunku. Przyznajcie mi, że czujecie potrzebę wirowania. Ach, jakiż to cud — karuzel! Jedni już siedli i krążą, a on tymczasem dalszych zaprasza, zaczyna krążyć wolno, potem szybciej, szybciej, coraz szybciej. Wiruje karuzel, wiruje słup, wiruje coraz prędzej, coraz prędzej, prędzej... Potem karuzel już nie wiruje, ani słup, tylko świat się kręci. Ty stoisz dostojny, poważny, niewzruszony, a świat się dokoła ciebie kręci — rozkosz...! Jesteś słońcem, centrum świata, a wszystko, wszystko dokoła ciebie się kręci. — Przebiega w szalonym pędzie, boisz się, żeby się nie rozbiło, ale nic się nie rozbija, wszystko krąży w porządku jak wśród gwiazd. A potem i świat cały znika. Siadajcie, siadajcie, pokażę wam szał zwyciężających wojowników szał zapomnienia.

Tak się bawili ludzie.

A czy się już nie bawią? — pytam.

Nie, już się zabawa skończyła. Karuzelarz kupił pewnego dnia jak codzień gazetę od chłopa. Miał coś przeczytać, zmieszał się, szukał nerwowo i nic nie przeczytał.

Zsiadajcie państwo, zsiadajcie prędko! Zwijam budę. Zatrzymał nagle karuzel. Ludzie nie mogli prędko zsiąść, nie czekał nawet na to, zostawił przedsiębiorstwo i gazetę i znikł. Bez śladu. Dlaczego — nie wiadomo. Przeglądaliśmy potem gazetę i nie było w niej nic nadzwyczajnego, nawet mniej jak zwykle, bo nawet nie ogłaszano już komunikatu z frontu.

A goście mieli zamroczone głowy, zawrót, nie mogli zwlec się ze swoich bydląt — potem się niejeden przewrócił, niejeden sobie guza nabił. Raz dwaj starsi panowie leżeli obok siebie i tak rozmawiali: Powiedz mi pan, szanowny panie radco, gdzie jest prawa strona. Nie wiem, jak mi Bóg miły — odpowiada tamten. Prawa moja noga wiruje dokoła lewej. Nie jestem w możności pojąć stron świata, ani nawet swoich — panie nadradco.

Panu nadradcy przyszła refleksja, jakże ja teraz wrócę do domu do żony, do biura, do obowiązku?

A ja panie nadradco, jak stanę przed moim szefem? Będzie mi się zdawało, że się koło mnie kręci. A to ciekawe, że teraz wszystko w odwrotnym kierunku. Czy i panu się tak samo wydaje?

Istotnie panie radco, tylko teraz zdaję sobie wyraźnie sprawę z tego, że to złudzenie. Ach, jak mogłem tak się dać zamroczyć. Kiedyż przestanę wirować? Kiedyż moja głowa wróci do normalnego stanu? Muszę przyznać, że miło mi było widzieć, jak krąży świat, ale to fatalne zakończenie, o tem nie mówił szelma, a jeszcze tak nagle zatrzymał.

Po chwili widocznie im się lepiej zrobiło, bo zaczęli widzieć co się koło nich dzieje.

Popatrz pan, ta wykolejona pani, padła w objęcia tego wykolejonego pana. To się nazywa wojenne zepsucie obyczajów. Może oni nawet temu nie są winni, może to wogóle mnie się tak tylko wydaje? A tam znów niańka przygniotła sobą dziecko, dziecko się drze — wyciągnijmy dziecko, z pod tej grubej niańki, bo je udusi.

Widocznie przytomnieli obaj, bo zaczęli już nie tylko widzieć, ale i myśleć o otoczeniu.

I owszem, i owszem, spróbujmy, tak nakazuje ludzkość.

Ale nie udało im się wstać, podnieśli się trochę, zakręcili razem i upadli.

Leżymy. Tak leżymy, ale napewno zaczynam przytomnieć. Już wiem, gdzie moje ręce i nogi, chwileńka jeszcze, a będę się mógł podnieść. A taka to się wydawała niewinna zabawa ludu, a tymczasem świat cały rusza z posad! No, tak, nie jest na szczęście, ale myślałem o tem serjo, wierzyłem tym bredniom karuzelarza. Zdawało mi się przez chwilę, że prawa mechaniki świata są czczym wymysłem uczonych, bo kłam im zadaje byle karuzel, że gdyby je układali siedząc nie na stołkach, ale na rumaku karuzelowym, wtedy inaczej brzmieć by musiały. Teraz już jasno widzę, że to był ciężki grzech i że ta niańka rzeczywiście przygniotła dziecko i że ta pani i ten pan zachowują się nieprzyzwoicie. O zgorszenie tego świata!

Podnieśli się wreszcie z trudem, pomagając sobie wzajemnie, zataczając się jeszcze.

Chodźmy stąd prędzej do domu czyścić się z błota, bo czuję, że tu policja wnet wkroczy. Karuzelarz uciekł, jemu nic nie będzie, tylko tym, co tu leżą z wypaczonemi pojęciami o mechanice świata.

Ależ to wesoła historja! Uśmiałem się do rozpuku. Kolega mój pewnie się dobrze naśmiał na miejscu, bo teraz się nie śmiał.

No — i wojna się skończyła.

Och! już? Jestem pewny, że historycy wojny nie będą mieli z tej opowiastki żadnego pożytku. A może to dzieje, miłości tylko! Tak, miłości rzeczywiście. Ale i to nie bardzo pewne. Cała historja obraca się wśród kilku sprzeczek z moją ukochaną, w których ja zawsze kobiecie ustąpić muszę. Czy to już była miłość?

W tem miejscu powinienem umrzeć.

Ponieważ jednak tak się nie stało, przeto opowiastka moja mieć będzie jeszcze jeden rozdział.

IZA KONARSKA.

DZWONY.

Legenda jest często konsekwentniejsza niż życie.

Trzeba być bardzo dobrze obeznanym z labiryntem uliczek, zaułków, piazzet i portyków, z fizjonomją śpiących fasad o rzadkich okienkach i omszałych fundamentach, wyrastających wprost z drzemiących kanałów, by trafić, bez cicerona, na piazza San Salvatore, na której stoi kościół pod tem samem wezwaniem.

Tym kościołem, pozbawionym na zewnątrz wyraźniejszych cech architektonicznych z powodu widocznej, późniejszej przebudowy, a wewnątrz którego, fałszywy renesans sąsiaduje zgodnie z tanim barokiem, mało kto, poza dzielnicową ludnością, bliżej by się interesował, gdyby nie fakt, że w jednej z jego bocznych kaplic wisi obraz, przed którym, jak dzień długi, kopcą się liche świeczki, zatkane w kolce żelaznego trójnoga.

Jedynie po zczernieniu i popękaniu tu i ówdzie farb, można dojść do przekonania, że obraz jest bardzo stary, bo przynależności do jakiejkolwiek szkoły, lub filiacji z wybitniejszemi mistrzami weneckiego pendzla, dopatrzeć się w nim nie można.

Warstwa kopciu i pyłu, zacierająca kontury malowidła, świadczy również, że obraz nie był nigdy przemalowany. Widocznie wisi tak nietknięty, w obramowaniu korali, łańcuszków, paciorków i srebrnych exvotów, od chwili umieszczenia go w tym ołtarzu, a przeciągają przed nim, po dziś dzień, nie tylko stare niewiasty w kłapiących sandałach, ale nierzadko i starszy pan w binoklach, dziarski faccino, student i żwawa jejmość w kolczykach i koronkowej zarzutce na włosach. Turysta jest rzadkością. W okresie zaś wielkanocnym ciągną do kaplicy istne pielgrzymki miejscowych, a wyżłobiony, kamienny jej próg i falująca posadzka, dowodzą, że tak musiało być od zawsze.

Legenda łatwo nie umiera ,a cudowność zaklęta w jakimkolwiek przedmiocie kultu jest taką samą własnością ludzkiej pożądliwości, jak wszystko inne; nie da ona ją sobie lekko wydrzeć, chociażby sceptyczne doświadczenie dowodziło czego innego, a trzeźwe i sumienne badania Kościoła odsuwały prawdopodobieństwo nadprzyrodzonej interwencji.

Musi się mieć przecież o co serce zaczepić w godzinach trwogi, niepokoju, nadziei lub wdzięczności.

I stolica dożów dziękuje od czterech stuleci... mimo, iż tło i szczegóły wydarzenia zatarły się stosunkowo, w pamięci żyjących; mimo, że symbolika związana z tradycją tego fantastycznego wypadku jest już własnością baśni i zabobonu, dziękuje bez wstydu, że od pamiętnej daty, wyczarowanego wiarą cudu, morowa zaraza, w jej murach więcej nie zagościła.

Dzwony... te nie porównane, weneckie dzwony, pieszczota uszu i serc mieszkańców, kto wie, czy nie od tej właśnie pory, stały się owym tradycyjnym objektem ich umiłowania, integralną częścią melodji ich duszy.

Modlą się do nich w tym cudownym obrazie.

Nie łatwo zrekonstruować legendę na tle tego, co na nim dziś widnieje. Alegorja silna, rozmach celowy, łatwowierny, treść rozbita, jak na tryptyku, lecz w płaszczyznach poziomych, związanych jakimś zewnętrznym nakazem mistrza, warunkiem chwili, ale pozbawionych jednolitości natchnienia, nierozerwalności wizji.

U dołu na pierwszym planie zbity tłum ludzkich postaci, gąszcz wzniesionych ramion w błagalnym geście, obłąkany krzyk, uchodzący z otwartych gardzieli, postawy korne lub zastygłe w niemem zatrwożeniu.

U góry w kłębowisku sinych obłoków, para rozkołysanych dzwonów, drgających modlitewnym dreszczem, jakby w stałem pogotowiu, by wieścić dobrą nowinę: „Delle campane e solvezza..." My służki Pańskie, posłane z nieba, my zwiastunki zmiłowania Jego.

W pośrodku blada, bezkresna poświata... dziś zżółkła, bezświetlna mgławica, na tle której odcina się ledwo dostrzegalnie, symboliczny trójkąt źrenicy Opatrzności.

Nie widać, by wrodzony zmysł piękna i harmonji włoskiego ludu, wystawiony był tutaj na silniejszą próbę. Od dawna przywykliśmy do tego, że cudowność, że łaski przywiązane do tworu rąk ludzkich i ludzkiego ducha, goszczą rzadko w ramach artystycznej doskonałości.

Dlaczego? To ich tajemnica, a może ich racja.

Podpisu żadnego. Tradycja jednak wiąże fakturę obrazu z nazwiskiem artysty Enrico Daponte, męża wysoce świątobliwego, biegłego w Piśmie i wielbiciela Dantego. Był dzieckiem laguny i ponoś nigdy, poza pontony swego umiłowanego miasta nie wyjrzał. Pozatem o jego karjerze artystycznej, o bliższych szczegółach jego życia, kroniki milczą, z wyjątkiem tego ostatniego epizodu, związanego z powstaniem obrazu, zarazą i jego tajemniczym zgonem, który uczynił z niego postać na wpół legendarną, nieomal świętą. Czasy ku temu sprzyjały.

Ludność wenecka, tak trzeźwa, tak merkantylnie nastawiona, dość odporna na wpływy religijnego odrodzenia, które oblicze średniowiecznych Włoch, tak bardzo przeobraziły, zapragnęła tym razem, mieć również swego przedstawiciela, bodaj nie oficjalnego w niebie. Nie chciała być gorszą od Sienny, Genui, Padwy lub Gortony. Na wyżyny Assyżu spoglądała z podziwem i z niedowierzaniem.

Rządząca ówcześnie miastem Signioria, nawet Rada Dziesięciu, sprzyjały tym zachciankom; schlebiały im skwapliwie, rade, że uwaga i nastroje ludu wzięły tak niezwykły obrót, i oddalały się, choćby na czas krótki, od poważnych zatroskań, jakie na horyzoncie jej spraw politycznych zawisły.

Owa przesławna Rada, podparta nieubłaganą Inkwizycją, na zewnątrz tak groźna, nie przestawała jednak być niezmiernie czułą na pomruki, na nieukontentowanie ludu, skierowane w stronę jej rządów. Punktem jej honoru, wytyczną od wieków, było zadowolenie, pełne zaufanie podwładnych.

Tymczasem skarb zaczynał pustoszeć, długotrwała, bezpłodna walka z Medjolanem, ze znienawidzonym rodem Viscontich, z Modeną, wyczerpywały zasoby i zniechęcały ludność; flota niezasilona od dawna, zaczynała tracić swe dominujące stanowisko na morzu.

Ale to nie było wszystko; na swem sumieniu, publicznem zwłaszcza, Rada czuła niejedną głęboką skazę.

Toteż, gdy wczesną wiosną roku 1492 wybuchła morowa zaraza, zawleczona z Egiptu wraz z transportami ryżu i bawełny, zabobonność ludu uderzyła odrazu w stronę tej ponurej tragedji Foscarich, która dobrą sławę i tradycje Wysokiego Rządu Rzeczypospolitej poraz pierwszy jawnie splamiła.

Ta tajemnicza sprawa nurtowała wciąż jeszcze w pamięci poddanych, gotowa wybuchnąć, przy pierwszej okoliczności buntem zranionej ambicji i lękiem przed sprawiedliwą zemstą niebios.

Złożenie z urzędu i nagła śmierć starego doży, po długoletniem, chlubnem panowaniu, nieubłagana mściwość względem jego syna Jakóba, poddanego kilkakrotnie torturom, to było coś, co nie przestawa wisieć złowrogim całunem nad losami Wenecji.

Jawnym jego wyrazem, niezbitym dowodem gniewu bożego, stał się mór. Zaraza, ukrywana z początku przez organa władcze i po części przez samą ludność, zagnieździwszy się w dzielnicy robotniczej, zaczęła raz po raz wybuchać i w innych częściach miasta; gdy ogarnęła śródmieście, zgroza sytuacji, poczucie tragicznej bezsilności opętały wszystkie umysły, równając w bezimiennym strachu serca tak maluczkich jak możnych.

Zaczęła się masowa ucieczka, jak szczurów z tonącego okrętu; lecz niebawem gwałtowny protest okolicznych prowincyj, wzgląd na bezpieczeństwo ogółu, zatamowały ten exodus.

Tak od strony morza jak i lądu wstęp i wyjście z miasta zostały surowo wzbronione; poczucie oblężenia od wewnątrz uświadomiło skazanym, w całej rozciągłości, bezmiar nieszczęścia.

Życie zamarło; słynna dogana zawiesiła na czas nieograniczony swe czynności; liczono swe zapasy, nie wiedząc na jak długo starczyć mają.

Rada nie schodziła ze sali posiedzeń, usiłując spokojem przygłuszać ferment; tłumiła wybryki rozszerzając nad całym zagrożonym obszarem stan wyjątkowy.

Głównem siedliskiem zarazy były okolice arsenału, przy którym mieściły się składy żywnościowe i tekstylne.

Lud wrzał złością i nietajoną zemstą ku tym przeklętym Lewiatanom, których posądzał, iż podstępnie klęskę na ich miasto ściągnęli.

Pewnej nocy, opodal wybrzeży San Nicoletto, rybacy zgarnęli do swych łodzi dwa trupy takich skrytobójczo zamordowanych i wrzuconych w lagunę, przybyszy ze wschodu.

To dopełniło miarę nieprawości. Od tego dnia, ani jeden dom, ani jedna godzina, nie zostały oszczędzone.

Gdy zorganizowany konwój gondol, łodzi i bark wszelakich, wiozących trupy ku Campo Santo, okazał się nie wystarczający, Rada zarządziła palenie zwłok na odludnem wybrzeżu wyspy San Lazaro i drakońskiemi karami ścigała tych, którzy ciał swych najbliższych wydać nie chcieli.

Lazarety strzeżone były niczem fortece, tak długo, jak wystarczały, ale niebawem śmiertelna mara wypełzła i na ulice. Nie było zaułku, nie było portyku ni mostu, w cieniu którego nie wiły się w przedśmiertnych drgawkach i cichem charczeniu, czerniejące żywe trupy.

Lud szlochał po kościołach, osieroconych z księży, których obsługa przy konających trzymała dzień i noc w pogotowiu.

Błagał zmiłowania, zaklinał jęczał skowytem rozpaczy. Nie pomagały pokutne procesje, bezcenne dary składane przez patrycjuszów u stóp patrona i orędownika miasta. San Marco, może poraz pierwszy, odkąd sięgała pamięć żyjących, zdawał się być głuchym na płacz swych dzieci.

Czyżby nie znalazło się w stolicy dziesięciu sprawiedliwych, by wypłacić się sprawiedliwości Bożej? Czyżby już naprawdę nie warci byli nawet miłosierdzia?

Niepodobna, by nie znalazł się chociaż jeden człowiek, którýby wart ściągnąć na siebie litościwy wzrok Stwórcy.

Ktoś wspomniał o malarzu-pustelniku, Enricu Daponte; o tym mężu sprawiedliwym, samotnie swój żywot pędzącym po tamtej stronie kanału, na Giudece, w swym niedostępnym wirydażu.

Czy żyje jeszcze? czy już pomarł? nikt nie wiedział. Jeśli żyw, jeśli go dotąd zaraza oszczędziła, to znak, że on, nie kto inny, tylko on, il Santo, upatrzony jest przez niebo, by stać się narzędziem łaski Opatrzności.

Wyobraźnia ludu uczepiła się tej iskierki nadziei, rozdmuchała ją w pożar obłąkańczej ufności.

Ruszono na oślep w stronę przeciwległego molo. Czego właściwie chciano, co nosił w sobie ten żywiołowy pęd, nikt się nie zastanawiał. Chciano cudu... z całą pełnią oczekiwania, wybawczego cudu. To takie proste, takie, jasnością swą olśniewające, gdy nadszedł kres wszechrzeczy, gdy zbliżył się dzień sądu.

Cud miał się ziścić przez ręce artysty, tego pomazańca bożego, i zdumienie ogarnęło duszę italskiego ludu, że mógł o tem przepomnieć. Zrodzi się obraz. Ślubowaniem całego miasta do życia wskrzeszony, zaniesion będzie do świątyni, w szumie cechowych chorągwi, w blasku insygnji królewskich, władczyni mórz. I po wszystkie czasy pozostanie świadectwem niezłomnej wiary, i zadatkiem przyszłych natchnień dla synów tej ziemi.

Tylko cudu...

Sto stóp zadudniło równocześnie głuchym łomotem na kamiennych, krętych schodach, wiodących na poddasze, gdzie wiedziano, że ongiś mieściła się pracownia mistrza. Zgiełk wyrwał Enrica Daponte z głębokiej zadumy. Stał oparty o występ okna, frontem do morza, i jak zwykle, o tej godzinie spoglądał na zachód, żegnając dzień szeptem dziękczynnej modlitwy.

Od dawna nie dochodziły go z dołu żadne odgłosy, nie naruszały ciszy osamotnienia. — Gołębie tylko wlatywały i wylatywały przez otwór okienny, widocznie nigdy nie płoszone.

Nie prędko zrozumiał, czego od niego chciano. Wzbraniał się. Od dziesięciu lat nie malował wcale; porzucone gdzieś farby wyschły na róg, płótna nie posiadał. Dlaczego zdradził swą sztukę, porzucił pendzle? Wszak wzrok mu nie osłabł, ani ręka drżała.

Sześćdziesiątkę nosił mężnie na barkach prostych i rosłych; fałdy skromnej, ciemnej opony nie kryły nic, coby trąciło starością i ledwo dostrzegalna siwizna imała się bujnej czupryny, wymykającej się z pod welwetowego beretu.

To były inne sprawy... ogółowi obce, niepotrzebne. To tajemnica tych, którzy ujrzeli...

Kto raz spojrzał w zaświaty, temu obrazy rzeczywistości płowiały w oczach, były złudą, rozpływały się we mgle nicości; tamto jedynie było istotne, żywe, treścią nie znikomą wypełnione. Pozory życia, cienie zjawisk dostrzegalnych, nie mogły się mierzyć z raz ujrzanym, choćby na mgnienie oka, Bytem, świadomość przenikającym, czarem prawdy niepodzielnej, serce wypełniającym, zaspokojeniem, ponad wszelką miarę, spodziewanem.

Ku tym wybrzeżom świetlanym zawiodła była artystę wizja, która boskość dantejskiej Komedji, w nieśmiertelne czasy zanosiła. — Czyżby miał próbować wizję tę kunsztem malarskim utrwalać, skoro nie podlegała żadnym, znanym mu, prawidłom sztuki.

Dziecinne igraszki. Znał rozkosz snów bez jarzma plastycznych obrazów, pragnień, bez niewoli określonych wyrazów.

Był obcy światu, całą pustynią nieznanych pożądań, niezrozumiałych zabiegów o nieuchwytne cele.

Wzbraniał się bez słów, któreby nic nie tłumaczyły.

Tłum prosił, nalegał, prawie groził.

Nazajutrz deputacja nobiliów, z samym przewodniczącym Rady na czele, nowy szturm przypuściła.

Przedstawiała zgrozę położenia, przestrzegała przed igraniem z fanatyzmem ludu, jeśli, w tej śmiertelnej dla niego próbie, wiara się zachwieje.

Wenecja ginie bez nadziei, bez ratunku; godzina ostatecznej próby dla niej wybiła. Zawód dokonany, to przekreślenie jej na wieki z karty dziejów.

Miłość ku jedynemu, godnemu ukochania miastu zwyciężyła.

Czas naglił. Losy były rzucone. Serca wszystkich, nawet sceptycznych członków Signiorji zawieszone były o tę jedyną nadzieję, nie szukającą nawet bliżej określonego, stałego wyrazu.

Obraz musiał być wykończony najdalej do dwóch tygodni. Coś się wówczas stanie, bo się stać musi.

Jedynie maestro Enrico rozważał w sobie z pokorą, co mogło być w nim takiego, coby zniewoliło Boga do użycia go, jako narzędzia Swej łaski. Niemniej podjął pracę. Zastrzegł sobie jedynie zupełną ciszę, zabezpieczenie przed wtargnięciem tłumu.

U stóp baszty postawiono straż z milicji miejskiej, luzującą się dniem i nocą.

Malował, jak się modli, klęcząc. W pewnej chwili, wyjątkowego natężenia ducha, uświadomioną mu została cena, przywiązana do cudu, który miał wybawić miasto; cenę tę zapłaci on. Lecz ręka mu nie zadrżała, wzrok mgłą nie zaszedł; przyjął z dziękczynieniem.

Tymczasem śmierć nie przestała chadzać ulicami miasta.

Chwała zorzy kwietniowej wstawała co rana nad cmentarzyskiem, nikt się już nie pytał, nikt się nie dziwił; cisza grobowa zaległa place i rivy; wzdłuż ścian leżeli do słońca ludzie-szkielety, którzy ostatnie targi z życiem prowadzili. Rozkład powietrza był taki, że wiedział każden, iż kto podstępnie nie zmyli czujności straży, i nie umknie nocą z tej zadżumionej twierdzy, ten zginąć musi. Niejeden próbował nawet wpław przedostać się na tamy, wrzynające się głęboko w lagunę lecz najczęściej, obrany z sił, tonął i trup jego tak długo kołysał się na powierzchni fal, póki go głębia nie pochłonęła.

Normalny bieg życia zawieszony był oddawna w tem obozowisku śmierci, nad którem jedynie przyroda, ślepa, obojętna na wszystko, roztaczała, jakby na pośmiewisko, swe igrzyska wiosenne.

Odpowiadały im martwa rezygnacja i odrętwienie, coś pośredniego między snem a jawą.

Wszystkie różnice stanu zatarły się doszczętnie; przywilej śmierci zrównał wszystkich, ale i zabił w sercach ostatnią iskierkę litości, tę placówkę ostatnią, w której chroni się zamierające człowieczeństwo.

Patrzono obojętnie na zgon najbliższych, dusze były syte bólem, miara była przebrana.

Jedynie Kościół usiłował jeszcze nie schodzić z placu, słowem nadziei i otuchy stawiać czoło rozpacznej bezsile; nie zaniechał żadnych środków, któremi jeszcze rozporządzał.

Zbliżał się Wielki Tydzień, ponury, obojętny, niczem znaczyć się nie mogący, w łańcuchu tych dni bez jutra.

Z rzadka pozostawionych wolno świątyniach, nabożeństwa pasyjne, odprawiane bez kompletu i zwyczajnej pompy, przy zciszonym odgłosie dzwonów, starały się jednak utrzymywać wątek życia, nieprzerwaną nić wiążącą, mimo wszystko, Boga z losami Jego stworzeń. Ludność ,choć zdziesiątkowana, jakby w instynktownem poczuciu bezpieczeństwa, garnęła się do tych przybytków, wypełniała je po brzegi. Świadomość o spodziewanej interwencji niebios dotarła mniej lub więcej wyraźnie do umysłów wszystkich.

Z nadzieją lub bez nadziei czekali wszyscy, zawieszeni resztkami życia o niezachwiane przeczucie, że przełomowa chwila się zbliża. Nie zawiodła...

Ołowiana cisza wielkopiątkowego południa zawisła nad całem miastem. Z wierzyc kościołów nie rozchodził się żaden odgłos, najskromniejsza sygnaturka zamilkła. Wiosła i żagle zwisały nieruchomo u wylotu kanałów, nawoływania tych, którzy z rozkazu, rozwozili holownikami żywność do najbardziej zarażonej dzielnicy, brzmiały jak tłumione echo.

Przyroda i ludzie oczekiwali w milczeniu nadejścia godziny wielkiego misterjum Krzyża.

W tem, w sklepienie lazuru, czyste jak łza, bezkresne i ciche jak wieczność, uderzył potężny, melodyjny ton srebrzystych dzwonów.

Od pierwszego uderzenia zawładnął całym firmamentem. Akorda wiązały się, dopełniały, w jedno preludjum dźwięków, przelewające się w drgającem przestworzu od wschodu do zachodu.

Osłupienie padło na świat; odbiło się od ziemi, w sercach ludzi, obłąkaną, trwożną radością. Tysiące głów zadarło się w górę, oczy szukały zjawiska, życie przeszło w słuch.

— Dzwoni... szeptały zbielałe wargi.

— Dzwoni... szlochały piersi, stępione bólem, niedowierzające szczęściu.

— Dzwoni... wołała niezłomna wiara, przebijająca niebiosa.

W mgnieniu oka zaroiło się na kamiennych wybrzeżach, na parapetach, balkonach i pomostach. Konający, resztkami sił czołgali się wzdłuż murów, byle bliżej, byle dojrzeć skąd spływa głos zbawienia. Gdy sobie uświadomiono cud, rzesze jak jeden mąż padły na kolana; niby wspólnem porozumieniem, nikt nie przerywał ciszy, by nie spłoszyć niebiańskiej zjawy.

A pieśń nie milkła.

Do sali posiedzeń, wgłąb pałacu dożów, gdzie bez przerwy obradowała Rada Dziesięciu, wpadło dwóch wysłanników ludu:

— Dzwoni... rzucili, jak żagwią, ochrypłemi głosami. Ojcowie miasta poderwali się z miejsc, aż togi powiały. Oddawna świadomi byli własnej niemocy wobec zawinionej klęski i ratowali jeno pozory. Nie na długo byłyby jeszcze starczyły.

Do oratorjum sędziwego nuncjusza-legata, wtargnął kapelan, mimo surowego zakazu:

— Dzwoni, Eminencjo!...

— Słyszę, odparł starzec i jął dalej odprawiać przerwaną drogę krzyżową.

W pierwszych momentach oniemienia i podziwu, uszło z pamięci wszystkich to, co mo-

ADOLF FIERLA.

Rezurekcja.

Prawie odezwało się południowe „klękanie" z kościoła. Gospodyni oderwała gwałtownie ręce od dzieży, pełnej pulchnego ciasta, jakby ją kto poderwał.

— Nale, jejku kandy... Francik!...

Malec, oskrobujący ziemniaki w drugim kącie izby, wybałuszył swe rybie oczy.

— A co, gospodyń?

— Nagle migej na pole! Zwóny rozwiązali! Wyleć potrzepać drzewami! — sypały się jej z ust pokłębione i naglące słowa, jak krągłe, masnotą polane kluski.

— Już lecę!

Zerwał się, jakoby go inne wiejskie chłopaki powoływały do bitki, co lubił strasznie i co też nieraz było przyczyną, że szeroki rzemień gazdy spadywał na jego plecy, kopnął w pośpiechu do cebrzyka z ziemniakami, przewrócił go i buchnął do pola.

Bawił tam dość długo, bo gospodyń zdążyła przez ten czas i nakryć ciasto wełniakiem, (aby się, Boże broń, nie zanieczyściło), i pozbierać rozsypane przez smarkacza po podłodze ziemniaki i wysypać z siebie, jak z szerokiego wora, całej strugi wykrzykników, których ostrze skierowane było naturalnie przeciw Francikowi, jako niesłychanemu niedojdzie, ostatniemu ślamazarze i wogóle paskudnikowi, co przy każdej robocie coś „na paszkliwość wywiedzie".

Aż nareszcie, jakby wiedział, urwis jeden, że gaździna skończyła już, wpadł z impetem napowrót do izby.

— Gospodyń!

Chciała odpowiedzieć najwidoczniej w kwestji rozsypanych ziemniaków i oblanej paskudnie wodą podłogi, bo już wyciągnęła dłoń w stronę hycla, ale Francik zdołał uprzedzić fakt uderzenia.

— Go-spo-dyń!... — wyszeptał przyduszenie i trwożnie.

Opuściła wyciągnięte ramię.

— Co się zaś stało? — spytała niespokojnie.

— Gospodyń... — głos mu się chwiał i strzępił jak na wietrze — gdybyście słyszeli... gdybyście...

— Tóż mów! — wrzasnęła, nie mogąc wytrzymać nieistoty.

— Gdybyście słyszeli!... strómy (drzewa) grają... zwónią...

Rozeźliła się nadobrze, choć jednocześnie odetchła spokojnie.

— Nie pleć byle co, bo jak cie ucapię, to ci i jo zagróm, ale kijym po plecach!

— Ale ni... naisto drzewa grają... jak kiej ty organy w kościele... a pobrzinkują se, a świyrgolą, jakoby zwóneczki... pójdźcie jeny, pójdźcie na pole, a usłyszycie... dobrze wiym... prawie zwónili na kościele, prziszoł żech do ogrodu, chcę chwycić jabłónke... wiycie, tą, co rośnie przy płocie... a tu naroz cosi w ni gro... a dudrze, a zwóni, jak lelije... odskoczyłech od niej, boch sie boł... idę ku śliwie... wiycie gospodyń, ku tej, co stoi przed oknami... dotknę sie, a zaś cosi w niej szepce, a mówi a śpiwo... pójdźcie, usłyszycie...

W odpowiedzi ucapiła go za kark.

— Tóż to znaczy, żeś nie trząsł stromkami? — spytała groźnie.

— Ni... bołech sie...

— A coś tam robił tak długo na polu?

— Posłuchołech, jak drzewa zwónią...

— Tak? Tóż ci teraz jo zazwónię, ale kajindzi!...

Schwycony jej krzepkiemi ramionami, — Francik wierzgał nogami, szarpał się i darł w niebogłosy, by osłabić siłę spadającej mu na plecy karzącej dłoni.

— Gospodyń... nie bijcie, gospodyń!...

Ale ręka chlebodawczyni spadała na jego zad stale miarowo, w równych dokładnie odstępach czasu, z jednakową mocą i spokojem, i biła, jezusku kandy, tak biła! Aż wreszcie, kiedy „było już dość", Francik poczuł się uwolnionym z kleszczowych objęć. Rzucił się też w tej samej sekundzie ku drzwiom, by na wietrze przyśmierzyć boleść, ale przerachował się. Taż sama, bijąca przed chwilą dłoń, pochwyciła go za rękaw kabotka i zatrzymała w samym progu.

— Kaj uciekosz?

— Ale... podziwać sie, czy krowy nie wywróciły jedzynio... — wykrztusił, czerwony jak piwonja, nie mogąc znaleźć innej, godniejszej wymówki.

— Sama sie podziwóm... ty zaś pieknie pouciyrosz podłoge. Nalol-eś na nią wody, tóż będziesz mioł teraz robote...

Pochlipując srodze, ale tak jeno, z przyzwyczajenia, i celem przekonania gospodyni, że zbiła go zbyt boleśnie, bierze wtedy Francik z pod stołu ucierkę i klęka na deskach dłażki.

I teraz dopiero musi wysłuchać straszliwego kazania gospodyni. Jako to z powodu niego, Francika, drzewa nie dadzą tego roku żadnych owoców, gdyż on, Francik, głupiec z największych największy, nie trząsł niemi przy głosie rozwiązanych dzwonów z kościoła, jakoto nikt inny, tylko on sam będzie temu winien, że zamiast gruszek i jabłek będzie musiał latosiej jesieni gryźć swoją własną pięść, jakoto on, Francik, lekkomyślnością swoją i niestatecznem zachowywaniem się przyprowadza do ruiny całą gospodarkę, mimo że jako sierota, przyjęty do tego domu sercem litości pełnem, właśnie miałby odwdzięczyć się jej, gospodyni i gospodarzowi za dobre ich serca wierną służbą, a nie ustawicznem brojeniem i figlowaniem...

Aż zakończyła słowami, że ponieważ ona, gospodyni porządna i Pana Boga szczerze chwaląca, zbyt dobre posiada serce, przebacza mu ten wybryk, nawet gazdowi nic o tem nie powie, byleby tylko nie powtórzyło się w przyszłości nic podobnego.

Lecą słowa, spadają całą chmurą, krzyżują się z sobą i mierzwią, brzęczą jak stado ós, huczą i dzwonią, a wszystkie takie klujące, a wszystkie takie bolesne, bardziej niż kije, a wszystkie uderzające we Francikowe serce, a wszystkie godzące weń i wszystkie go bijące!...

A Francik, ucierający podłogę, słucha. Gorliwie słucha. Z poddaniem przyjmuje wszystkie te słowa, co mu na głowę płomienną gichają wylewą i szczerze nad swoim i skruszenie boleje występkiem.

Wszystko, co powiadają gospodyń, boli go i pali. Wszystko go do płakania pobudza. Tak, wszystko. I to, i tamto. To o tem sieroctwie i tem dobrem sercu. Ale to wszystko nic, to wszystko nic. Najgorsze jest to, że z jego powodu drzewa nie urodzą latoś żadnych owoców. Że on, Francik będzie przyczyną, dla której Pan Jezus nie pobłogosławią latoś ich ogrodu.

To jest straszne, to jest okropne. Na samą myśl o tem, Francik czuje, że po sercu ciecze coś jakby łzy, że wszystko się mu tam gdziesik w pośrodku przewraca i skręca z boleści. To jest naprawdę wielka rzecz: drzewa nie będą latoś rodziły!... O Jezu, o Jezu najmilejszy!...

Ale cóż! Mógł to trzepać stromkami, kiedy istotnie w nich grało coś i dzwoniło? Kiej w nich szeptało? A dzwoniło i szeptało naprawdę! Wyraźnie przecie słyszał... najwyraźniej... możeby nawet gospodyń nie usłyszeli, ale on słyszał, on naprawdę słyszał... nie jest już dzieckiem... trzynasty skończy w lecie... i drzewa dobrze zna! Grało, naprawdę grało! A najbardziej, to już chyba w tej jabłonce, tam, przy płocie... dziw, że nie zamarł z trwogi!... Nie mógł dotknąć nawet pnia, nie śmiał! Bo jakże? Dotykać drzew, kiedy w nich dzwoni, temi samemi grzesznemi rękami, któremi pokryjomu gruszki ściąga gazdowi ze strychu w zimie?... Jakoż!... Nie mógł przecie, i nie je-

gło być jedynem wyjaśnieniem tego cudownego zjawiska. Skąd? jak? dlaczego? niebiosa uderzyły w spiżowe serca niewidzialnych dzwonów.

Zapomniano o Enricu Daponte.

Lecz raz imię to rzucone, niż już nie powstrzymało setek ramion, chwytających za wiosła, by runąć w stronę Giudecci.

Wylądowawszy na brzeg, przybysze spotkawszy się z partją, ciągnącą z przeciwległej strony, powstał zator żywych ciał, tamujący wszelki ruch. Wąską gardziel uliczki, mało nie rozsadziły tłoczące się rzesze. Rozhukane bambiny, jak małe szczenięta, skakały wprost do wody, by okrążając kanał, przedostać się na przeciwny brzeg.

Wobec oblężenia baszty, straż odrazu poczuła się bezsilna; zrozumiała zresztą, że rola jej skończona, że rozgrywa się epilog tej dziwnej historji.

Gdy z trzaskiem wyleciały z zawiasów drewniane odrzwia pracowni na płótnie falowała jeszcze zlekka rozkołysana para symbolicznych dzwonów. Gdy zastygły nieruchomie, umilkł również niebiański śpiew w przestworzu. U stóp obrazu leżał bez życia mistrz Enrico, z paletą zatkaną za wielki palec lewej ręki. Farby jeszcze mokre świadczyły, że ręka, która niemi władała zastygła wśród pracy.

Odszedł jako ostatnia ofiara morowej zarazy, ofiara świadoma i dobrowolna, na którą czekał cud zmiłowania Bożego.

Boy i Boyizm.

Książka Irzykowskiego o Boyu-Żeleńskim, jest wydarzeniem niepowszedniem. Aczkolwiek czyni się teraz dużo hałasu dokoła Boya, a jego wyznawcy pasowali go już na „ambasadora Europy" — to jednak fakty te, nie stanowią jeszcze dostatecznie objektywnej miary, aby na tej podstawie książkę Irzykowskiego oceniać jako zdarzenie poważnej miary.

Kompleks Boya istnieje u nas, i ciąży tak silnie na życiu kulturalnem Polski (w sensie pozytywnym dla jednych, negatywnym dla drugich), nie dlatego że żyje i pisze sam Boy. I nie dlatego, że część naszych literatów „zboyiła" się doszczętnie; ale dlatego, że boyizm rozszerza się na całą Polskę, że uprawiając „dumping myślowy" patentuje to działanie w oczach opinji jako produkt kultury wysokiej jakości, że uzurpuje sobie prawo do reprezentowania szczytów i w tej uzurpacji znajduje poklask, że wreszcie na tej podstawie rości sobie prawo do ferowania wyroków i do sądzenia, że wszystko jest w porządku, że się jest na najlepszej drodze rozwoju, że raz po razu właśnie oni i tylko oni instalują u nas jakiś kawałek Europy, że się jest w sednie kultury i jej tworzywa właśnie będąc z niemi, jeśli nie u steru nawet.

Książka Irzykowskiego w gruncie rzeczy nie jest pamfletem na Boya, ale walką z boyizmem, jako zjawiskiem kulturalnem. „Naturalnie, notuje lojalnie Irzykowski, że Boy irytuje mnie jako tenor, który zamąca życie sąsiedztwu, lubując się w swojej koloraturze. Lecz moja „napaść" niniejsza jest głównie walką o rasę pisarską o t y p k r y t y k a i k l e r k a, który ma dominować". Właśnie dzięki takiemu ujęciu, dzięki przesunięciu polemiki ze sprawy ludzi na sprawy walki o normę i miernik kultury i jego twórców — lub krótko mówiąc przez postawienie sprawy clerka i clerkowstwa, nie jako pobożnego życzenia, lecz jako pewnego rodzaju imperatywu, książka Irzykowskiego jest niepowszedniem wydarzeniem.

Analiza clerkowstwa zadalekoby zaprowadziła, dlatego też ograniczę się tutaj tylko do stwierdzenia, że jak słusznie pisze Hertz („Droga" Nr 3 b. r.), celem klerka jest świadomy udział w tworzeniu kultury. Dodam od siebie — kultury bezinteresownej, a więc niejako sub specie aeternitatis wytwarzanej. Chodzi o to, że istnieją pewne granice, pewne normy obowiązującej postawy duchowej, pewna, jak określał Żeromski „nobilitas", poniżej której można być rozkosznym plotkarzem i reporterem, można lekko z maestrją i inteligentnie pisać, ale nie można być pisarzem, ani współtwórcą kultury duchowej i intelektualnej, ani za takiego się uważać.

Irzykowski demaskuje wstydliwie kompleksy boyizmu i jego wartość jako tworzywa kulturalnego i wykazuje, że ci co zasiedli na szczytach, wdrapawszy się „kuchennemi schodami" na postumenty wieszczów, popełniają najordynarniejszą zdradę clerków. Jakiż jest bowiem kompleks „ideowy" boyizmu, jakaż wartość owych zbroic i szpad walczących jakoby o nową rzeczywistość polską — o odkłamanie, oczyszczenie, zeuropeizowanie atmosfery polskiej.

Omawiając przybyszewszczyznę Boy pisał: „Dziś przy pośpiechu życia, przy powszechnym pragmatyźmie który nie doznaje potrzeby pozautylitarnego wartościowania zjawisk, niezrozumiałą się staje owa pasja bezinteresownego, oderwanego dociekania prawdy". — W tem krótkiem zdaniu tkwi cała boyszczyzna, wszystkie jej przyszłe narowy, mielizny, i wieszczenia, cały antyidealizm, kult faktu, praktyczności, względności norm, wreszcie cały ten kult życia — tej fikcji — życia poza normą, owym ideałem nawspak — ideałem życia ułatwionego, życia faktem, życia bez ryzyka, życia w którem każdy po swoje, do swego — każdy ten znajdzie tą, a tamta tamtego.

Kiedyś tam Boy, w związku z poradnikiem X. Pirożyńskiego darł szaty na sobie i kassandrował na temat tej Polski, która ma niby iść z ducha zakrystji poczęta. Przyznaję, duch zakrystji jest oparny i duszny, ale w zakrystji może narodzić się jakaś idea i rozróść się w podniebne nawy gotyckiej katedry — ale z tej Polski, która idzie z książek boyistów, nie zrodzi się nic prócz chyba jeszcze jednej plotki dla ucieszenia snobów, jednego jeszcze sposobu wypłatania figla naturze, jeszcze jednej metody wykręcania się w życiu sianem bez płacenia rachunku.

Boyizm jest równaniem w dół — kult faktu, kult życia samego nie może do czego innego prowadzić. Książki Boya mogą być nawet miłą lekturą dla kulturalnego człowieka, ale boyizm jako idea użycia a negacja pozautylitarnego wartościowania zjawisk i norm jest zjawiskiem antykulturalnem tem niebezpieczniejszem, że dzięki swej łatwostrawności, zostaje wynoszony na szczyt wieżycy. Ars brevis, vita longa, takie brzmi ze szczytów tej wieżycy, nawspak wielkości sztuki, zawołanie bojowe boyistów.

A. Listowski.

MIECZYSŁAW LISIEWICZ.

Drzewo Różanego Krzyża.

Fragmenty.

PISCES.

Mówię ci: niemoc jest w nas. Grób siły w pustem. Ja jestem.
Niema nic prawdy w rozsądku. Właściciel sklepu sumienia
sprzedał świadomość zbyt drogo. Serce na drobne rozmienił.
Daje żebrakom na rogu w jałmużnie pychy — dar gestu.
Ile waży jedno drobne serce? — Doprawdy, precz z tematami!
Cięższe niż mokra okiść, gdy plami igły sośninie.
Zresztą serce....
Wszystko mija — serce minie.

GEMINI.

Ostre są kanty książek. — Szelesty. — Wilgoć mądrości.
Mądrość jest zapomnieniem. — Jakżesz nie szukać słodyczy,
o której w pantoflach kropek swój cichy taniec za niczem
skaczą czarne litery, małe litery, znaki, pytajniki
cały świat zagmatwany, wązki w linji
którego i tak nie słyszysz.
Oczy drapią świat. Świat płynie...

VIRGO.

Palców biały różaniec, przesuwa ziarna melodji.
W lustrze klawiszów wydrgany, trzepocze powieką głos.
Czemu masz twarz taką bladą? — Nie czujesz? Coraz jest chłodniej,
to zimnem ludzi umarłych budujesz dźwięczący most!

Tanecznych linij uległość — w zagięciach rąk się zatraca,
gdy palce, owady nocy, biegają światłem spłoszonem.
W ciemnym zagonie sali wytryska ognista raca.
Mięsza ogni rumieniec. — Ton martwy w błyszczącym tonie...

To wielki ciężar: świat w ogniu, dla palców — łodyg ze szkła.
Może zatrzeszczą sucho ścięgna zerwane u osi?
Już płaczesz z bólu? Już prosisz? — Boga się płaczem nie prosi!
Bóg mocny jest — mocno mu trzeba grać.

AQUARIUS.

C i s z a: Zgubił się kształt, przedtem zaczernił się tak wyraziście.
Nie wiem: czy liść tworzy las, czy las rodzi liście?
Tak boję się zgubić Boga. Bóg jest jak liść w lesie...
S z u m: Wejdź w las, poszukaj Boga. Zielony strop niebo plami,
U nóg dywan złocisty żałobnych wichru uniesień
Usuwa się miękiem próchnem w rdzę ukrywaną kwiatami.
C i s z a: Bóg jest w górze, czy śpi?.., deptany w butów szeleście...
S z u m: Czekaj trwogi. Objawi się On. — Burza pachnąca gwiazdami.
Wtedy — ciebie — dzwonem zatraceń — znów wskrzesi!...

Najaktualniejsze zagadnienie.

Gospodarstwo polskie potrzebuje pieniędzy, a to dla utrzymania i urentownienia obecnie istniejących warsztatów i dla stworzenia nowych, skądże wziąć? Pieniądze pochodzą głównie z oszczędności obywateli. Nagromadzone oszczędności stanowią kapitał i ułatwiają powoływanie do życia nowych wartości gospodarczych. Naród oszczędny jest zamożny i pewny siebie.

Ludność w Polsce co roku wzrasta o prawie pół miljona głów i dlatego problem zarobkowania dla nowych obywateli staje się tak piekącym, jak obrona naszych granic i państwa. Zagadnienie to da się rozwiązać tylko na drodze kapitalizacji, przez oszczędność, bo tylko w ten sposób możemy zdobyć pieniądze na stworzenie nowych warsztatów pracy. — Jakżeż dojść do tego celu w Polsce? Czy dotychczasowa akcja nawoływania do oszczędności jest wystarczająca? Czy nasze warunki polityczne ułatwiają to zadanie? Czy wogóle mamy w Polsce taką atmosferę, która sprzyja oszczędności i kapitalizacji?

Zamiast wskazywania korzyści i dobroczynnych skutków gospodarczych kapitalizacji chcę w niniejszym artykule dowieść, że Polska jest obecnie wprost wyjątkowym krajem dla zarabiania, wzrastania zamożności i kapitalizacji. Niestety, Polacy dobrze Polski nie znają, a wielu jest wśród nas i takich obywateli, którzy nie mają wiary we własne siły, nie mają zaufania do Państwa, a przedewszystkiem „jeden drugiemu nie wierzy". — A tymczasem obcy więcej nas cenią i podziwiają, przyjeżdżają do nas i urządzają się na naszej ziemi.

Polska jest krajem, w którym istotnie panuje spokój, a od sąsiadów nie grozi nam żadna wojna. Rosja, zajęta swojemi sprawami wewnętrznemi i na Dalekim Wschodzie, nie stanowi dla nas niebezpieczeństwa. Niemcy przechodzą rewolucję wewnętrzną, są osłabione, nie mają pieniędzy i z nami narazie wojować nie będą. Może w dalszej przyszłości, ale teraz nie. Ten cudowny moment musimy jaknajspieszniej wykorzystać, aby oszczędnością i przez kapitalizację wzmocnić się gospodarczo. To jest najzupełniej możliwe, ale Polacy muszą uwierzyć, że tak jest i że tak będzie. Spokój wewnętrzny, rząd jednolity i silny, stała waluta, dobra gospodarka naszej bankowości i instytucyj oszczędnościowych — to wszystko aż nadto przekonywuje, że w Polsce można kalkulować i zarabiać.

Wiadomo, że nowe warsztaty, prowadzone oszczędnie i bez błędów przeszłości, łatwiej przystosowują się do potrzeb i wymagań obecnego okresu kryzysowego, wytrzymują ciężary fiskalne i dają dochód. Polacy mało zwracają uwagi na te objektywne warunki naszego bytowania. A przecież coraz to częściej słyszy się od powracających z zagranicy takie zdanie: „W Polsce jest teraz o wiele lepiej, niż gdzieindziej". I rzeczywiście, w Polsce nie jest tak źle, jak sami Polacy często sądzą i niesłusznie obawiają się uruchomienia swych zasobów pieniężnych, czy to bezpośrednio, czy pośrednio, na potrzeby życia gospodarczego.

Problem kapitalizacji, to problem zaufania wzajemnego obywateli do rządu, do państwa, do waluty, do naszego bezpieczeństwa zewnętrznego. Jeżeli te kwestje będą rozwiązane w sensie pozytywnym, to i kapitalizacja w Polsce stanie się łatwiejszą do realizowania. Właściwie nic dziś nie stoi na przeszkodzie, aby obywatel uwierzył, że w Polsce Niepodległej jest znacznie lepiej, niż u naszych sąsiadów; wystarczy tylko pojechać do nich lub czytać pisma, aby się dowiedzieć, jak źle się dzieje poza naszemi granicami. Nikt z Polaków, gdyby nawet był zmuszony, nie chciałby się przenieść do Rosji sowieckiej, lub do Niemiec, natomiast odwrotnie: coraz częściej obywatele z Niemiec i Rosji uciekają i przenoszą się do Polski. Czegóż to dowodzi? Tego, że Polska jest bezpieczna i praworządna.

Pozostają niewątpliwie takie uciążliwości, jak etatyzm, interwencjonizm, fiskalizm, różne niespodziewane zarządzenia, zmiany w ustawodawstwie itp., ale gdzie tego niema w czasach powojennych? Najpierw rząd obecny został obarczony wielkim bagażem z przeszłości i tylko stopniowo może go się pozbywać, a następnie — rząd coraz to bardziej przekonywuje się, że dalsze podcinanie drzewa, z którego owoców żyje państwo, jest bezcelowe. — Toteż rząd robi duży wysiłek, aby uwolnić społeczeństwo od zbytnich ciężarów z okresu przeszłości i ułatwić gospodarstwu prywatnemu lepszą kalkulację i możliwą rentowność. Ostatnie dekrety i ukazy natury gospodarczej są znacznym krokiem naprzód w kierunku oddłużenia rolnictwa, zwężenia nożyc cen, potanienia kredytu — słowem stworzenia lepszych warunków dla pracy gospodarczej. — Trzeba tylko, aby ludzie śmielsi, z inicjatywą i pomysłami do działania umieli wykorzystać te pomyślniejsze już dziś warunki pracy i zabrali się do stwarzania nowych wartości, zarabiali, oszczędzali i w ten sposób ułatwiali proces kapitalizacji. Można to robić na najmniejszym warsztacie, na najskromniejszym posterunku, przy najmniejszych świadczeniach i usługach. Niekoniecznie trzeba zaraz budować wielkie warsztaty i przedsiębiorstwa. Przeciwnie, dziś są pewniejsze i rentowniejsze, mniejsze warsztaty, a przytem łatwiejsze do robienia oszczędności i wzrostu kapitalizacji. Kapitalizacja najszybciej tworzy się raczej z małych, ale masowych oszczędności.

Polakom trzeba codziennie przypominać, że mają dobre warunki bytowania, pracy, oszczędzania, kapitalizacji i mogą być zamożnymi, ale muszą tego chcieć i wierzyć, że takimi będą. Systematyczna propaganda oszczędności i kapitalizacji, zwalczanie tezauryzacji, operowanie hasłem, że kryzys się kończy, może dużo zrobić. Jest to najaktualniejsze zagadnienie chwili obecnej, bo tylko przez stworzenie kapitału rodzimego dojdziemy do stanu normalnego w naszem życiu gospodarczem.

AS.

RÓŻA SZEPTYCKA.

Śnieg.

Śnieg pokrył lasy i pola,
pola i lasy i sioła,
i legnął białym całunem,
całunem białym dokoła.

Biorą go na się spłakane,
spłakane biorą cmentarze,
i biorą ludzkie siedziby,
siedziby w życia rozgwarze.

Zasypał śnieg wzgórza, wąwozy,
wąwozy, wzgórza i drogi
i rzucił mękkie kobierce
na gór skaliste progi.

Tą bielą niepokalaną,
niepokalaną tą bielą,
stroją się rowy i łąki,
łąki i rowy się ścielą.

Rozbłysły nią czarne ugory,
ugory czarne, żałosne,
wzięły ją na się ozimy,
w tęsknem czekaniu na wiosnę.

— — — — — — — — — — — —

Czemu śnieg radość — wybrańcom,
wybrańcom radość przysparza,
a także drży bolem i płaczem,
płaczem i bolem nędzarza?

Przecz rzucił tę samą zasłonę,
tę samą zasłonę białą,
na suche liście i ziarno,
ziarno, co przecie żyć chciało?

I czemu pod nią jednako,
jednako pod nią się skryły,
promienne, radosne życie,
życie... i zimne mogiły?...

Z ruchu wydawniczego.

Pieśni wielkanocne, na 3 głosy żeńskie, przepisał St. Bursa. Kraków. Gł. skład w Księgarni Gieszczykiewicza, ul. św. Jana L. 2.

Opracowania melodyki religijnej ludu polskiego na 3 głosy żeńskie (równe), nie są w naszej literaturze chóralnej ani liczne ani też nie sięgają powyżej przeciętnych fabrykatów, dla doraźnego użytku szkolnego. Rozsypane są po ogólnych zbiorkach i podręcznikach szkolnych. Odmiennego sposobu, wydawania cyklami pieśni przeznaczonych na okresy roku kościelnego podjął się Stan. Bursa, muzyk-wokalista i profesor śpiewu, wydając w okresie Bożego Narodzenia, zeszyt o 12 kolędach, opracowanych w sposób artystyczny, a zarazem i praktyczny (o wydawnictwie tem pisaliśmy w swoim czasie), a obecnie zeszyt z 12 pieśniami wielkanocnemi. O ile kolędy swą bujną melodyjnością ułatwiły pracę muzykowi, o tyle z opracowaniem pieśni wielkanocnych miał cięższy orzech do zgryzienia; wiadomo bowiem, że melos tychże jest — dziwnym zbiegiem okoliczności — najsłabszy w polskiej hymnologji ludowej. P. Bursa umiał sobie jednak poradzić z twardemi melodjami i podniósł walor piękniejszych fraz, wyzyskując swe doświadczenie w kierunku harmonicznym. Układy te przeznaczone dla sprawniejszych chórów gimnazjalnych seminarjalnych lub parafjalnych, są jednak przystępne i dla chórów chłopięcych.

W zbiorku tym pomieścił autor 2 transkrypcje pieśni łacińskich do tekstu „Regina coeli laetare", a to N. Jaspera i własny. Obie o ładnej i przemyślanej fakturze trzygłosowej. Wprowadzenie zaś dwu pieśni ze starej muzyki kościelnej z XVII w. a to: redukcji do trzygłosowej harmonji, restytucji A. Polińskiego „Wstał Pan Chrystus z martwych ninie" — oraz melodji do „Pan Chrystus zmartwychwstał ninie" zaczerpniętej z Nachbara, podnoszą wartość tej publikacji.

K.

go to wina, że drzewa latoś rodzić nie będą!... Może to i prawda, że zły jest i łobuz i nicpotem, tak, jak zawżdy gospodyń powiadają... ale trząść nie mógł! Niech go biją jaknajbardziej, ale nie mógł! Jezusku święty, nie mógł!

Krzyczą we Francikowem sercu te słowa, trzęsą się w nim całym, przemocą rwią się mu z duszy na wargi, a rzec ich Francik nie może, nie może... zrozumią go to gospodyń? Wyśmieją znowu i tyle! A te słowa gonią w nim całym a rwią się zeń, a chcą na cały świat krzyczeć o jego niewinności, a nie łza, a nie łza ich jakosi z piersi wychynąć.

Przeto Francik zaciska zęby, aby wgłos płaczem nie wybuchnąć, boć czuje, że mu tak gdziesik koło serca coś skomli i łzami się mokrzy najbardziej rzęsistemi.

— — — — — — — — — — — —

— Gospodyń... — odezwał się nieśmiało.

Skończyła zapinać na piersiach wspaniały, kapiący od srebrnych blaszek „żywotek" i odwróciła się.

— Czego?

Francik rozłożył ręce, nie wiedząc znagła, jakby to rzec co chciał, aż wreszcie wydusił z siebie:

— Gospodyń.... chciołbych na rezurekcyj...

— Ty na rezurekcyj? Na czegóż sie ci to zaś zachciywo?

— Chciołbych...

— Nale, co sie ci to śni!... A gdo bydzie chałupy pilnowoł? Nó, wiycie, czegoby jeszcze nie chcioł... — kręciła głową z politowaniem.

— Chciołbych być tam, jak bydą grać... — szepnął cichuśko już i jakby do siebie.

Widać, luto się jej go zrobiło, bo pogładziła go po czuprynie.

— Ni, syneczku, tô nie idzie... musisz zustać w chałupie... Trza też jeszcze podwórze pozamiatać, siana bydłu przyrzucić, sieczki dlo kóni narobić, aby we święto nie było trza... roboty dość...

Nie pisnął już ani słóweczka, choć dusza skwierczała mu z niewypowiedzianego bolu. Przyczyścił jeszcze buty gazdowi, przyniósł wody do mycia, a gdy wyszli przed chatę wystrojeni, patrzał za obojgiem, dopóki nie zginęli w dalekości.

Wreszcie powlókł się sennie do stodoły, by wykonać co polecili: krowom dorzucił siana i nasiekł słomy na maszynie. Zaczem wyszedł na podwórze i jął je zamiatać bardziej starannie, niż w poniektórą sobotę.

Przecie Wielkanoc jutro! Święto to zacne... jakżeż: Pan Jezus zmartwych powstają w jasności wielkiej! Toć i trza, by czysto było na świecie... dlatego też wiosna się robi, która ma płaszcz ze słońca, i kwiaty tęczą się po miedzach i ptaszkowie świergolą pieśniczki roztomiłe. Wszystko ci to dlatego, aby Pan Jezus, co z grobu jutro wstaną, radość mieli...

Musi też i koło chałup czysto być! Niech wiedzą Ponjezusek, że naród się na Ich godnie gotuje zmartwychwskrzeszenie...

Francik to wszystko doskonale wie, a chociaż dusza mu rwie się ku kościołu, z zapałem drze ostrą miotłą nierówności na podwórzu, między stodołą a chałupą, wygarnia słomę przeróżną i kamienie, aż wreszcie z zadowoleniem może sobie rzec:

— Pieknie żech to zrobił...

Ale chociaż i krowy dostały swoje siano, i dla koni jest sieczka przygotowana, i podwórze pięknie pozamiatane, jest Francikowi jakoś dziwnie tęskliwo.

Oto wiosna se chodzi po polach, i słoneczkowemi ziemię obsiewa blaskami i kwiatami z miedz się wokół rozpachnia i przyjemną ciepłością gładzi po licach, jakoby tą najbardziej pulchną dłonią i jakiś radosny smęt włóczy się skróś zagonów, że człowiek tak ot, bez potrzeby i bez przyczyny nijakiej płakał i płakał... Żeby się chciał dać ponieść niewiadomo kaj, daleko kajś i nieodgadle wysoko, kaj nic niema inszego, jak jeny ono słonko złote i jego rzęsista jasność, czysta i promienna okrutnie.

Prawie tak i jest Francikowi. Przeto stoi bez ruchu na podwórzu, a dusza zeń wycieka i wysypuje się docna, a zostają jeno oczy, wielkie modre oczy, przymglone od błędnego patrzenia wdal, i same się w sobie rozpływające.

Daleko przed nim, w koronce drzew jest kościół. Słońce jego blaszane dachówki zlewa złotym deszczem, że skrzą się i błyszczą, że trzaby było oczy ręką przysłaniać. A słońce wisi nad kościołem, jak ogromna biel i te dachówki na kościele i strzechy na chałupach i staw, co z prawej jest strony, i wszystko, wszystko, co się jeny da.

A takoż i z Francika dusza dokorzón wypływa i wycieka i spływa na dachówki kościelne i na chałupy i na staw i na co się jeny da. Ulatuje zeń całkiem tam kańsik daleko, a zostają jeno oczy, wielkie modre oczy, coraz to bardziej mgłą zachodzące i coraz więcej przymglone...

A tam się słonko leje na świat, a tam kańsik sie kwiaty rozpachniają i kwiaty się tęczą, mój ty jezukandy, mój ty nejmilejsy...

Aż skupił się Francik nanowo. Przyciągnął do się rozlezioną duszę i wszystko ono, co było pierwej zeń wyciekło:

— W słonkową złotość wiosnowego cudu zagrał dzwon,

Wielki kościelny dzwon, rozbujany szeroko a wichrowo a górnie. Pod nieba niezmierzony baldachim, przeczyście modry, i pod oną najzłocistszą monstrancję słońca, co się pod tym baldachimem niosło na szeroki świat.

A wraz, do wtóru, rozśpiewały się dwa innę jeszcze, a potem jeszcze dwa, mniejsze, takoż najszerzej na wieżowych przęsłach rozhuśtane, że powietrze rozkłębiło się gwarną kurzawą wołań i śpiewów i grań, że się zdawało, jakoby to niebo same na jakowychś ogromnych zahuczało organach w mocarny grzmot i wichrowy śpiew, od którego aż ziemia drży i drzewa się kołyszą i świat cały dudni przenaramnie.

A wraz też muzyka uderzyła pod niebo w mosiężne trąby i piszczały i rozchwiała się naokół pełnemi przygarściami srebra i złota, że się zdawało, jakoby to nie dzwony i nie trąby, ale cała ziem zaśpiewała wszystkiemi swemi ustami, w jeden przeogromicielnie wielki chór, w którym drzewa grają i potoki dzwonią i łąki wołają i lasy się chwieją rozszumem i rzeki się pienią i wszystko gra i śpiewa, hej, hej!...

A Francik stoi i słucha, a w duszy takoż mu coś gra i śpiewa i rwie się pieśniczkami na ciepły wiater, a w głowie mu huczy i szumi od tej przenawały pień i tonów, jaka uderza w niego z daleka i z bliska, a cały jest taki, sam nie wie jaki, i nieświadom, co robić mający.

Jeno stoi w tej ulewie głosów i wołań i przydźwięków, jeno stoi.

I jeno w duszy mu coś tam popłakuje cichuśko i coś mu tam kwili, i szepce, że trzeba płakać, ogromnie płakać...

Aż nie zdzierżył.

Rycząc, jak nigdy jeszcze, i jak gdyby gospodarz sponiewierał go najsilniejszemi uderzeniami swego rzemienia, zerwał się, wpadł do ogrodu i jak obłąkany zaczął kołysać drzewami.

Biły od kościoła dzwony, a on pod ich takt i melodję obejmuje coraz to nowe drzewo i kolebie nim, jak jeny łza najsilniej.

— Taki grani, jak teraz, naisto więcej pomoże, niż w połednie... więcej będzie jabłek a gruszek... musi być więcej!... Przecież nie jedyn zwóń blinko, ale cały świat gro a zwóni.

Sypią mu się z warg słowa ogromnej radości i ulgi.

Kołyszą się drzewa, trząsane dłoniami Francika, który się cieszy, ogromnie się cieszy, że i latoś drzewa będą rodziły. Nawet lepiej, niż po insze roki. Trzęsie niemi przecie przy graniu pięciu dzwonów i przy śpiewaniu całego świata...

Kołyszą się drzewa. Po Francikowych licach leją się ciórkiem łzy.

A tam, nad kościołem, wisi złote słońce, grają dzwony i dzwoni muzyka.

W śpiewania i podźwięki srebrzyste.

Jest rezurekcja.

KRONIKA.

Warszawa 15 kwietnia.

— **Kalendarz:** Wielka Sobota. Wschód słońca 4.32, zachód 18.17; wschód księżyca 0.12, zachód 7.11. — Niedziela: Wielkanoc. Wschód słońca 4.30, zachód 18.18; wschód księżyca 1.08, zachód 8.25. — Poniedziałek Wielkanocny. Wschód słońca 4.28, zachód 18.20, wschód księżyca 1.47, zachód 9.47. — Wtorek: Św. Apolonjusza. Wschód słońca 4.26, zachód 18.21, wschód księżyca 2.14, zachód 11.10.

Życzenia „Wesołych Świąt" przesyłamy naszym Prenumeratorom, Przyjaciołom, Współpracownikom i Czytelnikom.

— **Następny numer „Dnia Polskiego"** wyjdzie we środę o zwykłej porze.

WIADOMOŚCI KOŚCIELNE.

— **Wyjazd J. Em. ks. prymasa do Rzymu.** W drugi dzień świąt Wielkiejnocy wyjeżdża ad limina Apostolorum do Rzymu J. Em. ks. kardynał August Hlond, prymas Polski.

— **Ruch rekolekcyjny.** W katedrze kieleckiej od dn. 2 do 8 bm. odbyły się rekolekcje dla inteligencji, prowadzone przez znanego kaznodzieję ks. Dr Franciszka Kwiatkowskiego, profesora filozofji w kolegjum księży Jezuitów w Krakowie. Konferencje dla pań były oparte na tle przykazań miłości Boga i bliźnich, a dla panów na tle przypowieści o synu marnotrawnym.

OGÓLNA.

— **Nowy zarząd Związku literatów polskich.** Odbyło się doroczne walne zgromadzenie członków Związku literatów polskich w Warszawie. Wybory do zarządu Związku dały wynik następujący: Zofja Nałkowska, J. Kaden Bandrowski, Z. Kisielewski, zastępcy: K. Irzykowski, S. Baliński, W. Rogowicz. Do komisji rewizyjnej weszli S. Czosnowski, E. Popoff, L. Rygier. Do sądu konkursowego: J. Dąbrowski, W. Rzymowski, A. Śliwiński.

MIEJSKA.

— **Nagroda muzyczna m. stol. Warszawy.** We środę, 19 bm. odbędzie się posiedzenie sądu konkursowego celem przyznania nagrody muzycznej m. stol. Warszawy za rok 1933.

— **Z Rady miejskiej.** Dnia 22 bm. odbędzie się posiedzenie prezydjum Rady miejskiej w celu uczczenia wiceprezesa Rady p. St. Wilczyńskiego, który piastuje już to stanowisko od lat 10.

— **Opłaty szpitalne.** Opłaty za leczenie w szpitalach miejskich mają być zmniejszone z 8.50 na 7.50 zł dziennie w sali ogólnej oraz z 14 do 10 zł w pokojach oddzielnych. W zakładach położniczych ceny za pobyt na salach ogólnych będą obniżone z 10 na 9.50, w pokojach oddzielnych I kl. z 16 na 15 zł, II kl. z 14 do 12 zł. W sanatorjum w Otwocku wszystkie ceny będą obniżone o 1 do 2 zł.

Z LWOWA.

— **Skon prezesa dyrekcji kolejowej.** We Lwowie zmarł nagle na udar serca inż. Stefan Wiktor, prezes dyrekcji kolei państwowych we Lwowie. Śmierć nastąpiła w gmachu dyrekcji przy ul. Zygmuntowskiej w czasie urzędowania.

— **Wyrok na komunistów.** Sąd okręgowy w Brzeżanach skazał 18 komunistów, członków komunistycznej partji zachodniej Ukrainy na karę więzienia od 5 lat do 6 miesięcy. Komuniści po wyroku usiłowali urządzić demonstrację, jednak policja zapobiegła awanturom.

Z ŁODZI.

— **Nieudały zamach na bagaż dyplomatyczny.** Na linji Radomsko—Piotrków znany złodziej kolejowy Tadeusz Lowiński przy pomocy podrobionego klucza dostał się do wagonu I klasy, w którym jechał kurjer dyplomatyczny z Pragi czeskiej i porwał za łańcuch walizę. Kurjer, który jeszcze nie zasnął narobił krzyku i złodzieja aresztowano.

Z POMORZA.

— **Powrót statku „Pułaski".** Statek transatlantycki „Pułaski" powrócił ze swej podróży do Ameryki. Na pokładzie przybyło przeszło 200 pasażerów a między nimi trzech polskich konsulów z Ameryki pp. Kulbis, Kozłowski i Zawadzki. Statek przywiózł wielką ilość poczty i ładunek towarów.

Z POLESIA.

— **Izba rolnicza.** W Brześciu n. B. prowadzone są obecnie obrady miarodajnych czynników nad uruchomieniem Izby rolniczej, której działalność obejmie obszar województwa poleskiego.

Z WILNA.

— **Odbudowa grobowca Lwa Sapiehy.** Pod przewodnictwem komendanta miasta Wilna płk. Blocbergera odbyło się zebranie komisji odbudowy grobowca Lwa Sapiehy w kościele św. Michała. Członkowie komisji dokonali oględzin krypty sapieżyńskiej w kościele św. Michała i grobowca Lwa Sapiehy i dwu jego małżonek oraz zaakceptowali plan restauracji, przedłożony przez Dr Lorentza i inż. Narębskiego. W związku ze zbliżającą się 300 rocznicą śmierci Lwa Sapiehy, krypta, w której spoczywają szczątki wielkiego kanclerza, zostanie uporządkowana i otynkowana, dla trumny Lwa Sapiehy będzie zbudowane podniesienie, sama zaś trumna zostanie odrestaurowana i ozdobiona wielką tarczą z herbem Sapiehów. Fundusze na remont grobowca twórcy Statutu Litewskiego i kanclerza wielkiego księstwa litewskiego zebrane będą drogą składek.

— **Z Uniwersytetu Jagiellońskiego.** Dnia 12 bm. p. Władysław Bednarowski otrzymał na tutejszym Uniwersytecie stopień doktora filozofji.

Sport i wychowanie fizyczne.

Jędrzejowska w Krakowie. Znakomita tenisistka p. Jędrzejowska wystąpi niebawem po raz pierwszy i ostatni w bieżącym miesiącu publicznie na kortach AZS w Krakowie po powrocie z Londynu. W programie b. ciekawe gry pojedyncze i podwójne.

Zjazd neofilologów.

W ostatnich dniach przed świętami odbył się w Krakowie II Zjazd neofilologów polskich, którego obrady toczyły się w murach Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po przemówieniach powitalnych rektora U. J. prof. Kutrzeby, kuratora okręgu szkolnego krakowskiego Dra Nowickiego, przedstawiciela Rady miejskiej, TNSW oraz zagajeniu zjazdu przez prezesa Polskiego Towarzystwa Neofilologicznego prof. Lempickiego i prezesa okręgu krakowskiego P. T. N., prof. Dyboskiego — wysłano depesze hołdownicze do p. Prezydenta Rzeczypospolitej marszałka Piłsudskiego i ministra WROP oraz nestorów neofilologji polskiej profesorów Porębowicza i Zdziechowskiego. Po ukonstytuowaniu się prezydjum zjazdu z prezesem prof. Dyboskim rozpoczęto właściwe obrady. Celem zjazdu było zaznajomienie uczestników z nowemi programami neofilologicznemi związanemi z reformą szkolną. Programy te przedstawili naczelnik wydziału programowego Dr. Wałicki i instruktorka ministerstwa WROP p. Nieniewska, których referaty wywołały duże zainteresowanie i ożywioną dyskusję. Szereg wykładów naukowych z dziedziny filologji romańskiej, angielskiej i niemieckiej wygłosili pp. prof.: Arend, Czerny ks. David, Dyboski, Helsztyński, Ippoldt, Glixelli, Kleczkowski, Łempicki, Massey, Morawski, Piętak. Zjazd urozmaicony był przedstawieniami teatralnemi (fragmenty „Błękitnego ptaka" Maeterlincka i V. Hugo „Hernani") wykonanemi przez młodzież szkolną w języku francuskim. Na zakończenie zjazdu uchwalono szereg rezolucyj w kierunku ułatwienia neofilologom studjów zagranicznych oraz wezwanie do wszystkich neofilologów polskich do intensywnej pracy nad przystosowaniem nauczania do nowych warunków.

Po zgonie min. śp. Ig. Boernera

Jak już donosiliśmy pogrzeb śp. min. Ignacego Boernera odbędzie się dziś z kościoła ewangelicko-augsburskiego przy pl. Małachowskiego. Wdowa po zmarłym ministrze otrzymuje szereg listów i depesz kondolencyjnych. M. in. serdeczny list kondolencyjny nadesłał marszałek Piłsudski.

• • •

Jak się dowiadujemy jako kandydaci na stanowisko ministra poczt i telegrafów, opróżnione przez zgon śp. min. Ig. Boernera upatrzeni są w pierwszym rzędzie: pułk. Kalinowski z ministerstwa poczt i telegrafów oraz wicemarszałek sejmu Dr Polakiewicz.

Polska zaproszona do Waszyngtonu.

Jak wiadomo z telegramów prasowych rząd polski otrzymał dnia 12 bm. na równi z szeregiem innych państw urzędowe pisemne zaproszenie od rządu Stanów Zjednoczonych do wzajemnej wymiany poglądów przed nadchodzącą światową konferencją gospodarczą w Londynie. Do zaproszenia dołączona jest nota amerykańskiego sekretarza stanu Hulla, w której wyraża on nadzieję, że inicjatywa powyższa spotka się z życzliwem przyjęciem u rządu polskiego i proponuje, by wobec krótkości czasu odnośne rozmowy mogły być prowadzone normalną drogą dyplomatyczną, tj. przez ambasadora R. P. w Waszyngtonie. Na zaproszenie powyższe rząd polski w dniu wczorajszym zakomunikował swoją całkowitą zgodę wobec sugestyj rządu Stanów Zjednoczonych, wyrażających przekonanie, że odpowiednie przygotowanie jest nieodzownym warunkiem powodzenia światowej konferencji ekonomicznej.

Izba rolnicza w Brześciu nad Bugiem.

W Dzienniku Ustaw z dnia 13 bm. ogłoszone zostało rozporządzenie Rady ministrów o utworzeniu Izby rolniczej poleskiej z siedzibą w Brześciu n. Bugiem.

Prawo o spółkach akcyjnych obowiązuje na G. Śląsku.

W numerze 26 „Dziennika Ustaw" ogłoszone zostało rozporządzenie Rady ministrów o rozciągnięciu dekretu Prezydenta Rzplitej o spółkach akcyjnych na obszar województwa śląskiego.

Afirmacja polsko-francuskiej przyjaźni.

Paryż 14 kwietnia.

(PAT) Wczoraj grupa parlamentarna francusko-polska przyjęła na uroczystym bankiecie delegację sejmu polskiego. Bankietowi przewodniczył prezes grupy francuskiej, który zwrócił się do gości polskich z uroczystem przemówieniem powitalnem. Drugim mówcą był Herriot, którego mowa była gorąco przyjęta przez obecnych. Herriot podkreślił moment wspólnoty duchowej Polski i Francji i nawiązując do odbytych narad francusko-polskiej grupy parlamentarnej podkreślił, że wymiana poglądów między przedstawicielami parlamentów francuskiego i polskiego pozwoli stwierdzić harmonję idej między przedstawicielami obu krajów. Trzecim mówcą był poseł ks. Janusz Radziwiłł, który w imieniu swoich kolegów i własnem złożył gorące podziękowanie za miłe przyjęcie, nacechowane niezwykłą gościnnością i serdecznością, charakteryzujące wzajemne stosunki między obu narodami. Jestem specjalnie poruszony — oświadczył mówca — słowami, jakie panowie skierowali do nas; jestem szczęśliwy, że w odpowiedzi mogę wyrazić nietylko nasze osobiste uznanie, lecz również serdeczną przyjaźń całego narodu. W dalszem przemówieniu mówca stwierdził, że wymiana poglądów w chwili obecnej nietylko była pożądana, ale okazała się konieczną. Omawiając zasadnicze linje polityki polskiej ks. Radziwiłł stwierdził, że Polska nigdy nie przestała dokonywać wszelkich wysiłków, aby utrzymać i pogłębić stosunki ze wszystkimi jej sąsiadami. Dzięki tym wytrwałym i konsekwetnym wysiłkom mówił — mogliśmy doprowadzić do podpisania paktu o nieagresję ze wschodnim sąsiadem. Polska uczyniła to prawie jednocześnie z Francją. W pakcie tym widzimy, jak i panowie nietylko gwarancję bezpieczeństwa, ale również możność bardziej wydatnej współpracy w dziedzinie ekonomicznej. Znane są panom uczucia przyjaźni i zaufania, jakie cechują nasze stosunki z Małą Ententą. Co się tyczy Niemiec to naszem jedynem dążeniem jest stała poprawa wzajemnych stosunków oraz życie w pokoju. Należy jednak pamiętać, że nie wystarczy w danym wypadku pragnąć utrzymania pokoju, ale że należy jeszcze umieć obronić go, stając na stanowisku lojalnego uznania naszych słusznych praw i narodowych interesów. Francja była wyrazicielką zasady prawa ludów do decydowania o swoim losie i równości narodów. Zasada ta znalazła swój należyty wyraz w pakcie Ligi Narodów. Nie zapominajmy, że miljony ludzi, wierząc w te wielkie ideały poświęciło swoje życie dla zwycięstwa. Idei będziemy wierni nietylko przez poczucie honoru, ale również dlatego, że widzimy w niej jedyną gwarancję trwałego pokoju. Mowę swoją zakończył poseł Radziwiłł wzniesieniem toastu za wielkość i powodzenie Francji i za zdrowie jej Dostojnego Prezydenta.

Przykre dla Niemców reminiscencje

Bruksela 14 kwietnia.

(PAT) W Niemczech odebrano debit największemu dziennikowi belgijskiemu „Le Soir". Powodem tego był artykuł, atakujący poselstwo niemieckie w Brukseli, które nadesłało do redakcji „Le Soir" komunikat protestujący przeciwko kampanji antyniemieckiej, nazywający wszystkie wiadomości podawane na ten temat nieprawdziwemi. W odpowiedzi na ten komunikat „Le Soir" zamieściła artykuł p. t. „My znamy oficjalne komunikaty poselstwa niemieckiego", w którym przypomina, że 2 sierpnia 1914 r. poselstwo niemieckie prosiło redakcję tego dziennika o zamieszczenie komunikatu, według którego Belgja nie miała najmniejszego powodu obawiać się, iż Niemcy naruszą jej neutralność. W myśl prośby poselstwa komunikat ukazał się 3 sierpnia i tegoż dnia wręczono Belgji ultimatum, które — jak się okazało — znajdowało się w rękach posła niemieckiego od kilkunastu dni!

Deprecjacja dolara?

Wiedeń 14 kwietnia.

(PAT) „Neues Wiener Tageblatt" donosi z Waszyngtonu, że między prezydentem Rooseveltem a kanadyjskim premjerem Bennetem toczą się rokowania głównie w sprawie walutowej. Bennet uważa waloryzację złota za jeden z najważniejszych warunków gospodarki świata. Pewne oznaki wskazywać mają na to, że prezydent Roosevelt podziela zapatrywania Benneta. Jakkolwiek premjer kanadyjski nie podał konkretnych propozycyj w sprawie waloryzacji złota, to jednak— jak przypuszczają— zaproponował on, aby minimalną cenę złota ustalić na 30 dolarów za uncję złota, zamiast dotychczasowej ceny 20 dolarów. **Oznaczałoby to deprecjację dolara i wszystkich walut złotych o 33 proc.**

Izba francuska uchwaliła budżet.

Paryż 14 kwietnia.

(Tel. wł.) Izba francuska na posiedzeniu nocnem przyjęła budżet państwa 514 głosami przeciw 67. Nowy budżet preliminowany jest w wydatkach na 50 miljardów a w dochodach na 45 miljardów franków. W toku dyskusji nad budżetem wojskowym minister wojny Daladier oświadczył, że nie dopuści do żadnych eksperymentów mogących osłabić zdolność obronną narodu. Francja z jednej strony wszelkiemi siłami dąży do zorganizowania pokoju europejskiego, z drugiej jednak nie śmie zapominać o swej obronie i wolności. Budżet wojskowy przyjęty został 517 głosami przeciw 31. Frakcja socjalistyczna głosowała nad budżetem wojskowym rozbieżnie. 90 posłów głosowało za — 10 przeciw a 19 wstrzymało się od głosowania. Budżet wojskowy przewiduje m. in. kredyt w wysokości 160 miljonów franków na budowę 4 nowych krążowników.

Socjaliści francuscy i budżet wojskowy.

Paryż 14 kwietnia.

(PAT) Komentując uchwalenie budżetu przez Izbę deputowanych agencja Havasa zaznacza, że uzyskanie w czasie głosowania tak znacznej większości nastąpiło w związku z decyzją socjalistów głosowania z większością wbrew tradycji, w myśl której musieliby znaleść się w opozycji. Grupa socjalistyczna postanowiła uchylić się od obowiązujących ją dotychczas postanowień, zanim kongres socjalistów wypowie się w tej sprawie. Postanowienie to wypływa z rozmaitych przyczyn, w pierwszym rzędzie być może z pragnienia zwolnienia się z pod nadzoru organów rządzących partją a także dla podkreślenia stanowiska afirmatywności grupy w stosunku do rządu Daladiera.

Wynurzenia Goeringa.

Berlin 14 kwietnia.

(PAT) Minister Goering w wywiadzie z przedstawicielami prasy włoskiej zaznaczył m. in., że jego wizyta w Rzymie ma charakter oficjalny i pozostaje w związku ze sprawami komunikacji lotniczej między Niemcami a Włochami. Zarówno kanclerz Hitler jak i ja — powiedział Goering — jesteśmy zwolennikami ścisłego sojuszu angielsko-włoskiego. Niemcy nie chcą być niebezpieczeństwem dla jakiegokolwiek kraju. Co się tyczy paktu 4 mocarstw, to został on przez Niemcy przyjęty. Dla Hitlera i dla mnie sprawa utrzymania dobrych stosunków między Włochami a Niemcami nie jest kwestją dyplomatyczną, lecz wypływa z najgłębszych i najszczerszych uczuć.

Prasa niemiecka przeciwko Izbie angielskiej.

Berlin 14 kwietnia.

(PAT) Wczorajsza debata w angielskiej Izbie gmin wywołała w Niemczech silne wrażenie. Na wywody Chamberlaina i Churchilla prasa niemiecka zareagowała komentarzami, zdradzającemi zdenerwowanie i przygnębienie. „Boersen Ztg." ubolewa, że bracia Anglosasi nie rozumieją zupełnie sensu, ani ducha niemieckiej rewolucji narodowej i stwierdza, że mniej zrozumienia nie okazałby chyba żaden szczep murzyński w kolonjach brytyjskich. Słowa Chamberlaina, że dzisiejszym Niemcom nie wolno robić koncesyj — dziennik nazywa bezprzykładnym cynizmem. „Vossische Ztg." dziwi się, że nikt w Izbie nie zaprotestował przeciwko „cynicznym atakom Churchilla". Londyński korespondent „Deutsche Allg. Ztg." wskazuje, że nowa interpretacja paktu 4-ech zawarta w deklaracji ministra Simona stawia rząd niemiecki wobec zupełnie zmienionej sytuacji.

Straż hitlerowska na pograniczu polskiem

Berlin 14 kwietnia.

(PAT) Szef istniejącego przy kwaterze partji hitlerowskiej urzędu polityki zagranicznej, Alfred Rosenberg, mianował komisarza, którego zadaniem będzie przeprowadzenie federacji wszystkich organizacyj i związków ojczyźnianych, rozwijających działalność na pograniczu polskiem po stronie niemieckiej. Nowomianowany komisarz Dr Duetke otrzymał równocześnie pełnomocnictwa do nawiązania rokowań z odnośnemi czynnikami Rzeszy i Prus.

TEATR I MUZYKA.

TEATR WIELKI: W niedzielę nieczynny, w poniedziałek o 8 wieczorem **„Quo vadis".**

TEATR NARODOWY: W niedzielę nieczynny, w poniedziałek o 4 po poł. **„Pierwsza sztuka Fanny"**, wieczorem **„Kean"**, we wtorek wieczorem **„Ten, którego biją po twarzy".**

TEATR NOWY: W niedzielę nieczynny, w poniedziałek i codziennie wieczorem **„Cień".**

TEATR LETNI: W niedzielę nieczynny, w poniedziałek o 4 po poł. **„Smaczny chleb kłamstwa"**, wieczorem **„Ach ta gotówka".**

TEATR POLSKI: „Marjusz".

Wobec wielkiego powodzenia „Marjusza" i wobec licznego zjazdu z prowincji w czasie Świąt do Warszawy, „Marjusz" wypełni nietylko wszystkie przedstawienia wieczorowe w świątecznym tygodniu, lecz grany będzie także w drugie święto, w poniedziałek po południu o godzinie 3.30 dla tych wszystkich, którzy nie mogą być na wieczorowych przedstawieniach tej świetnej sztuki, tak wybornie granej, z Romanówną, Zelwerowiczem i Pawłowskim w rolach głównych.

TEATR ATENEUM: W niedzielę i codziennie **„Krzyczcie Chiny".**

TEATR KAMERALNY: W niedzielę i codziennie **„Trzy pary jedwabnych pończoch".**

TEATR im. Zapolskiej: W niedzielę i codziennie **„Carewicz".**

TEATR 8.30: W niedzielę nieczynny, w poniedziałek o 4.30 po poł. i o 8.20 wieczorem **„Kobieta, która wie czego chce"**, we wtorek przedstawienie tylko wieczorem.

TEATR MORSKIE OKO: W niedzielę i codziennie **„Rewja miłości".**

TEATR BANDA: W niedzielę i codziennie **„Moja ciotka i ja".**

Radjo

Plebiscyt radjowego konkursu poetyckiego.

Dnia 18, 19, 20 i 21 bm. o godz. 18.25 radjostacja warszawska nada na wszystkie rozgłośnie krajowe specjalną audycję w związku z radjowym konkursem poetyckim. W ramach tej audycji zostaną odczytane odznaczone przez jury konkursowe utwory na temat „Poeta", — „Grobowiec Nieznanego Żołnierza" — „Na śmierć Żwirki i Wigury". Z tysiąca zgórą utworów poetyckich, nadesłanych na ten konkurs, jury wybrało po trzy utwory z każdego z wyżej wymienionych tematów. W ten sposób w drugiej, plebiscytowej fazie konkursu, radjosłuchacze głosami swojemi zadecydują, które z wybranych przez jury utworów otrzymają pierwsze miejsce wraz z nagrodami po zł. 333, przeznaczonemi dla trzech laureatów. Szczegółowe warunki zostaną ogłoszone przed mikrofonem.

Radjowy koncert muzyki jazzowej.

W środę dnia 19 bm. o godz. 20.00 radjostacja warszawska nadaje audycję muzyki jazzowej w wykonaniu pełnego zespołu jazzowego, liczącego 14 osób, który dzięki temu będzie mógł mieć całą skalę efektów, jakie dają orkiestry tego rodzaju. Zespół prowadzić będzie znany kompozytor melodyj przebojowych H. Wars. W programie szereg melodyj przeważnie z polskich filmów dźwiękowych. Refreny śpiewać będzie p. Adam Aston.

Odczyty i feljetony.

Dnia 19 bm. o godz. 16.40 p. Władysław Malinowski zastanowi się nad „40-leciem pracy pisarskiej Józefa Piłsudskiego", która wnosi do literatury polskiej zupełnie odrębne i głęboko oryginalne wartości historyczne i literackie.

Tegoż dnia o godz. 17.40: „O płacach i bezrobociu" mówić będzie p. Ludwik Landau, radca M. P. i H., opierając się na rozprawie Ruess'a o związku między podniesionemi po wojnie płacami, a wzrostem bezrobocia w Anglji i jej popularyzacją, wykazując jednocześnie błędy w dowodzeniu.

Wreszcie o godz. 19.30 p. Michał Nałęcz-Dobrowolski w rocznicę bitwy, w której zginął Mieczysław Romanowski, wygłosi feljeton p. t.: „Pieśniarz Powstania Styczniowego".

ANERI WEISSOWA.

Moja antena.

Otóż tu moja antena.
rozpięta na starych drzewach
Na ich ramionach wyniosłych
słyszę głos świata donośny
i czuję, że w nerwach gałązek
jest dziwny związek
z memi nerwami czułemi
na ból i rozkosz
całej ziemi.
Radością pękają mi piersi,
gdy z nieba promienna siła
wyciąga z nich soki lepliwe
i na suchawym niby szkielecie
wieniec wiośniany plecie
z baziowo-drżących
puchów
i płatków pachnących.

Pory roku.

Jestem wiosną,
ziemią —
słońcu,
dająca pocałunki...
kwiaty...
— — — — — — — — — — —
Jestem latem
upalnym zmęczona zapachem,
upojona,
zapłodniona miłością,
nabrzmiała krwią.
Leżę,
czekam...
— — — — — — — — — — —
Jestem jesienią.
Kwiat mi spadł do nóg
owocem.
Słodycz wyhodowana w słońcu.
Promieni się.
złoci
purpurowa miłość.
owinięta w pajęczyny
perlami łez przetykane...
— — — — — — — — — — —
Jestem zimą,
mrozem
zwarzona, przykryta, owinięta...
Idę w ziemię,
przeistaczać,
przygotować się
do nowej wiosny...
— — — — — — — — — — —

WŁADYSŁAW KRYGOWSKI.

Powódź.

Po pas brodząc, przez modre którejś tam rzeki wykapy,
Utkwił swoim ogonem na piaszczystym brzegu,
Most, który długo, długo szedł ciężkiemi łapy
Nad rzeką zawisnąwszy oszalałą w biegu.
Jęczy biedne mościsko, ani rusz iść dalej,
Głosu jego nie słychać, wsiąka w szumy fali,
Dzień w dzień woła i krzyczy i codzień na nowo
Głowa szuka ogona, a ogon za głową.
Leniwych nóg nie można wyciągnąć już z piachu
A rzeka aż do gardła podchodzi; w tym strachu
Zieloności łopuchów, ropuch i sitowia
Zimnym potem się oblał i gniew w niego powiał
Parsknął, wierzgnął z wściekłości odgrażając się rzece.
A ta zielonemi włosami chwyta go za ręce,
Modrem ciałem zaplata się w mostowe nogi.
Jak zwierz ryknął raniony, odcięty od drogi,
A ona pcha się wyżej, pieni się, zieleni
Pod drażniącą pieszczotą zachodu w czerwieni.
Już chwyta go za łapy, wgryzione w brzegi, podmuła
Stalowego kochanka, zielona kochanka przytula.
Trzeszczą kluby mostowe, prężą się wiązadła,
W przęsel mocne ramiona rzeka mu upadła,
Kołysze się, przechyla, dzieli, znowu traci
Przemijając nad mostem w tysiącznej postaci
Znowu wraca zachłanna, płodna i niesyta
Rozdzierającemi pocałunkami na piersiach mostu przekwita.
Zakipiało, spłonęło, jakby ogień z wodą
Złączył się w grze żywiołów ze swoją przyrodą.
Most stanął dęba, wspiął się, ale nóg nie ruszył,
Jak słup ognia stał w wodzie w obłędu katuszy,
W glonach, liściach, w wiklinach, kwiatach i popłochach
Most, który nadewszystko walkę i śmierć ukochał.
Stał w szumiącej przewadze srebrnej pienistości.
Czekając jak śmierć pięknej śmierci i miłości,
Stał w skróś nocy i szumu, aż sen go umorzył,
Wtedy spał długo, długo i zbudził się w morzu.
ANERI WEISSOWA.

LEON OBERLENDER.

Klęska taniości.

Od kilku lat, od początku kryzysu idzie przez cały świat fala taniości. Przez długie lata indeks cen w porównaniu z wskaźnikiem przedwojennym wykazywał ogromną zwyżkę efektywnych, w złocie obliczonych cen i kosztów utrzymania. Przez długie lata powojennej gospodarki siła nabywcza złota była znacznie niższa niż przed wojną. Nawet w krajach, które nie przeszły inflacji papierowej i dewaluacji pieniądza, było to samo; dolar amerykański w stosunku do towaru posiadał w latach 1925, 1926, zaledwie dwie trzecie wartości przedwojennej.

Od roku 1920 poziom cen światowych dążył stale ku zniżce, lecz zniżka ta szła powoli i nieznacznie; rozbudowany system waluty dewizowo-złotej, system oparty na podstawie kredytowej sprzyjał powiększeniu obiegu i rozbudowie systemu kredytowego we wszystkich krajach, a tem samem stwarzał obfitość środków płatniczych i podtrzymywał wysoki poziom cen.

Cały ten gmach systemu kredytowego runął od gwałtownego wstrząśnienia, jakim był krach giełdowy w Stanach Zjednoczonych. — Wypadki potoczyły się z niezwykłą szybkością. W ogromnej ilości krajów waluta się załamała, inne państwa broniły się przed załamaniem przepisami dewizowemi i ograniczeniami obrotów handlowych, a wszystkie banki emisyjne zaczęły na gwałt pozbywać się pokrycia dewizowego i starać się o pokrycie złote. Złoto wzrastało w cenie, a równocześnie szybko obniżała się wartość towarów, z jednej strony wskutek deflacji i ciasnoty pieniężnej, z drugiej strony wskutek niezwykłego utrudnienia obrotów międzynarodowych i stosowania na wielką skalę dumpingu.

Zdawaćby się mogło, że proces ciągłego tanienia towarów powinien być dobrodziejstwem dla szerokich mas ludności. Przecież na pozór drożyzna i podwyżka cen utrudnia szerokim masom zaspokojenie potrzeb, — a na odwrót taniość ułatwia im życie. Tak by było, gdyby taniość objawiała się tylko przy czynieniu wydatków, a nie odbijała się na dochodach. Tymczasem jest inaczej. Powszechna fala taniości pociąga za sobą wdół wszystkie rodzaje dochodów. Wskutek braku zbytu wytwórca musi zniżyć ceny, tem samem zmniejsza się jego zarobek, zmniejsza się też zarobek sprzedawcy, który poczynił zapasy przy wyższych cenach. Zdawałoby się, że natomiast zyskują konsumenci: robotnicy, urzędnicy, kapitaliści i t. d.; ten zysk jest tylko pozorny, bo wskutek obniżki cen i zmniejszenia zbytu fabrykant ogranicza produkcję, sprzedawca zmniejsza obroty; jeden i drugi zwalniają część pracowników, a reszcie obniżają płacę. W rezultacie maleją też wpływy podatkowe państwa, które zkolei redukuje pensje swoim urzędnikom. I wierzyciele nie mogą uniknąć strat, bo powszechna obniżka dochodów trafia ich z jednej strony przez wzrost niepewności, przez utratę kapitałów pożyczonych niewypłacalnym dłużnikom, a z drugiej strony zniża się stopa procentowa i odraczają się terminy spłaty. Wszystkie te zniżki obniżają ogromnie siłę konsumcyjną ludności, a tem samem powodują dalszy spadek popytu, dalszą zniżkę cen i znowu da capo al fine powtarza się cały ten proces.

Przed kilkunastu laty mówiono wiele o błędnem kole inflacji. Wzrastał obieg, więc wzrastały ceny, a spadała waluta; wskutek wzrostu cen i spadku waluty powiększały się wydatki państwa i rósł deficyt budżetowy, a wzrost deficytu zmuszał znowu do dalszej inflacji. Słusznie zauważono wtedy, że nie jest to tylko błędne koło, ale właściwie linja spiralna; bo wprawdzie nie dało się już odróżnić przyczyn i skutków, ale z każdym dniem szły coraz wyżej wszystkie składniki: obieg pieniądza rosnąc podbijał ceny coraz wyżej, a wzrost cen obieg — a tempo wzrostu było coraz szybsze aż do krytycznego stadjum hiperinflacji. Powtarzaliśmy wszyscy do znudzenia, że we wszystkich dziedzinach gospodarczych przeżywamy chorobliwy, gorączkowy, inflacyjny rozrost.

Obecny proces jest przeciwny; jeżeli inflacja była gorączką, to kryzys jest stanem złośliwego zaniku, anemji. Przeżywamy obecnie okres kurczenia się życia gospodarczego; bo przecież wiemy doskonale, że tę taniość zawdzięczamy nie zniżce kosztów produkcji, nie udoskonaleniu metod pracy lub nowym wynalazkom; lecz jest to taniość wymuszona zubożeniem konsumenta. Cenę dyktują już nie koszty produkcji, lecz obliczenie, ile konsument może zapłacić; i jak niegdyś jedna zwyżka wywoływała drugą, tak obecnie nie widać końca procesu zniżki cen. Wciąż żąda się nowych zniżek, zniżek cen surowców, zniżek komornego, i t. d., a każda przeprowadzona obniżka to podstawa do żądania szeregu nowych obniżek.

Zniżka cen jako objaw stały ma to groźne następstwo, że tamuje wszelką działalność produkcyjną. Któż racjonalnie myślący zechce rozpoczynać produkcję lub inną działalność gospodarczą, choćby na razie kalkulacja wykazywała mu zyski, jeżeli musi się liczyć z możliwością obniżki cen, która przekreśli najostrożniejszą nawet kalkulację — i zyski zamieni w straty? Kto zechce udzielić kredytu przedsiębiorcy, kiedy zniżka cen grozi utratą zysku przedsiębiorcy, a więc i niemożnością zwrotu pożyczonego od wierzyciela kapitału. Czyż nie opłaca się lepiej lokować pieniędzy choćby z małym zyskiem, ale z gwarancją bezpieczeństwa, lub, jak sądzą najostrożniejsi, bodaj tezauryzować i rezygnować z procentów, byle nie być dotkniętym zniżką cen. Długotrwała zniżka cen musi prowadzić do likwidacji części życia gospodarczego we wszystkich dziedzinach.

Kiedyż może się skończyć ta likwidacja i ten ciągły proces obniżki? Trudno na to odpowiedzieć. I z inflacji wydawało się wyjście niemożliwe, a przecie w końcu się znalazło. Każdy kryzys ma w sobie zarodki dobrej konjunktury, jak naodwrót każda konjunktura kryje w sobie zarodki kryzysu. Kryzys obecnie przeżywany ma przyczyny głęboko sięgające. To nie poszczególne przedsiębiorstwa się likwiduje; likwiduje się cały przedwojenny system liberalny, system oparty na wolnej konkurencji i wolnej wymianie, na podziale pracy między kraje uprzemysłowione i kraje produkujące surowce. A jako cel tej likwidacji przyświeca każdemu państwu ideał zupełnej samostarczalności gospodarczej; taka samostarczalność wymaga wprawdzie rozbudowy całego szeregu nowych warsztatów, których kraj jeszcze nie miał (w krajach rolniczych — fabryk, w krajach przemysłowych — gospodarstw rolnych), ale samostarczalność ma też drugą stronę: wywołuje odwet. Trzeba więc likwidować całą tę część gospodarstwa społecznego, która produkowała ponad zapotrzebowanie krajowe, na eksport. Każdy taki proces przebudowy połączony jest z wielkiemi stratami i ofiarami społecznemi; słusznie powiedział prof. Krzyżanowski, że program samostarczalności to program niskiej stopy życiowej i zaciskania pasa.

Ten proces likwidacji wszedł dzisiaj w stadjum ostre wskutek naprężonej sytuacji politycznej, potęgującej wszędzie dążenia do samostarczalności. Jeśli chcemy szukać początku tego procesu, to cofnąć się musimy do czasów wojny i jej bezpośrednich następstw, a mianowicie utraty przez Europę rynków zamorskich i zadłużenia się Europy wobec Stanów Zjednoczonych, przy równoczesnem zamknięciu imigracji do Stanów. Kto te przyczyny sobie uświadomi, ten zrozumie i następstwa: a więc rozpaczliwą walkę o rynki zbytu, dumping, zamykanie własnych granic i spadek obrotów międzynarodowych.

Dwie są możliwości zakończenia tego procesu likwidacji, jednego z największych w historji gospodarczej świata: pierwsza to powrót do międzynarodowego podziału pracy, do nieskrępowanej wymiany ludzi, towarów i pieniędzy, droga możliwa w zasadzie w każdej chwili, lecz mało prawdopodobna na razie wobec konstelacji politycznej. A druga droga jest ciężka i długotrwała: jest to droga dostosowania się do zmienionych warunków, przebudowa w kierunku samostarczalności; społeczeństwa idące tą drogą muszą się liczyć z ciągłem ograniczaniem potrzeb, kurczeniem życia gospodarczego — i w konsekwencji z osłabieniem wszystkich sił życiowych państwa. Dopiero gdy się uda zmniejszyć konsumcję jednych, a produkcję drugich towarów do ram podyktowanych postulatami samostarczalności, gdy się do tych wymagań dostosuje nawet ruch ludności w państwie i przyrost naturalny, dopiero wtedy proces likwidacji będzie zakończony i życie gospodarcze będzie się mogło normalnie rozwijać.

Jak długo spadają ceny i jak długo przewiduje się dalszą zniżkę, tak długo ustrój gospodarczy jest chory na anemję — i proces likwidacyjny jest jeszcze w toku. Stałe ceny niskie są rzeczą dobrą; ale ceny ciągle spadające są nieszczęściem, są dowodem, że społeczeństwo stać na coraz mniej. Jeżeli proces zniżki cen się zatrzyma, będzie to dowód, żeśmy już doszli z cenami do poziomu na jaki nas już stać — i że dalsza likwidacja nie jest już potrzebna. Ale byłoby pożądanem, żebyśmy mogli wejść jak najprędzej w okres zwyżki cen, bo będzie to dowód, że weszliśmy w okres większego dobrobytu, że nas już stać na zapłacenie wyższych cen.

MICHAŁ SADOWEANU *).

Ślepiec.

Przeł. z rumuńskiego *Konstancja Mayzlówna.*

Dla czystości naszej brudnej i nędznej mieściny, a także aby zaspokoić pragnienie jej mieszkańców istniały dwa źródła; jedno i drugie zasługuje na wspomnienie.

Pierwsze płynęło obficie wzdłuż długiego, drzewem wyłożonego koryta przez otwartą paszczę miedzianego lwa. Było to wielkie źródło bojarów, znajdujące się pod wzgórzem, u stóp miasteczka. Wozowodowie napełniali swe przenośne beczki i pędem, pnącą się w górę dróżyną odjeżdżali w stronę rynku, pokrzykując na konie i smagając je biczem.

Na nasypisku z kamieni, gdzie gromadziła się woda, podobno przed laty jakiś rękodzielnik niemiecki wystawił pomalowanego na niebiesko żołnierza, ściskającego w jednej garści hełm, w drugiej miecz potężny. Gdy tylko powiał silniejszy wiatr, żołnierz poczynał brzęczeć szablicą z zapałem straszliwym.

Bawił się chyba w wojnę wojak niemiecki. A my łobuziaki z całego miasteczka w odpowiedzi na tę prowokację kontratakowaliśmy go deszczem ostrych kamieni zbieranych na drodze. W jednej z takich potyczek żołnierz utracił prawą rękę i pozostał dzięki nam kaleką.

Długi jeszcze czas nasz pomalowany na błękitno nieprzyjaciel groził nam drugą, zdrową prawicą, aż wreszcie pewnego dnia postaraliśmy się wspólnemi siłami, aby został zupełnym inwalidą. — Od tego czasu wpatrywał się w nas tylko smutnie i uporczywie z wysokości swego wzniesienia.

U tej studni, gdzie obfite wody bulgotały, wypływając jakby z rzeki panował ruch nieład: przenośne beczki, wozy, stada bydła czekające napojenia, zziajani parobcy krzycząc i wyzywając na prawo i lewo, odrzucali z czoła watowane czapy i potrząsali sękatemi kijami.

Drugie źródło znajdowało się w samym środku miasta, — a głębokość jego dochodziła do trzynastu metrów. Studnia ta znajdowała się pod dachem, wspartym na ośmiu słupach. Ogromny żóraw wydobywał z głębin ziemi wodę przeczystą i jak płynny lód zimną. Do tego źródła, pod drewnianem sklepiskiem cisnęła się zawsze wielka ciżba ludzi; mieszkańcy bowiem całego miasteczka czerpali tutaj wodę do picia. Podczas upalnych dni, my, dzieciarnia przed kąpielą w wielkim, otoczonym pięknemi brzozami Serecie przystawaliśmy zawsze na chwilę u źródła. Woda spływała tu hałaśliwie, pieniąc się i bulgocąc przez paszczę lwa, a gdyśmy nastawiali głowę, ręce, lub nogi pod ten srebrny, przeźroczysty prysznic, odnosiliśmy wrażenie, że woda nas parzy niby ogień.

Wieczorem umęczeni całodziennem bieganiem chroniliśmy się w cieniu głębokiej studni i oparci o drewniane jej brzegi przysłuchiwaliśmy się pogwarkom i gadkom powstającym wokół dębowej cembrowiny, niczem na wieczornicy.

U tej głębokiej, trzynastometrowej studni spędził większą część swego żywota szczery przyjaciel dzieci.

Znałem go od chwili kiedy zacząłem mówić, rozróżniać otaczające mnie przedmioty i kiedy odważyłem się po raz pierwszy przekroczyć rów przez wąską kładkę. Był to zupełnie ślepy żyd, zwany Josupem — ślepy Josup.

Zaledwie wstawał dzionek, ociemniały Josup budził całą wieś, przygotowując swoje wielkie wiadra, umocowane na nosidłach, które opierał sobie na karku.

Sękatym swym kijem przytwierdzonym rzemieniem u zgięcia ręki obmacywał ostrożnie gościniec i stukając po ziemi stawał zawsze pierwszy pod dachem studni, aby zaczerpnąć wody. Puszczał swobodnie połyskujące wilgocią koło, próbował liną czy naczynia pełne, poczem zwolna jak automat obracał kołem mając swe białe, nieruchome źrenice utkwione gdzieś daleko — w przestrzeń. Napełniwszy blaszaną konwją ogromne wiadra, zaczepiał je o haki i szedł zwolna, w stronę miasta roznosić wodę swoim odbiorcom. Cały dzień nosił wodę — nie odpoczywał chyba nigdy. Doszedł do niesłychanej wprawy i wyczuwania domostw ludzkich, rozróżniania ich mieszkańców, znał z nazwiska każdego, rozpoznawał wszystkich po głosie, był to człowiek rzadko ruchliwy, czynny i użyteczny.

Ze zdumieniem dowiedziałem się pewnego dnia, że Josup posłuszny prawom mojżeszowym ożenił się. Widziałem nawet kiedyś stojących przy nim u studni dwóch pejsatych jasnowłosych malców. Chłopcy niczem nie różnili się od innych dzieci i patrzeli jasno na świat szeroko rozwartemi, zdrowemi oczami Josup gładził ich dłonią po głowie, macał ich futrzane czapki i ich względnie czyste ubranka. Zapytał ich o coś w rodzimym żargonie, poszperał następnie w kieszeniach, wydobył kilka miedziaków, wsunął im je w rękę i odprowadzając dzieci do wyjścia baraku popchnął je łagodnie ku domowi.

— Cóż to Josup — czyżby to były wasze dzieci? — zapytałem raz ślepca.

Zatrzymał koło i zwolna obrócił głowę w moją stronę. Jego straszliwie śladami ospy zeszpecona twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

— Kto do mnie mówi? — zapytał, nadstawiając ucha, lecz w jednej chwili zorjentował się i wymienił moje nazwisko.

— Jestem żonaty — wnet odpowiedział. — Poszedłem do naszego rabina i zapytałem go: Cóż mam robić? Człek zemnie ciemny i głupi. Nie uczony w książkach, ale słyszałem jak mówią, iż obowiązkiem naszym jest rozmnażać się.

Zaśmiał się ślepiec całą swą nieruchomą twarzą, podaną zawsze naprzód jakby nadsłuchując.

— A rabin na to: — Możesz się żenić, boś nie przyszedł na świat ślepy — tak też było, straciłem wzrok mając już trzy lata.

— Jakto Josup! oślepłeś dopiero w trzecim roku życia?

— Tak, widziałem światło słońca. Zachowałem w pamięci coś pięknego, nie potrafię określić co mi zostało — to było tak dawno — chyba z czterdzieści lat temu — pozostało mi wspomnienie promieni słonecznych i ludzkich twarzy. Ale zaciera mi się to wszystko już w głowie...

Josup mówił biegle po rumuńsku — wraz z innymi żydowskimi rówieśnikami wzrósł i wychował się wśród dziatwy rumuńskiej.

— I cóż powiedział wam jeszcze rabin?

— Nasz rabin powiedział mi: — Możesz się żenić. I ożeniłem się. Dlaczegobym nie miał się żenić? Jest dosyć biednych dziewcząt. Moje dzieci są ładne i czyste. Zarabiam. Zarabiam dostatecznie, aby je wychować. — Josup jest porządnym człowiekiem, do karczmy nie chodzi, w karty nie gra jak bojary z naszego miasteczka. Josup wszystko co zarobi odnosi żonie. — Splunął w ręce i począł obracać kołem.

Jeden z parobków, oczekujących przy studni swojej kolei, rzucił mu żartobliwie:

— Wiemy Josup, że z ciebie chłop porządny i pracowity, ale nie wiemy czy twoja „balabusta" jest tego samego zdania.

— Coś powiedział? — zawołał ślepiec, nastawiając ucha, podczas gdy twarz jego pozostała niewzruszona i poważna. — Czyż nie wiesz Kostachel, że ze ślepcem trudniejsza sprawa niż z widzącym człowiekiem, co dowiaduje się prawdy dopiero wtedy, kiedy już całe miasteczko o tem gada. Ślepy prędzej wszystko wyczuje, a pozatem posiada on jeszcze kostur porządnie sękaty, który może być także straszliwy, jeżeli zechce, bo również pozbawiony jest oczu, a „balabusta" boi się więcej kija niż ognia. — Głos ślepca zadźwięczał ostro i namiętnie.

Josup czujnością swych zmysłów budził zawsze w nas podziw. Wiedział kiedy wieczór zapada, kiedy niebo się chmurzy, kiedy błyszczy światło. Po głosie rozpoznawał wszystkich mieszkańców. Rozróżniał pieniądz srebrny od miedziaka i nikt nie mógł go oszukać wciskając mu w dłoń obcą monetę. A przytem był zawsze wesół, pogodnego usposobienia i brał żywy udział w pogwarkach przy studni. —

Przypominam sobie, że pewnego wieczoru ślepiec był w wyjątkowo dobrym humorze i oczekując swej kolei przy żórawiu przysłuchiwał się żartom i nowinkom. Nagle uniósł głowę w górę i spokojnie zauważył: „Księżyc wschodzi."

— Skąd o tem wiesz ślepy? — zapytał ktoś z obecnych.

— Wiem. — Czy to was dziwi? Tu, pod dachem cisną się parobcy i dziewczyny, słyszę ich szepty, zrozumiałem, że coś się dzieje. Wiem o tem dawno — to stara historja.

— Myślałem, że i tego nauczył cię rabin — zaśmiał się prostacko brzuchaty Sarampej.

— Co to to nie, mój stary Sarampeju. Rabin wszystkiego nie wie, choć jest mądrością wszelaką naszpikowany. Wiele rzeczy rabinowi jest ukrytych, które ja ciemny jak mnie przezwał „myszygene" zbadałem. Rabin umie się modlić na wszystkie sposoby, ja nic nie umiem, pozostałem w ciemnościach — on wie co się dzieje w Paryżu, ja nie widziałem książki na oczy — dwóch uczniów podtrzymuje cadyka pod pachami gdy idzie ulicą, ja roznoszę wodę na całą okolicę i jestem tylko nieszczęśliwym nędzarzem. Ale w pewnej brzydkiej sprawie ja znalazłem klucz tajemnicy, nie rabin.

— Jaki klucz? Cóż za klucz, ślepy — krzyknął swoim tłustym głosem cygan Sarampej.

— Opowiem wam wnet — niech tylko nikt nie zatrzymuje koła — odrzekł poważnie żyd.— Słuchajcie, pracując ciężko całemi dniami od świtu do późnego wieczoru od dnia moich narodzin chyba, zdołałem uciułać 300 lei gotówką. Przeraża was to, nieprawdaż? Kiedy zebrałem te ogromne pieniądze przyszła chwila, że nie wiedziałem co mam z nimi począć. Nie słychać było jeszcze wówczas o kasach oszczędności; wreszcie ze strachu, że mi mogą ukraść tę krwawicę, postanowiłem skarb swój zakopać. — Ale gdzie go zakopać? Wyszedłem z wieczora na podwórze, pomacałem trzcinowym kijem grunt i zakopałem pieniądze. Po dwóch dniach tak samo pod wieczór idę szukać swoich lei. I wyobraźcie sobie przyjaciele, że ich nie znajduję. Poczułem jakby mi ktoś szydłem zaszywał serce. Co robić? Ano, nie ma rady. Trzeba do rabina, do naszego pana. Idę — opowiadam mu całą historję — wsuwam mu w rękę dwie leje. Rabin poszukał w książce, ale widocznie nic nie znalazł. Wzdycha, sapie, zaczyna mi gadać o Bogu — ale ja nieszczęsny mam w głowie tylko moją stratę, te pieniądze uciułane na wietrze, na deszczu, na mrozie i zawierusze.

Pod sklepieniem studni — ucichli wszyscy. Koło zatrzymało się. W mrokach zapadającej nocy ponad ogrodem bojarów zawisł czerwony księżyc, rozsiewając wokoło tajemniczą poświatę. Ślepiec patrzał wprost w tarczę miesiąca, a oczy jego lśniły jak białko ugotowanego na twardo jajka.

— I cóżeś zrobił? — zapytał cicho jakiś parobczak.

— Cóż miałem robić? — westchnął Josup — wyszedłem od naszego cadyka, nadziany mądrościami, ale bez pieniędzy. Zrozpaczony powróciłem do siebie i zacząłem rozmyślać, rozmyślać, aż głowa mnie od tego wysiłku zabolała. A gdym tak rozpamiętywał niewiadomo skąd i dlaczego przyszła mi na pamięć osoba Sulema — rzeźnika, tego mojego sąsiada, co całemi dniami zapija wódkę pachnącą anyżkiem, co nie jest uczciwym człowiekiem, chodzi do szynku i zgrywa się w karty. I zrozumiałem nagle na co przydały się widzące oczy Sulema. Doskonale — postanowiłem w duchu — zapytam o radę sąsiada. Może uda mu się lepiej aniżeli rabinowi.

Wybrałem się więc do Sulema — nie miałem daleko. Nasze podwórka przytykają do siebie. Wziąłem go za rękę i mówię: Drogi Sulema — jesteś moim dobrym sąsiadem — daj mi radę. Zakopałem trzysta lei w jednem miejscu — nie mówię ci gdzie. Posiadam jeszcze drugie trzysta. Jedna stara baba radzi mi spekulować temi pieniądzmi, oddać je na procent, ale ja myślę, że w rękach ludzi gotówka nie jest bezpieczna — można ją stracić — czyż nie lepiej zakopać te leje wraz z tamtemi...

W tej samej chwili drgnęła niedostrzegalnie dłoń Sulema i słodziutkim, przyjacielskim głosem poradził mi zakopać pieniądze w wiadomem ukryciu.

Tego samego wieczora wyszukałem miejsce swoim trzcinowym kijem i.... odnalazłem swój skarb. Sulem chciał zarobić na mojej sumie jeszcze sto procent.

Nazajutrz przywołałem rzeźnika i powiadam mu spokojnie: — Rozmyśliłem się mój drogi Sulemie, zabrałem pieniądze z kryjówki, oddam je lepiej na procent.

Zaśmiała się raptem twarz ślepca w poświacie miesiąca. — Tego właśnie nie wiedział rabin — rzucił jeszcze w formie uzupełnienia i zachichotał złośliwie do księżyca.

— Słyszałem już podobną gadkę — zauważył sceptycznie ktoś z obecnych. — Bajdurzysz nam, ślepy.

— Może być — może być — wydarzyło to się już bardzo dawno, a kto wie, może i inny człowiek miał podobny wypadek, człowiek mędrszy także od rabina — w każdym razie mogę was zapewnić, że ze mną się tak przytrafiło, nie inaczej.

Po chwili milczenia parobek kręcący koło zapytał:

— Powiedz nam Josup — co ty tam masz przeciwko rabinowi. Nie zostawiasz go nigdy w spokoju.

— Ja?... — bronił się kaleka, podnosząc dłonie zwrócone na zewnątrz do wysokości ramienia. — Nie mam do niego żadnych pretensyj... Myślę tylko że on wysiaduje na puchowych, atłasowych poduszkach, podczas gdy ja biedny żyd haruję od świtu do nocy i żyję jak pies.

Nie wiem czemu w ciszy tego letniego wieczoru bezbrzeżnie smutnie zabrzmiały mi słowa starego nosiwody. Być może, że wyrzekł je sam z tajoną goryczą. Niewidzialny płomień żarzył się w białkach jego martwych oczu.

Woda ze źródła spływała po kamieniach aż do lodowatych głębin. Księżyc wznosił się coraz wyżej, ślepy Josup zbliżył się do koła i począł nabierać wodę pogwizdując zcicha jakąś smutną piosnkę.

Opuściłem drewniany barak i podążyłem zwolna wzdłuż parku bojarów do drugiego źródła, skąd woda wytryskiwała poprzez paszczę miedzianego lwa, bulgocąc podrygiwała po cembrowinie i rozpryskiwała się w tysiącach srebrzystych baniek.

Dowcipna opowieść i smutne słowa człowieka bez spojrzeń wyjawiły mi nagle tajemniczą mowę wszechrzeczy. Od lat słyszałem piosnki kaleki, od lat widziałem go jak poruszony niewidzialnemi rzekłbyś sznurkami przemierzał dzień w dzień tę samą drogę, od lat słyszałem go gwarzącego wraz z innymi pod sklepiskiem studni, ale dotąd wydawał mi się zawsze pogodny, wyzbyty trosk i dopiero dzisiejszego wieczoru odkryłem, że żyje w tym ślepcu jakaś tajona zgryzota, coś bolesnego, udręczonego i w jego pustych, dzikich źrenicach ujrzałem łzę.

Życie ociemniałego Josupa mijało jednostajnie, bez zmian i ciągnął się monotonnie jednakowy różaniec dni w naszem nędznem miasteczku. —

Od czasu do czasu po latach nieobecności wracałem w rodzinne strony i zawsze spotykałem przy źródłach ślepca. — Postarzał. Zamieniałem z nim parę słów. Natychmiast poznawał mnie po głosie. — Teraz umarł już chyba. Ale stare źródła tej jesieni przywiodły mi znowu na pamięć łzę ślepego Josupa.

*) Jeden z najwybitniejszych prozatorów rumuńskich, członek królewskiej Akademji rumuńskiej, autor „Młyna nad Seretem", „Konstelacji Raka" itd. W 1932 r. wybrany marszałkiem senatu; — do dziś dnia bierze żywy udział w życiu politycznem stolicy.

Wyd.: POL. POWSZ. SP. WYD. Odbito w drukarni „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Leopolda Wójcika. Redaktor odpowiedzialny: Władysław Szydłowski.